MAGAZYN OPINII

Pismo.

LUTY 2026 | NR 2 (98)

ESEJ

Muzyka od AI hit czy kit?

ROZMOWA

Doktor z TikToka uczy lepiej niż szkoła

STUDIUM

Biorezonans i inne oszustwa

REPORTAŻ

Czy Australia wytrzyma bez Instagrama?



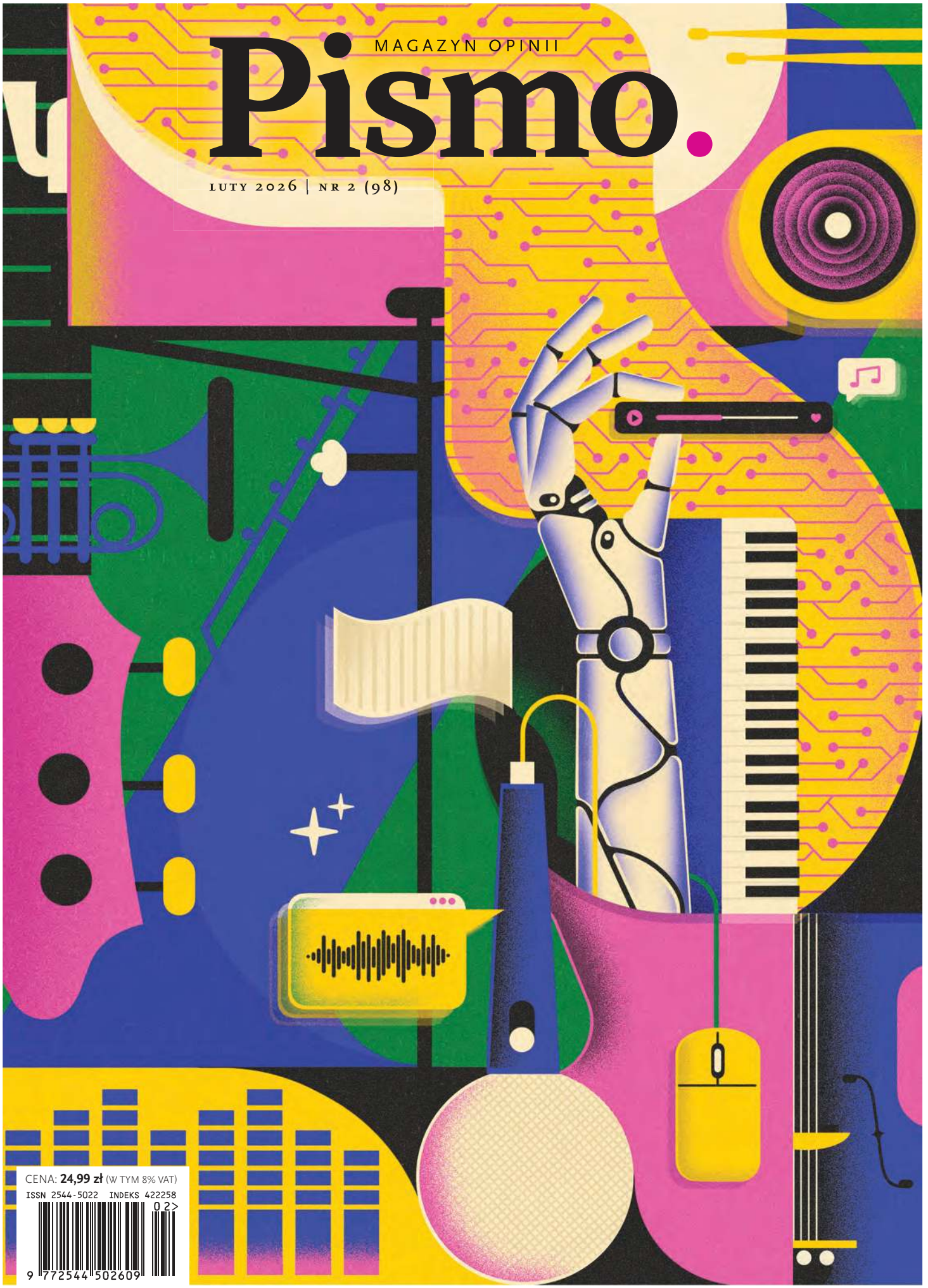
CENA: **24,99 zł** (W TYM 8% VAT)
ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
02>
9 772544 502609

eprasa.pl dce24a0826

MAGAZYN OPINII

Pismo.

LUTY 2026 | NR 2 (98)



CENA: **24,99 zł** (W TYM 8% VAT)
ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
02>
9 772544 502609

eprasa.pl dce24a0826

Kulturalny planer

Pismo. MAGAZYN OPINII

MATEUSZ ROESLER
wybiera najciekawsze wydarzenia kulturalne,
na które warto wybrać się niebawem.

Czytaj co miesiąc w serwisie i aplikacji.
Więcej na magazynpismo.pl/rzecz-gustu



rysunek PAWEŁ SMARDZEWSKI

ART & SCIENCE

Przybliżamy świat kultury i nauki. Dzielimy się emocjami i wiedzą.
Mecenasem kultury w „Piśmie" jest **ORLEN Art&Science**.

eprasa.pl dce24a0826

MAGAZYN OPINII
Pismo.
LUTY 2026

TEKST OKŁADKOWY | ESEJ KULTURA

12 | **Człowiek muzyka maszyna**
JAKUB KNERA sprawdza, jak głęboko w przemyśle muzycznym sięgają macki AI

PROZA

Lepsze dni | 6
GRZEGORZ BOGDAŁ

POEZJA

******* | 3
MARIANNA KIJANOWSKA

******* | 33
ŁESIA UKRAINKA

on mówi, że wszystko będzie dobrze | 55
LUBOW JAKYMCZUK

APTECZKA

Co w niej trzyma… | 81
LUBAINA HIMID, pyta MATEUSZ ROESLER

W KADRZE

Korzenie i gigant | 4
ARTEM HUMILEVSKYI

FOTOREPORTAŻ

Mam nadzieję, że… | 34
ANYA TSARUK

KOMIKS

Strażnik Szyszek | 66
PIOTR SZULC, JAKUB BABCZYŃSKI

ŻARTY OBRAZKOWE
MICHAŁ RZECZNIK

OKŁADKA

Aj aj aj, muzyka od AI
DAWID RYSKI

REPORTAŻ ŚWIAT

24 | **Zakaz w krainie Oz**
AGNIESZKA BURTON pyta młodzież w Australii o zakaz mediów społecznościowych

ROZMOWA

46 | **Zamiast budowy pantofelka**
ADAM ROBIŃSKI rozmawia z KONRADEM SKOTNICKIM, Doktorem z TikToka

REPORTAŻ KRAJ

56 | **Balast na start**
DOROTA BIDZIŃSKA o młodych w kryzysie bezdomności

STUDIUM

72 | **Obietnice bez pokrycia**
MARCIN OSUCH udowadania, jak żerują na nas szarlatani od pseudodiagnostyki

ESEJ IDEE

84 | **Jak narodził się nowożytny pieniądz**
JĘDRZEJ MALKO sprowadza historię pieniądza do parteru

FELIETON

2 | **Portfel za pośladki**
KAROLINA LEWESTAM // MYŚLI ZNIKĄD

82 | **Autoportret przy szpinecie**
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o LAVINII FONTANIE // W RAMACH

94 | **O poszukiwaniu wspólnoty i kapitalizowaniu samotności**
MAGDALENA BIGAJ // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

96 | **Zimowy spacer**
AGATA ROMANIUK // COŚ NA RZECZY

Pismo. MAGAZYN OPINII

Pismo. Magazyn Opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezeska zarządu: Urszula Kifer
Członkini zarządu: Inez Jaworska

Redaktorka naczelna: Urszula Kifer **Redaktorki prowadzące:** Katarzyna Kazimierowska (sekretarzowanie redakcji), Magdalena Kicińska, Zuzanna Kowalczyk **Weryfikacja faktów:** Marcin Czajkowski **Felietony:** Magdalena Bigaj, Karolina Lewestam, Agata Romaniuk **Redakcja:** Joanna Dolecka, Sylwia Niemczyk, Magdalena Orlińska, Zofia Sawicka, Ilona Turowska **Korekta:** Tatjana Krajowska-Kukiel, Dorota Śrutowska **Dyrekcja artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz **Wydanie cyfrowe:** Ewa Pluta (wydawczyni) **Menedżerka fundraisingu, marketingu i sprzedaży:** Inez Jaworska **Marketing:** Anna Ostrowska **Media społecznościowe:** Marta Szymczyk **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, Łukasz Tofil **Koordynator projektów i współprac:** Mateusz Roesler

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

eprasa.pl dce24a0826

MAGAZYN OPINII

Pismo.

Wspieraj rzetelne dziennikarstwo i przekaż 1,5% swojego podatku na Fundację Pismo.

1,5%



KRS 0000689263

Zeskanuj kod QR, by dowiedzieć się więcej o fundacji
lub wejdź na magazynpismo.pl/o-pismie

eprasa.pl dce24a0826



FELIETON // MYŚLI ZNIKĄD

Portfel za pośladki

Jak patrzeć na książki, filmy, media i świat, kiedy coraz trudniej ułożyć sobie tożsamość? Opinie i przekonania, które próbują się nie przejmować, że płyną coraz bardziej znikąd.

KAROLINA LEWESTAM
(ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma".

Często się spóźniam, więc spóźniłam się też na komedię romantyczną Celine Song *Materialiści* i obejrzałam ją dopiero teraz. Kto nie widział, niechaj wie, że Dakota Johnson gra tu Lucy, agentkę matrymonialną (bo apki są dobre do randek, nie do ślubów), która dobiera pary, zręcznie kalkulując wzajemny stosunek ich wartości. Upragnionym „jednorożcem" w jej branży jest wyobrażony sympatyczny i wykształcony mężczyzna, koniecznie powyżej metra osiemdziesięciu, z co najmniej siedmiocyfrowym dochodem. Pięknej Lucy samej udaje się na takiego załapać – w tej roli uroczy Pedro Pascal i jego penthouse – ale ponieważ wymowa filmu nie może być aż tak transakcyjna, w końcu rzuca Pedra dla swojego biednego ekschłopaka, który po trzydziestce nadal mieszka w warunkach, jakie ja pamiętam z mojego warszawskiego akademika, wówczas przez studentów zwanego, cokolwiek klasistowsko, „Dom chłopa".

Czyli według Song liczy się uczucie, nie kalkulacja – taki ma być przekaz. Ale ponieważ pierwsza połowa filmu wydaje się o wiele bardziej przekonująca niż druga (Pedro jest uroczy, a nieszczęsny eks potrafi przejechać pół Nowego Jorku, by znaleźć tańszy parking), *Materialiści*, zamiast przekraczać transakcyjny paradygmat opowiadania o miłości, sankcjonują go, nieświadomie sprzedając własną konkluzję jako anomalię. Tym, z czym zostaje widz, nie jest bowiem pamięć o romansie, który swym ogniem spopiela tabelki w Excelu; pamięta się raczej fakt, że ów Excel istnieje, że da się przekonująco opowiedzieć o związkach w języku rynkowym. Oddam cienką talię za dodatkowe trzy centymetry wzrostu; kupię apartament w centrum i brak zakoli za długie włosy i dyplom z NYU. I duża część tej wizji uderza mnie jako prawdziwa; krystalizują się w niej jakoś kłopotliwe nurty myślenia znajomych singli – i moje myślenie o dzisiejszym łączeniu się w pary.

Takie stawianie sprawy oczywiście nie jest nowe – u Jane Austen matka Elizabeth Bennet, dowiedziawszy się, że córka zaręcza się z jednorożcem Darcym, nie błogosławi młodej miłości, ale wrzeszczy: „Lizzy, moja najsłodsza! Jaka ty będziesz bogata, jaka wielka dama! (...) Dziesięć tysięcy rocznie, a może i więcej! To nadzwyczajne!" (przeł. Anna Przedpełska-Trzeciakowska). Ale coś jednak różni świat *Dumy i uprzedzenia* od świata *Materialistów*. W Anglii XIX wieku, gdzie pogadać z płcią przeciwną można było wyłącznie na sformalizowanych spotkaniach i balach, fortuny i posagi stawały się nie tylko kołem ratunkowym dla pozbawionych praw kobiet i zubożałych baronów, ale też *pars pro toto*, jakąś rzadką prawdziwą informacją o potencjalnych kochankach, kiedy o duszy nie wiadomo prawie nic. Coś jak: „Trzy kilo dwieście, pięćdziesiąt centymetrów!" wykrzykiwane na porodówkach w telefony przez świeżo upieczonych rodziców, bo przecież nie wiemy, czy nowo narodzony Jaś woli woltyżerkę, czy podróże w góry. W Nowym Jorku (i Warszawie) lat 20. naszego wieku do dusz prowadzą zaś niezliczone drogi, komunikacja bez ustanku drżąca pod palcami, przelewająca się z ekranów wszelkiej maści; bary przyjazne rozmowom stoją otworem przez całe noce, łóżka przyjmują nowe ciała bez pytań i wstydu. Jeśli chcesz, możesz dotknąć człowieka, poznać wszystkie jego kształty – więc dlaczego i tu tak łatwo ucieka się w stronę formy? Czemu wzrok się zatrzymuje na cechach, które podobno mają niewiele wspólnego z samym człowiekiem, jak grubość portfela, obwód talii, wiek, pochodzenie społeczne czy zawodowy prestiż, i coraz rzadziej sięga dalej?

Wiem, jak można bronić dzisiejszych „materialistów" – winne jest narzędzie (apki randkowe). Poza tym przecież to wszystko są, jak u Jane Austen, Bardzo Ważne Informacje, zwłaszcza dla ludzi z iluzją niekończących się opcji i potrzebą kontroli. I czy nie jest naiwnością twierdzić, że dusza stoi osobno od uwarunkowań ekonomiczno-społeczno-estetycznych, że istniejemy poza socjologią? Jest. Na pewno jest. Ale jakże bardzo chciałabym, żebyśmy czasem udawali, że miłość to wielka przygoda z wyprawą w nieznane i narzędzie do zaglądania w indywidualne istnienie; że – jak pisała w tomie *Przeciw oschłości* Iris Murdoch – „Jest skrajnie trudną do osiągnięcia świadomością, iż rzeczywiste jest coś innego niż ja sam" (przeł. Michał Filipczuk).

Przeczytaj lub wysłuchaj innych tekstów tej autorki na **magazynpismo.pl/autorzy/lewestam-karolina**

rysunek ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl dce24a0826

POEZJA

***

MARIANNA KIJANOWSKA

—

przeżyję i zostanę zwykłym tatą
jak mój czy rajki nikt go nie wybiera
ale słodycze rożne dają za to
zostanę tatą tata nie umiera
i będę miał dwóch synów mnie i jaszę
bliznę na ręce samochodów kilka
i na gołębnik będę miał poddasze
i nawet białe myszki jedna chwilka
i będzie mama będzie miała znowu
czułe i ciepłe ręce umieramy
ale przeżyję na dnie tego rowu
bo nie mam prawa umrzeć sam bez mamy

przełożył Adam Pomorski

instytut kultury miejskiej

europejski poeta wolności

Partnerem poezji jest **Instytut Kultury Miejskiej** w Gdańsku, organizator festiwalu i nagrody Europejski Poeta Wolności oraz wydawca towarzyszącej im serii poetyckiej. Nagrodę Europejski Poeta Wolności ufundowało Miasto Gdańsk.

MARIANNA KIJANOWSKA

(ur. 1973), poetka ukraińska, tłumaczka, autorka szkiców literackich i prozy artystycznej. We Lwowie aktywnie działała w powstałym w 1996 roku Stowarzyszeniu Pisarzy Ukrainy, należy również do Ukraińskiego PEN Clubu. Wiersz pochodzi z tomu *Babi jar. Na głosy*, uhonorowanego nagrodą Europejski Poeta Wolności 2022.

eprasa.pl dce24a0826

W KADRZE

zdjęcie i tekst

ARTEM HUMILEVSKYI

KORZENIE – PODRÓŻ W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI

cykl z lat 2022 – (2026)

Po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji zacząłem pracować nad nową serią zatytułowaną *Korzenie*. Wspólne nieszczęście obudziło w Ukraińcach jakiś nieuświadomiony kod – wszyscy, nawet ci mieszkający w najodleglejszych zakątkach świata, poczuli zew swojej ojczyzny, swojej tożsamości i wolności.

Cykl powstał podczas wojny i dotyczy ducha, siły korzeni i więzi między nami. W nowych pracach kontynuuję podróż do odkrywania wewnętrznej jaźni, którą rozpocząłem w poprzedniej serii *Gigant*. W *Korzeniach* zastanawiam się nad nią na innym poziomie, teraz jako częścią społeczności, i szukam nowych skojarzeń tożsamości, które nie będą wynikać wyłącznie z koncepcji narodu. Proponuję nowe obrazy ideologii opartej na fantazji, w których ujawniam podświadome symbole duchowe i pokazuję, jak subtelnie są w nas wplecione.



KRZYŻ (2022)

Pośród zniszczenia uświadamiamy sobie, że ten krzyż trzyma się dzięki naszym więziom społecznym. Musimy go sami nieść.

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na **magazynpismo.pl/w-kadrze**

eprasa.pl dce24a0826

ARTEM HUMILEVSKYI (ur. 1986), fotograf, ekonom, inżynier. Członek szkoły fotografii artystycznej i konceptualnej MYPH. Laureat wielu nagród, m.in.: Global Peace Photo Award 2022, PinchukArtCentre Prize 2022, finalista Rotlicht Festival 2023, Kolga Tbilisi Photo Award 2025, Rovinj Photodays Award 2025. Urodził się w Mikołajowie w Ukrainie.



Mecenasem cyklu „W kadrze" jest **Fotofestiwal – Międzynarodowy Festiwal Fotografii w Łodzi**.

FOTOFESTIWAL
SZTUKA | WSPÓŁPRACA | SPOŁECZNOŚĆ

eprasa.pl dce24a0826

PROZA

Lepsze dni

tekst GRZEGORZ BOGDAŁ

—

Dzwony biły na całej długości wybrzeża. Każdy czekał na swoją kolej i odzywał się dopiero, gdy poprzedni ucichł, jakby przekazywały sobie wiadomość. Zaczęło się gdzieś na wzgórzach po drugiej stronie błękitnej zatoki, ledwo było słychać, aż w końcu doszło i tutaj. Był wieczór. Od morza ciągnął wciąż ciepły wiatr. A on obudził się po długiej drzemce z ćmiącym bólem głowy i nie mógł sobie przypomnieć, jak nazywa się to miasto, choć jeszcze niedawno patrzył na nie z balkonu. Wzory na ceracie, którą był przykryty ustawiony tam plastikowy stół, wydawały się wypukłe pod dotykiem dłoni. Nie był też pewien, ile dni już tu spędził ani kiedy powinien się wymeldować. Nic strasznego. Zgubił początek, to się ostatnio zdarza.

Jeszcze raz, od nowa. Wdech, przytrzymaj, wydech. Wdech, przytrzymaj i wypuść, długo, powoli. Pamięć wróci przed ostatnim dzwonem. Jesteś spokojny i zrelaksowany, nie myślisz o niczym. Wszystko wydaje się odległe i nieważne. Czas przestaje płynąć.

Otwierasz oczy. Gdzie jesteś, bracie?

—

TO NAJBRZYDSZY TORT, jaki w życiu widziałem – mówi Damian. Na prawie każdych światłach zagląda do pudełka i z niedowierzaniem kręci głową.

– Taki ma być. Przestań grzebać. – Sara nie rozumie, dlaczego uparł się z nią pojechać, a on nie chce albo nie potrafi jej tego wytłumaczyć. Dotąd zawsze unikał urodzin Irmy i ich rodzice chyba mieli o to żal, ale teraz lepiej, gdyby już tak zostało. Wcześniej była z tym sama. – Widziałam takich już dwanaście – mówi i sięga prawą ręką, by poprawić ułożenie kartonu na kolanach brata.

– Ten jest najgorszy. Nie mam zamiaru go jeść.

Przymyka oczy, kiedy Sara rusza na zielonym. Źle znosi to ciągłe zatrzymywanie się i przyspieszanie, mogła wybrać autostradę.

Jest nieźle odklejony, jeśli myśli, że matka kogokolwiek poczęstuje.

I tak zrobiła wyjątek, zawsze odbierała tort osobiście. To pewnie z powodu ojca, a może jest już tym trochę zmęczona, tylko nie chce tego przyznać. Co roku jeździła specjalnie trzydzieści kilometrów do jedynej cukierni, w której potrafili wykonać idealną replikę pierwszego wypieku Irmy. Zbliżały się jej czternaste urodziny i Irma powiedziała, że sama upiecze tort.

Kilka dni później wyszła do koleżanki w sąsiedztwie, ale nigdy tam nie dotarła.

Był wieczór, rodzice pojechali do znajomych i Damian, najstarszy z ich trójki, miał się zaopiekować siostrami. Ale był umówiony ze swoją nową dziewczyną, a Irma nie potrzebowała ani nie chciała jego opieki. Miał paskudną gębę i powiedziała mu to, jedząc popcorn przy jakimś pokręconym filmie. Sara bała się oglądać, zasnęła na sofie, tyłem do ekranu. Obudziła się zmarznięta w nocy. Nikt nie mógł o to mieć pretensji.

—

ZNÓW STOJĄ, tym razem w korku w wąskiej uliczce, która powinna być pusta w soboty. Sara wyłącza klimatyzację i opuszcza przednie szyby. Pachnie jakieś drzewo, czuje olejki. Nazwy roślin nie trzymają się jej w głowie.

Dawniej dostawała szału, kiedy ktoś mówił o Irmie: „Zapadła się pod ziemię" albo „Ślad po niej zaginął". Trzeba było przy niej uważać na słowa.

– Powinniśmy go wyjebać – mówi Damian. – Kupić coś, na co przyjemnie popatrzeć.

Ciekawe, co by się stało, gdyby go tu wysadziła. Ile jeszcze pamięta z tego, czego się nauczył na szkoleniu, czy wciąż się orientuje w stronach świata, i kiedy głód zmusiłby go do naruszenia palcem pierwszej warstwy tortu, gorzkiej, to wie, bo sama raz spróbowała i ojciec ją na tym przyłapał. Wytarł jej dłoń gąbką do naczyń i zamknął lodówkę.

Niedawno u Damiana zdiagnozowano wczesną postać demencji. Był ledwo po trzydziestce. Rodzice jeszcze nic nie wiedzą. Z początku wyglądało na to, że po prostu

eprasa.pl dce24a0826



rysunki MIKITA RASOLKA

eprasa.pl dce24a0826

GRZEGORZ BOGDAŁ (ur. 1984), autor zbioru opowiadań *Floryda* (2017), za który był nominowany do Nagrody Conrada. Kolejny tom opowiadań *Idzie tu wielki chłopak* (2023) otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia i Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza.

pali za dużo zioła, które wyciąga od lekarzy na ten swój stres pourazowy.

– Możliwe, że powinniśmy – mówi Sara – ale dowieziemy go w jednym kawałku.

Damian chyba spodziewał się czegoś innego: małej, nudnej uroczystości, a nie festynu. Stoły, parasole, girlandy, dwa grille – z mięsem i dla wegetarian, przy ścianie domu bar z bezalkoholowymi koktajlami, drewniany podest, a na nim kolumny i sprzęt audio, na trawniku trampolina, dmuchana zjeżdżalnia, jakiś zbiornik i kurtyna wodna dla ochłody, choć właśnie nadciągają chmury i chyba się nie przyda, więc na razie ganiają pod nią dwa maltańczyki, i wszędzie ludzie, których nie kojarzy albo przestał poznawać.

To nie jest dla niego dobre miejsce, siostra go uprzedzała. Oddaje jej tort i mówi, że zaraz dołączy. Sara się waha, jednak on obiecuje nigdzie się nie ruszać. Dla potwierdzenia przysiada na trawie i wygania ją machnięciem dłoni.

Wkrótce podchodzi uprzejmy człowiek, stawia przed Damianem rozkładane krzesło i częstuje go najlepszą lemoniadą, jaką w życiu pił. Damianowi coś w nim nie pasuje, choćby ten nierówny oddech, jakby tu szedł nie wiadomo skąd.

– Jak w nowej pracy? – pyta mężczyzna.

Damianowi nie wydaje się, żeby ten gość był kimś, komu powinien opowiadać o swojej pracy, a tym bardziej dziwi go, skąd wie, że ma nową, ale trzyma się tego, co mówiła Sara: wyluzuj, przytakuj. Wszyscy tak robią.

– Dobrze, naprawdę dobrze.

Co więcej może powiedzieć? Siedzi w domu przed monitorem i steruje małymi robotami na gąsienicach przeznaczonymi do sprzątania kibli w galeriach, hotelach i instytucjach w siedmiu krajach. Nie narzeka, znajomi Sary założyli start-up, wkręciła go do testów, więc wciąga syf i śmieci, spłukuje, co trzeba, macha szczotką, osusza deski i czyta napisy w obcych językach na ścianach.

– Nie brakuje ci ruchu, przestrzeni?

Zamyka oczy i myśli o tym, czego już mu brakuje i co jeszcze utraci. Mógłby odpowiedzieć, że najbardziej lubi te momenty, kiedy wyjeżdża gównobotem przez drzwi dla obsługi i jeśli pada, to po prostu stoi pod zadaszeniem z pracownikami, którzy wyszli na przerwę, i patrzy, jak deszcz rozpryskuje się o asfalt, a jeżeli jest sucho, szuka jasnego, najcieplejszego miejsca, rozkłada panele i łapie słońce. Ale gdy otwiera oczy, jest tu już sam.

—

SARA WCALE SIĘ nie dziwi bratu. Ona sama wciąż nie przywykła, mimo że widziała to już wiele razy. Początki były skromne. Minął prawie rok od zaginięcia Irmy i matka postanowiła, że urządzi jej urodziny. Zaprosiła rodzinę i koleżanki z klasy. Rozścieliła koce w ogrodzie, kupiła trochę słodkości. Przyjaciele Irmy z kółka teatralnego zaprezentowali półgodzinną pantomimę własnego pomysłu, której nikt nie zrozumiał.

Długo spływały wiadomości, że gdzieś Irmę widziano, ale to nigdy nie było to. Czasami ktoś próbował wyłudzić pieniądze, bo rodzice prowadzili sieć aptek na lokalnym rynku. Jedno z fałszywych żądań okupu pochodziło od dalszej kuzynki ojca. Zadręczał się tym, zastanawiał, czy mogła mu mieć coś za złe. Przez pierwsze trzy lata o tej porze płakał w garażu albo zabierał psa i szli gdzieś w pola. Raz widzieli wielki pożar traw. Pies zastygł z uniesioną łapą przed czarną, napierającą na nich ścianą dymu.

Damian był już wtedy w wojsku, nie wziął przepustki.

Matka nikomu się nie tłumaczyła z tego, co robi. Uważała, że dopiero wtedy mogłoby się to stać wariackie w czyichś oczach. Na pierwszy raz przygotowała sobie kartkę z czterema zdaniami.

– Nie mamy nowych wieści. Nie wiemy nic więcej o losie naszej starszej córki ponad to, co wiedzieliśmy rok temu.

Dopiero wówczas, słuchając tego, schowana tuż za drzwiami, z tortem w rękach, Sara uświadomiła sobie, że ma równie wspaniałe kasztanowe włosy jak matka, zupełnie niepodobne do czarnych włosów Irmy, które zatykały odpływ umywalki na piętrze. I pomyślała, że jej, Sary, strata byłaby mimo wszystko trudniejsza do przyjęcia.

– Zebraliśmy się tu jednak – mówiła dalej matka – żeby celebrować niezaprzeczalny fakt: tego dnia piętnaście lat temu na świecie pojawiła się Irma. Cokolwiek się stało, czy wolno nam wątpić, że to warte świętowania?

Sara napłakała trochę na tort. Poleciała jej też kapka czy dwie z nosa i mieniła się tam niczym lukier.

Miała dopiero jedenaście lat i swoje urodziny obchodziła jesienią, w ponure, mokre dni. Goście schodzili się przewiani i zziębnięci jak żałobnicy, którzy nie zdążyli na pogrzeb, bo pomylili cmentarze.

Czasami myślała, że powinni jej oddać święto siostry, tak jak oddaje się po kimś łóżko albo biurko.

Kiedy matka przywołała ją gestem, Sara wzięła wdech i przytrzymała, żeby nie zgasić wysokiej świeczki.

Następnego lata Sara pierwszy raz całowała się z chłopakiem. Był trochę starszy i nalegał piskliwym głosem, żeby go pieściła dłonią. Potem odmówiła wniesienia tortu i już nigdy więcej nie chciała tego robić.

W czwartym roku od zaginięcia Irmy, w sobotni ranek, ojciec przeszedł zawał, miał wtedy czterdzieści dwa lata. Kiedy matka się upewniła, że nic mu nie grozi, popędziła ze szpitala do cukierni odebrać zamówienie, nim zamkną. Przychodziło coraz mniej ludzi: zapominali, mieli inne sprawy albo wydawało im się to coraz bardziej dziwaczne.

To wówczas matka wpadła na pomysł, by zorganizować grupę wsparcia, zebrać osoby, którym zaginęli bliscy, i wzajemnie się odwiedzać podczas ich urodzin.

Damian służył już w marynarce. Nie mogli zapamiętać, jaki ma stopień.

Po rekonwalescencji ojciec zaczął lepiej się odżywiać i wykonywać umiarkowanie intensywne ćwiczenia, zgodnie z zaleceniami lekarzy. Częściej niż dotąd rodzice chodzili razem do kościoła, ale oddalonego, żeby uniknąć komentarzy.

Sara nic o tym nie wiedziała. Wymykali się na liturgię jak na randkę.

Jakoś dawała sobie radę.

W tym domu nigdy się nie piło i to nie uległo zmianie.

W piątym roku pierwszy raz od zaginięcia Irmy wyjechali we troje na tygodniowy urlop. Sarze zawsze dotąd organizowali wakacje, a także wyjazdy w ferie. Wspominała je jako udane.

Apteki prosperowały nieźle. Ludziom ciągle coś dolegało.

Południowe morza sprawiały, że Damian z trudem powstrzymywał śmiech.

eprasa.pl dce24a0826

W ósmym roku trąba powietrzna, zjawisko dotąd tutaj niespotykane, uszkodziła dach. Dom i tak wymagał remontu.

Sami uśpili psa.

Kupili Sarze mieszkanie. W centrum miasta, blisko uczelni. I mały elektryczny samochód.

Drugi zawał.

W czerwcu przesiadywali w ciepłe noce w ogrodzie. Lubili ten zapach. Kiedyś świetlik wleciał ojcu do ust. Pewne rzeczy zachowywali dla siebie.

Czasami spadała na nich ciemność. Czasami coś innego.

—

GIRLANDA Z proporczykami zaplątała się w suchy krzew. Wiatr targa złotą taśmą z czerwonymi trójkątami.

Burza w mieście to dziwna sprawa. Straszy i straszy. Zbłąkane podmuchy i zielonkawy migot nad dachami. Drzwi od balkonu po drugiej stronie ulicy z uporem biją o futrynę. Jakby ktoś tam był i chciał powiedzieć: „Jestem tu, jestem", tylko zapomniał języka.

Stoi przy bramie na posesję i nigdzie nie widzi Damiana.

I znów, odległe błyski jak zapomniane słowa. Wiele przepada bez wieści.

Kiedy się zacznie tak na poważnie?

Wdech, zamyka oczy. Nie wiadomo po co. Jeszcze raz, od nowa. Wdech, przytrzymuje, wydech. Nauczyła się tego przy nim. Powtarza sobie: „Jestem spokojna i zrelaksowana, nie myślę o niczym". Wszystko wydaje się odległe i nieistotne.

—

BYLIŚMY Z MATKĄ przeciwni, ale jemu się podobało w wojsku – tyle miał do powiedzenia ojciec po tym, gdy Damiana zwolnili z armii dwa lata temu.

Nie opowiadał o szczegółach. Służył w marynarce, w misji wojskowej Unii Europejskiej na Morzu Śródziemnym. Brał udział w patrolach przechwytujących transporty broni do Libii i wyłapujących przemytników ludzi. Podobno raz widział tonącą łódź. Kiedy wrócił do cywila, jego twarz wyglądała, jakby przylgnęła do niej sól. W zasadzie mało o nim wiedzieli, taki już był.

—

ZNAJDUJE GO kręcącego się przy wielkim dunk tanku wystylizowanym na drewnianą beczkę. Dwóch mężczyzn właśnie napełnia zbiornik. Przez szybę z poliwęglanu widać, jak przybywa wody.

Woda odpręża Damiana. Godzinami leży w wannie. Umawiają się wtedy, żeby dawał co jakiś czas znak.

– Żyję! – wydziera się, jeśli nie zapomni.

Słuch też mu się pogorszył, więc niekiedy nie wie, że Sara odpowiedziała, wychodzi z gołym tyłkiem i szuka jej po mieszkaniu, a ona żałuje, że się zgodziła, by z nią zamieszkał.

– Żyję. No co? – Dodaje to „no co?", gdzie mu się spodoba.

To miało być tymczasowe, tylko co to znaczy w tej sytuacji?



Kora dębu, piołun i owoc czarnej jagody. Nie potrafił wyjaśnić, jak to niby ma pomóc. Chyba potrzebował czegoś powtarzalnego, więc robił te napary w garnkach, a gdy przestygły, zanurzał w nich głowę.

Sara prosiła, żeby poinformował w końcu rodziców o swoim stanie. Zbliżał się termin jej trzymiesięcznego wyjazdu na stypendium do Alberty, potwierdziła już na uczelni swój udział i bardzo nie chciała rezygnować, świetnie sobie radziła na robotyce, a ktoś musi się nim zająć.

– Ze wszystkim zdążymy – próbował ją uspokajać Damian.

Wymyślił, że najpierw opowie rodzicom na tych urodzinach wszystko, co jeszcze pamięta o Irmie.

– I co im powiesz: była dziwna, nie lubiliśmy jej?

—

JAKI TO DZIEŃ? – pyta teraz Damian.

– Sobota.

– Rany, wiem – mówi, niezadowolony z tej odpowiedzi.

– Drążymy? – Czasami pomaga, kiedy Sara podsuwa bratu podpowiedzi albo naprowadza go pytaniami. Ona też porusza się w tym po omacku.

Wdech, przytrzymaj, wydech.

– Maersk.

– Tak, był tam Maersk. – Do nagłych zmian tego, co jej brat próbuje sobie przypomnieć, już przywykła. – A dalej?

– Maersk i coś na „P".

Wdech.

Damian sięga dłonią do tyłu i na zachętę uderza nią nad łopatką. Czasami robi mu się zbyt lekko i ma wrażenie, że zaraz odleci bez żadnej kontroli, jakby spadał, ale na odwrót, w górę. Sara wskakuje Damianowi na plecy i rozpina mu jeszcze jeden guzik pod szyją. Włosy brata pachną ziołami.

Kiedy była mała, stawała Damianowi na stopach i wyciągała ręce do góry, a on łapał ją i kroczył na sztywnych nogach. Zawsze był wielki. Czy to się nazywało „niedźwiedź"? Możliwe. Wpadali tak do pokoju Irmy albo chodzili za nią po domu, a ona wyklinała ich i rzucała tym, co miała pod ręką. Damianowi została po którymś wazonie blizna na czole.

Teraz chmury rozpraszają się i zbierają na nowo, a on bierze wdech, nim zrobi pierwszy krok z ciężarem na plecach. Nie odleci. Maersk, na razie tyle musi wystarczyć. Dzwony na wybrzeżu też biły jeden po drugim, nie naraz.

– Gdzie Adam? – pyta Sarę o jej chłopaka, kiedy człapie w stronę stołu, na który matka wnosi tort z zapaloną świeczką. Ponieważ siostra nie odpowiada, zaraz się poprawia:

– Wiem już, wiem.

Wydaje mu się, że ten stół i tort wcale się nie przybliżają, chociaż on cały czas idzie, ignorując coraz mocniejsze podmuchy wiatru, szum drzew i przyczajone w chmurach błyski.

– Podobno istnieje siedem etapów miłości – dodaje, bo głupio mu, że poruszył ten temat.

Maersk i coś na „P".

– Chcesz wrócić? – pyta Sara. – Do domu.

eprasa.pl dce24a0826

– A Damian się wzdryga na ten głos, jakby przemówił do niego plecak.

Wierzchnia warstwa tortu jest z ciemnej czekolady i kruszonych orzechów, imituje bagno, na którym wyrastają kępy trawy (z czego ją zrobili?), a może mchu. Brzegi wypieku otacza plątanina czarnych, ostrych krzewów o zapachu anyżu i lukrecji. Trzy ziarna granatu są ułożone w linii. Mniej więcej na środku rozlewa się nieforemna turkusowa plama, świetlista jak prawdziwe jezioro. Można by tam włożyć palec i poczuć wodę, orzeźwiający chłód i spokój.

Porywy wiatru zagłuszają sporo z tego, co matka mówi o Irmie. Wystawia cierpliwość wszystkich na próbę, pozwalając dopalić się świeczce. Jeszcze chwila, a wbije nóż w środek i odkroi, po czym odłoży na bok pierwszy kawałek. Dla ptaków? Tego właściwie nikt nie wie. Może dla siebie samej? Nigdy nie częstuje tortem, odprawia tylko ten rytuał ze świeczką i krojeniem, a dla gości ma przygotowane inne ciasta.

I gdy tak stoją wpatrzeni w świeczkę, Sara, wciąż na plecach Damiana, nachyla mu się do ucha i szepcze: „To prawda, ten jest najbrzydszy", a jemu nagle cała ta impreza wydaje się niewłaściwa.

Wierci się, dając znak siostrze, żeby zeszła, i jak gdyby zebrani czekali już tylko na niego, odsuwa mężczyznę zagradzającego mu drogę, staje nad tym przygnębiającym miniaturowym krajobrazem i jednym długim dmuchnięciem gasi płomyk.

„Mam nadzieję, że chociaż pomyślał życzenie" – zastanawia się Sara.

A kiedy się do niej odwraca, jego niebieskie oczy przypominają dwa jeziorka uchwycone Polaroidem w samym środku wymarzonych wakacji.

—

MAERSK I COŚ JESZCZE. Jeśli potrafił przypomnieć sobie te trzy nazwy, uznawał, że teraz jest w porządku, jego głowa pracuje czysto, dobrze wie, gdzie, z kim i dlaczego się znajduje, i potrafi zapanować nad swoimi emocjami, ruchami oraz mową.

Trzy kontenery z tymi napisami na statku, wypatrzone przez lornetkę z kamienistego wybrzeża, zawierały wszystko, co wciąż było mu potrzebne. Nie wiedział, czy to nazwy firm, czy nazwiska, a może jedno i drugie, ale kiedy próbował je zatrzymać w bezruchu, bo w dużym powiększeniu drżały od bicia jego serca, od niewyczuwalnych ruchów rąk i oddechu, miał wrażenie, jakby spoglądał na rudoczerwone i granatowe kanciaste domy z nazwiskami lokatorów wymalowanymi na ścianach. Odpływały w stronę horyzontu, wracał do nich co chwilę, powtarzał to, co potrzebował utrwalić, i sprawdzał.

Nie był pewien, skąd wziął lornetkę, ale gdyby ktoś wtedy zapytał go o te napisy, miałby w odpowiedzi właściwe słowa.

—

ZARAZ PO ZGASZENIU świeczki jest przekonany, że matka rzuci mu w twarz tortem, żeby go oślepić na czas, który będzie jej potrzebny, by zwinnym ślizgiem przez stół znaleźć się tuż przy nim i pochlastać go gorącym jeszcze od wody nożem.



Obok niej stoi ten uprzejmy gość od lemoniady i Damian jest właściwie pewien, że to ojciec. Rusza językiem za zamkniętymi ustami, jakby gonił nim jakiegoś robala.

– Mój syn Damian – mówi matka do mikrofonu, zupełnie niepotrzebnie, bo wszyscy ścisnęli się pod zadaszeniem, więc ten głos brzęczy i jest bolesny, a Damian przytakuje, zawstydzony przed ludźmi, którzy to usłyszeli i teraz mu się przypatrują z nieznośną życzliwością.

– Na pewno chętnie powie coś o siostrze – dodaje matka i przekazuje Damianowi mikrofon.

Mokra od potu koszula lepi się do pleców.

Damian chrząka i mruczy, nie tylko dlatego, że nie wie, co powinien powiedzieć, ale także dlatego, że nie ma pojęcia, czy rzeczy, które teraz sobie przypomina, dotyczą Irmy czy Sary.

– Nie pójdzie tak łatwo, trzeba go czymś przekupić – mówi matka, co inni uznają za zabawne, po czym kroi duży kawałek tortu, kładzie na talerzyk i podaje go Damianowi, a on zauważa ze zdziwieniem, że wnętrze wypieku również jest turkusowe, jak ta plama na wierzchu. Niezbyt zachęcające. Zjada szybko, tak że ledwo czuje smak, a wtedy matka nakłada mu jeszcze raz.

– Żołnierz musi jeść. – I to zostaje przyjęte ze śmiechem, lecz Damian się gubi: czy to na pewno jest życzliwość, czy matka sobie z niego kpi, bo nie wygląda na to, żeby i ona straciła pamięć, dobrze wie, że zdjął mundur.

Tym razem zjada wolniej, tort smakuje tak samo, jak wygląda. To może być próba: Damian będzie dostawał dokładki, aż odmówi. Wcale nie ma takiego zamiaru. Dzisiaj przyjmie wszystko.

—

PIORUNY UDERZAŁY JEDEN PO DRUGIM. Tamtej nocy rozpętała się nad laguną potężna burza, nigdy przedtem nie słyszał takiego rumoru. Wcześniej, wraz z przewodniczką i kilkudziesięcioosobową grupą przeszli trasę w jaskini. I gdyby w jednej z sal sklepienie wysoko ponad ich głowami miało niespodziewanie runąć, być może zdążyłby usłyszeć właśnie taki hurgot jak ten za oknem. W jaskini zostali trochę z tyłu i kiedy z powodu awarii zasilania na pewien czas zgasły światła, a Sara włączyła latarkę w telefonie, Damian zamknął oczy, położył prawą dłoń na ramieniu siostry i dał się jej prowadzić przez most nad podziemną rzeką, która się rozbijała z hukiem o ściany kanionu. Mogli poczekać, tak byłoby bezpieczniej, ale oboje nie potrafili wytrzymać bez ruchu w ciemnościach.

Hej, braciszku, otwórz oczy.

Nie zasnął do rana, nawet gdy niebo się uspokoiło. Zapomniał, jak się nazywa to miasto, a kiedy usłyszał siostrę w kuchni, przestraszył się, że ktoś obcy wszedł do jego kwatery. Był zdziwiony, skąd się tu wzięła. W tamtej chwili uciekło mu, że to on wybłagał u niej tę wyprawę. Ostatni raz na wspólnych wakacjach byli jeszcze z Irmą.

eprasa.pl dce24a0826

Wiedział jednak, że sam już może nie dać rady i sprawi tylko więcej kłopotu, jeśli trzeba będzie go szukać po całej Europie. Uspokoił więc oddech i zaczął przepowiadać w myślach alfabet, próbując sobie przypomnieć jej imię.

—

WIATR CICHNIE, przejaśnia się, jakby ktoś pomylił słowa w klątwie i musiał zaczynać od nowa. Za dużo z tym zachodu.

Damian żłopie lemoniadę prosto z dzbanka. Chyba by pękł od tego tortu, niewiele go już zostało na stole, a on wciąż nic nie powiedział o Irmie, mikrofon włożył za pasek i był gotów stoczyć tę bitwę do końca, ale w ostatniej chwili ojciec szepnął coś do matki, bliskiej już płaczu, i poprowadził ją razem z resztą gości do stołów z przekąskami i napojami, i dalej, do atrakcji, które dla nich przygotowali. Pozostali ganiają się z dziećmi po trawie albo wylegują na leżakach. Ktoś płacze, otoczony przez trzy osoby. Lato potrwa zbyt długo w tym roku.

Damian wytrząsa z dzbanka ostatnie krople lemoniady. Twarz ma upaćkaną słodką masą i okruchami.

– Czy ja mam dzisiaj lepsze dni? – pyta siostrę.

Sara sprawia wrażenie urażonej tym pytaniem. Coś się przypaliło, nikt nie pilnuje grilla, więc zalewa go sokiem z kartonu.

– Szukałeś wtedy naszej siostry? Wiem, że zabierałeś plakaty, ale rozwieszałeś je w ogóle? Jeździłeś quadem po lasach, pamiętam, bo rodzice czepiali się o to, ale szukałeś wtedy Irmy czy tylko uciekałeś od tego, co się działo w domu?

Damian nie rozumie, o co jej chodzi. Przez chwilę poczuł się swobodniej, jakby spadł z niego obowiązek pamiętania tylu rzeczy naraz.

– Muszę pomyśleć – mówi.

Zamiast tego zastanawia się jednak, jak wyglądałby ten dzień, gdyby to Sara zaginęła bez wieści. Jak ułożyłyby się jego relacje z Irmą? Czy świętowałby z nią teraz urodziny straconej siostry? Na pewno nie z takim tortem. Może matka wcale nie wpadłaby na ten pomysł. W ogrodzie byłby dzisiaj spokój. Czy ojciec miałby zawał? Pierwszy, potem drugi? Czy on, Damian, poszedłby do wojska?

– Dogadywaliście się lepiej, zanim się urodziłam?

– Daj mi pomyśleć.

Czy widziałby tę tonącą łódź?

– Robiłeś z nią niedźwiedzia jak ze mną?

– Chyba nie. Nie lubiła, żeby ją dotykać.

– To znaczy?

Damian wzrusza ramionami.

– Dokuczała ci – mówi, jakby to miało jakiś związek.

Czy straciłby pamięć?

– Przepraszam za ten tort – dodaje po chwili. – Będę się pilnował.

Nie będzie, Sara dobrze o tym wie. Nawet jeśli teraz mówi prawdę i szczerze ma taki zamiar, nie uda mu się to.

– Nie przejmuj się tortem – mówi.

– Zatopisz mnie? – pyta Damian.

—

WDECH, I TRZYMAJ. Sierpniowe, przedwieczorne słońce grzeje Damianowi w plecy. Przytrzymuje powietrze w płucach i czeka na moment, gdy straci podparcie, po czym chlupnie do zbiornika w dole, ale ta chwila nie nadchodzi, Sara znów nie trafia w tarczę, więc musi zrobić wydech i zaczerpnąć jeszcze raz. Piłka przelatuje gdzieś obok, a dzieciaki śmieją się zniecierpliwione i przekrzykują.

Inni wpakowali go już kilka razy do zbiornika, a on ciągle wraca na krzesełko, żeby znów dać się wtrącić do letniej wody. Nie odda tego miejsca.

Sara wcale nie oszczędza brata. Ostatnia próba, już wcześniej postanowiła, że jeśli jej się to uda, jutro rano powie rodzicom, co się dzieje z Damianem, a potem się spakuje przed wyjazdem. Spakuje też brata i przywiezie go z powrotem tutaj. Skłamie, że to na chwilę, że znów jest z Adamem i chcą spędzić razem trochę czasu przed jej wyjazdem na stypendium. Przygotuje lekarstwa, adresy lekarzy i terapeuty. Choć nie wie, po co bratu terapeuta, i tak nic nie pamięta z tych sesji.

Może to przez słońce, które ją razi. Może przez wygląd Damiana. Tam w górze, bez koszulki, wygląda inaczej, jak ciemny, zły Budda. Spasł się. Nic na to nie można poradzić.

Wdech, przytrzymaj, wypuść. Zamyka oczy i rzuca. Piłka uderza w tarczę i zaraz rozlegają się wiwat i plusk. Przez szybkę widać, jak Damian obraca się pod wodą. Grzbiet, noga, ręce, głowa. Jest coś przykuwającego w tym widoku. Ale trwa trochę za długo.

—

WTEDY W JASKINI, gdy zgasły światła, a Damian zaczął szukać jej ręki, pomylił imiona.

– Irma, jesteś tu? – zapytał.

– Jestem – odpowiedziała bez zastanowienia.

– Ja już stąd nie wyjdę.

Słyszała go wyraźnie mimo rozbijającej się o skały rzeki. Właśnie coś przemknęło po jej stopie, więc próbowała sobie przypomnieć, jak nazywają się te małe blade stworzenia z opowieści przewodniczki, które ponoć żyją w tej jaskini, ale nigdy nie pokazują się ludziom.

Poczuła dreszcz, gdzieś głęboko, taki, od którego biorą mdłości.

—

MŁODZIK Z OBSŁUGI wchodzi na drabinkę i zagląda do zbiornika. Skacze do środka, jednak Damian jest dla niego za ciężki. Wraca szybko i wyciąga korek spustowy. Woda chlusta, moczy ludziom buty.

Damian wydostaje się po drabince bez niczyjej pomocy.

Dzisiaj śmierć jest jak burza w mieście. Przechodzi bokiem.

– No co?! – krzyczy. Chyba popuścił.

Za to w głowie ma komplet: Maersk, Hapag-Lloyd, Contez. Pozwala im odpłynąć.

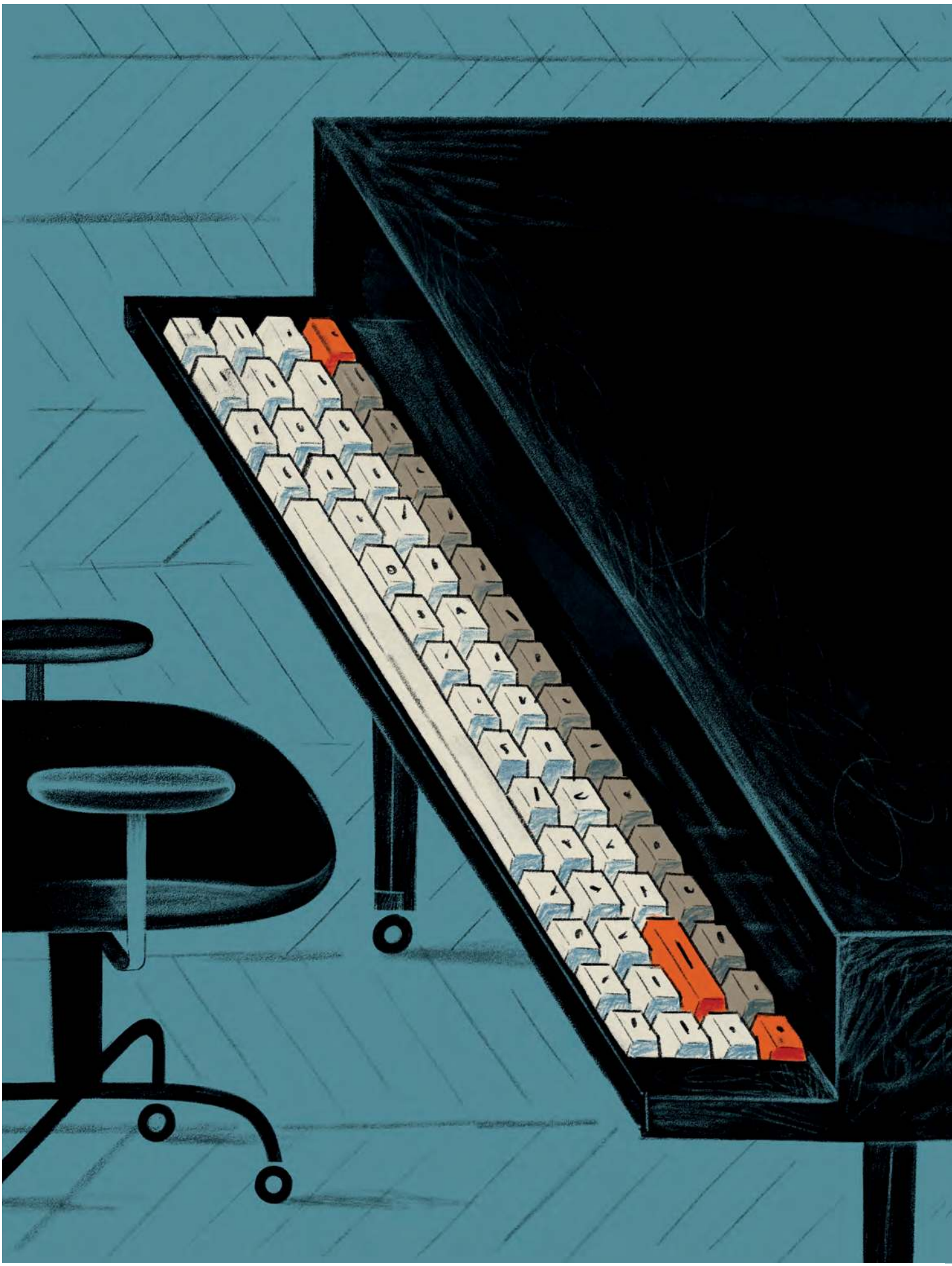
Może tak być, że w nocy zabraknie mu tchu. To się zdarza: idziesz na dno w dzień, a dusisz się dopiero we śnie. Może być też tak, że za którymś razem pamięć nie wraca. Coś na ciebie spada. Otwierasz oczy i wszystko staje się odległe i nieważne, tyle że w ten zły sposób.

Wolałaby innego brata.

Ale on na razie stoi boso w kałuży obok zbiornika, cały mokry, pod ciemnymi chmurami, i jeszcze lśni.

Więcej opowiadań przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/proza**

eprasa.pl dce24a0826



rysunki PAWEŁ JOŃCA

eprasa.pl dce24a0826

ESEJ KULTURA

Człowiek muzyka maszyna

tekst JAKUB KNERA

—

CAŁY PRZEMYSŁ MUZYCZNY stoi dziś przed pytaniem, jak funkcjonować w świecie, w którym utwory mogą powstawać w tempie maszynowym.



eprasa.pl dce24a0826

JAKUB KNERA (ur. 1986), dziennikarz i kurator. Twórca Noweidzieodmorza.com. Publikuje w The Quietus, „Polityce", Dwutygodniku, Mint Magazine i Radiowym Centrum Kultury Ludowej. Współzałożyciel Fundacji Palma, współorganizator Sea You 3City Music Showcase.

To jest tekst o muzyce, więc musi mieć jakiś soundtrack. Mężczyzna w skórzanej kurtce równym, zdecydowanym krokiem idzie chodnikiem wzdłuż ruchliwej ulicy w londyńskim Hoxton. Zderza się z przechodniami, nie zwalnia, mijając samochód, w szybie kolejnego się przegląda. Podąża w rytmie smyczków i perkusji, które wyznaczają tempo całego teledysku. To Richard Ashcroft – wokalista zespołu The Verve – śpiewa utwór *Bitter Sweet Symphony*.

Punktem wyjścia dla piosenki, która tylko w serwisie streamingowym Spotify ma dziś niemal 1,5 miliarda wyświetleń, jest krótki fragment orkiestralnej wersji utworu *The Last Time* zespołu The Rolling Stones. Ashcroft tworzy *Bitter Sweet Symphony* jako melancholijny hymn o życiu, które toczy się jak nieustanny marsz, a smyczkowy motyw stał się sercem utworu.

Na pomysł orkiestralnych wersji rockowych piosenek, w tym *The Last Time*, wpadł Andrew Loog Oldham – pierwszy menedżer i producent płyt Stonesów od 1963 do 1967 roku. W połowie lat 60. kontrolę nad katalogiem zespołu przejął Allan Klein – kolejny menedżer grupy i jedna z najbardziej bezwzględnych postaci w branży muzycznej. Ashcroft dostaje zgodę na wykorzystanie fragmentu, ale gdy *Bitter Sweet Symphony* ukazuje się (w 1997 roku), Klein twierdzi, że dotyczy tylko nagrania, nie kompozycji, a więc piosenka The Verve jest zbyt podobna do orkiestralnej aranżacji opartej na kawałku Stonesów. Prawa do niej przechodzą na Micka Jaggera i Keitha Richardsa. Klein zabezpiecza swoje interesy jako ich właściciel, a Ashcroft – mimo gigantycznego sukcesu – nie dostaje ani funta za swój największy hit.

Historia utworu The Verve jest opowieścią o tym, że w muzyce rzadko wygrywa sama piosenka. Zwycięża system: kontrakty, definicje, granice tego, co wolno „pożyczyć", a co staje się cudzą własnością. Klein nie musiał tworzyć melodii ani pisać tekstu – wystarczyło, że kontrolował ramy, w których muzyka zaczyna zarabiać. Dziś ta sama logika wraca w wersji przyspieszonej i zautomatyzowanej. Sztuczna inteligencja nie „cytuje" jednej piosenki, tylko uczy się na milionach utworów naraz, a potem produkuje brzmienie „na wzór". Spór przesuwa się więc z pytania: „Czy ten fragment jest kradziony?" do pytania: „Czy wolno było w ogóle nakarmić maszynę cudzą muzyką?". Klein monetyzował cudzą twórczość dzięki sprytowi i bezwzględności, generatory muzyki działają na skalę przemysłową. I mogą z nich korzystać wszyscy.

AI slop

BŁYSKAWICZNE STUDIO nagraniowe dostępne dla każdego – niezależnie od umiejętności muzycznych. Wpisujesz kilka zdań – opis stylu, nastroju, tempa, gatunku, a nawet fragment tekstu – i dostajesz kompletny utwór. Zwrotka, refren, aranżacja, śpiew. Tak mogłaby brzmieć reklama programu Suno, który generuje muzykę, ale również głosy wokalistów i wokalistek, z ich charakterystycznym frazowaniem, intonacją i emocjami. Użytkownik lub użytkowniczka opisuje „zamówienie" i efekt, jaki chce osiągnąć, a model wykonuje całą produkcję. Zresztą taka reklama już jest: „Suno to narzędzie, które zmieni twoją muzykę w coś, czego nigdy nie słyszałeś" – mówi w niej Timbaland, topowy producent muzyki pop, który współpracował między innymi z takimi artystami, jak Justin Timberlake, 50 Cent, Kelis, Aaliyah czy Madonna.

Utwory generowane przez platformę to efekt uczenia modelu na ogromnych zbiorach danych. Suno traktuje polecenia jak ogólne wskazówki estetyczne. Jeśli napiszesz: „stwórz utwór w stylu indie lat 90. o melancholii po lecie", od razu wygeneruje soundtrack. Jeżeli podasz tekst, ustawi wokal pod melodię, którą sam stworzy. Jeśli opiszesz emocję, ton czy temat, program osadzi je w dynamice utworu. Suno i podobne narzędzia stają się symbolem demokratyzacji twórczości, ale też kryzysu autorstwa. Wyprodukować muzykę można łatwiej niż kiedykolwiek, ale jednocześnie jest to bardziej problematyczne pod względem prawnym.

Suno (jako program do tworzenia muzyki z wykorzystaniem AI) funkcjonuje od grudnia 2023 roku (od 2024 roku także jako aplikacja mobilna), ma już milion płacących subskrybentów, rośnie w tempie 300 procent rok do roku i generuje 7 milionów utworów dziennie. Umożliwia też odsłuch wykreowanych utworów i łączenie ich w playlisty. Czy może stać się pełnoprawną konkurencją dla Spotify, największej platformy streamingowej, która ma ponad 700 milionów aktywnych użytkowników miesięcznie i katalog liczący 100 milionów piosenek? Nowy singiel Timbalanda i Alejandra Arandy – *Love Again* – swoją premierę miał na Suno. Oprogramowanie tworzy osobne playlisty, a niektóre powstałe tam utwory zdobywają fanów na Spotify. Co może z tego wyniknąć? Pokazują to już aplikacje społecznościowe, które zachęcają do tworzenia remiksów i współtworzenia. Timbaland razem z platformą ogłosili zresztą w 2024 roku konkurs na remiks, w którym pula nagród przekraczała 100 tysięcy dolarów. Kolejnemu pokoleniu, wychowanemu na TikToku, gdzie użytkownik jest też współtwórcą, „jedynie" odsłuchanie muzyki może nie wystarczyć.

Skala zjawiska przyciąga ogromne inwestycje – Suno zebrało 250 milionów dolarów i planuje rozbudowę w kierunku własnego ekosystemu: produkcji, publikacji i społeczności skupionej wokół AI muzyki. Jednocześnie platforma budzi coraz większe kontrowersje. Cały przemysł stoi dziś przed pytaniem, jak funkcjonować w świecie,

eprasa.pl dce24a0826

w którym muzyka może powstawać w tempie maszynowym. Według prezentacji inwestorskiej, do której dotarł magazyn „Billboard", Suno wydało 32 miliony dolarów na moc obliczeniową i zaledwie dwa tysiące dolarów na dane treningowe. A Suno bazuje na trenowaniu. O to, czym ono jest, pytam prawnika Macieja Janika. – To karmienie modelu ogromną liczbą przykładów – tekstów, obrazów, dźwięków – i ustawianie parametrów w taki sposób, by model potrafił odpowiednio reagować na nowe dane. Tworzą one złożone układy punktów reagujących na różnego rodzaju bodźce, ale równocześnie pozostawia się im swobodę „wyciągania własnych wniosków" – wyjaśnia. Model uczy się na ogromnych zbiorach danych, a jego parametry – tak zwane wagi – są „strojone", by poprawiać skuteczność. Jego działanie polega na przewidywaniu najbardziej prawdopodobnego kolejnego elementu: słowa, dźwięku czy pikseli. Dzięki miliardom przykładów przewidywania te są trafne, ale wynikają ze statystyki, nie z ludzkiego rozumienia. To budzi wątpliwości.

Wytwórnie muzyczne, artyści i prawnicy coraz częściej wskazują, że tego typu modele są trenowane na gigantycznych bibliotekach prawdziwych nagrań – chronionych prawem autorskim – bez zgody twórców. Pojawiają się pozwy, rośnie presja, a branża próbuje odnaleźć się w świecie, w którym sztuczna inteligencja może w kilka minut wygenerować utwór brzmiący jak praca doświadczonego kompozytora. W ostatnim roku pozwy przeciwko AI generującej muzykę złożyli głównie niezależni artyści, zarzucając Suno i Udio (również program do tworzenia muzyki z wykorzystaniem AI) bezprawne trenowanie modeli na ich utworach. Równolegle największe wytwórnie muzyczne wniosły pozwy przeciwko tym samym firmom, twierdząc, że algorytmy wykorzystywały katalogi obejmujące twórczość artystów, takich jak Taylor Swift, BTS czy Dua Lipa. Doszło też do masowych protestów środowiska muzycznego (listy otwarte i akcje artystyczne, w których udział wzięli między innymi Billie Eilish, Stevie Wonder, Jon Bon Jovi, R.E.M., Kate Bush, Damon Albarn, Tori Amos, Annie Lennox, Hans Zimmer). Bo AI wytwarza „na wzór" i czasem niebezpiecznie zbliża się do stylu konkretnych artystów, bazując na informacjach zebranych z katalogów muzycznych.

W listopadzie 2025 roku europejski wyrok pokazał, że naruszenia praw autorskich mogą pojawiać się zarówno podczas trenowania modeli, jak i podczas generowania treści – gdy model odtwarza chronione fragmenty; to tak zwana memoryzacja. Gesellschaft für musikalische Aufführungs- und mechanische Vervielfältigungsrechte (GEMA) – organizacja zbiorowego zarządzania, niemiecki odpowiednik stowarzyszenia autorów ZAiKS – pozwała organizację OpenAI, tworzącą i rozwijającą modele sztucznej inteligencji (takie jak ChatGPT), wskazując dziewięć piosenek, na podstawie których został wygenerowany nowy utwór. Mimo że OpenAI twierdziła, że modele uczą się jedynie statystyki, sąd uznał, że możliwość odtworzenia chronionych utworów oznacza naruszenie prawa już na etapie „nauczenia się" tych tekstów bez licencji i przyznał odszkodowanie. To pierwszy taki wyrok w Europie dotyczący odpowiedzialności AI za naruszenia wynikające z trenowania modeli.

– W GEMA treści generowano celowo, żeby udowodnić problem. Ale w codziennym użytkowaniu ktoś może, zupełnie nieświadomie, wygenerować tekst, melodię czy fragment piosenki, który na przykład tylko w 30 sekundach kopiuje cudzy utwór. Użytkownik podpisze to jako swoje – bo regulaminy niektórych narzędzi pozwalają na komercyjne wykorzystanie wygenerowanych treści – a potem okaże się, że naruszył prawo autorskie. Na każdym etapie pracy AI – trenowania, generowania i wykorzystywania treści – może dochodzić do czynności naruszających monopol autorski twórców. Ale najpoważniejsze jest ryzyko długofalowe: zastępowanie ludzkiej twórczości wytworami maszynowymi w wielu branżach. To może doprowadzić do wykluczenia twórców z obiegu, ograniczenia ich dochodów i w konsekwencji osłabienia całych segmentów kultury – podkreśla Maciej Janik.

Wytwórnie muzyczne, artyści i prawnicy coraz częściej wskazują, że modele są trenowane na gigantycznych bibliotekach prawdziwych nagrań – chronionych prawem autorskim – bez zgody twórców.

Wokół nas pojawia się bardzo dużo AI slopu – masowo generowanej „paszy", treści produkowanej w nadmiarze i bez umiaru. Modele takie jak ChatGPT, które po wpisaniu krótkiej instrukcji (tak zwanego promptu), potrafią wygenerować muzykę lub inne nagrania audio, ale też tekst czy obrazy, są w tej chwili wykorzystywane absolutnie wszędzie: od komunikatorów po aplikacje mobilne. Pod koniec listopada 2025 roku Warner Music Group (WMG), jedna z trzech wielkich wytwórni płytowych, podpisała umowę licencyjną z Klay Vision, która tworzy technologię muzyczną opartą na AI. Dzięki porozumieniu firma może legalnie korzystać z nagrań i katalogów wydawnictwa, by trenować swój model i rozwijać interaktywne narzędzia do nowych form słuchania muzyki. To jedno z pierwszych takich partnerstw w branży pokazujące kierunek współpracy między dużymi wytwórniami a technologiami AI.

Doktor Mateusz Modrzejewski – obecnie zatrudniony w Instytucie Informatyki Politechniki Warszawskiej, wcześniej pracował między innymi w Apple w zespole Music Machine Learning – jest muzykiem, perkusistą (koncertował z zespołami The Dumplings i Chłopcy kontra Basia, a także z Pablopavo, Grubsonem, Markiem Dyjakiem czy Majką Jeżowską). Kiedy rozmawiamy o AI, używa określenia „sieci neuronowe". To rodzaj algorytmów sztucznej inteligencji inspirowanych działaniem ludzkiego mózgu. Składają się z połączonych ze sobą „neuronów" (małych jednostek obliczeniowych), które wspólnie uczą się rozpoznawać wzorce w danych. W swojej pracy doktorskiej skupił się na tym, jak reprezentują

eprasa.pl dce24a0826

i przekształcają dźwięk. Zaczął się tym zajmować w 2016 roku, kiedy temat AI w polskiej muzyce praktycznie nie istniał. – Jestem gorącym zwolennikiem przekonania, że ludzie lubią patrzeć, jak inni ludzie robią trudne rzeczy. Rakiety latają szybciej niż biegną sprinterzy – ale na olimpiadę wysyłamy sportowców, nie maszyny. Podobnie jest z muzyką: performans na żywo zawsze będzie miał ogromną wartość. Obcowanie z wykonawcą, z jego wysiłkiem, ryzykiem i ekspresją to coś, czego technologia nie zastąpi – opowiada na wypadek, gdyby ktoś się przeraził, że za kilka lat nie będzie artystów, tylko roboty.

Modrzejewski mówi, że AI slop to wierzchołek góry lodowej, a sieci neuronowe można stosować na wiele sposobów. Jednym z nich jest transfer stylu, czyli przekształcanie dowolnego dźwięku w określone brzmienie. System uczy się charakterystycznych cech, takich jak tempo, instrumentarium, sposób śpiewu czy produkcji – analizując wiele istniejących nagrań – a następnie wykorzystuje te wzorce do generowania nowej muzyki. Przykładowo istnieją modele, które dźwięk danego instrumentu i jego charakterystycznego brzmienia – na przykład perkusji albo gitary elektrycznej – przeniosą na barwę bułgarskiego chóru albo dźwięku deszczu uderzającego o blaszany parapet. Coraz ciekawsze są także sposoby sterowania modelami. Zamiast samych poleceń tekstowych można wpływać na ich działanie za pomocą dźwięków lub prostych, intuicyjnych interfejsów przypominających muzyczne „pokrętła", które regulują sposób generowania wyników.

AI doczekała się już międzynarodowego konkursu. AI Song Contest prezentuje najbardziej kreatywne zastosowania sztucznej inteligencji w muzyce. Nie chodzi o zwykłe piosenki, lecz o eksperymenty i innowacyjne metody pracy z dźwiękiem. Zgłoszenie wymaga opisu, w jaki sposób zostały wykorzystane modele, jakich algorytmów i technik użyto oraz jak wyglądał przepływ pracy. Nad przebiegiem wydarzenia czuwa jury, w którym zasiadają między innymi Jordan Rudess z Dream Theater, wykładowcy Berklee College of Music, badacze z czołowych uczelni i przedstawiciele branży muzycznej. Wśród dotychczasowych zgłoszeń znajdują się ciekawe projekty. Autor jednego z nich – Lamtharn „Hanoi" Hantrakul, badacz AI związany z Google i TikTokiem – wykorzystał sztuczną inteligencję do transferu stroju i barwy tradycyjnego tajskiego instrumentu dętego, tworząc nowoczesny, basowy utwór z unikatową sekcją instrumentalną charakterystyczną dla Azji Południowo-Wschodniej. Inny twórca zbudował model generujący kołysanki optymalizowane pod reakcję jego kilkuletniej córki – po około 100 iteracjach powstały melodie, przy których dziecko zasypiało najszybciej. AI Song Contest pokazuje więc nie tyle „muzykę tworzoną przez algorytmy", ile nowe formy współpracy człowieka z technologią – od personalizowanych kompozycji po dźwięki o brzmieniu niemożliwym do uzyskania tradycyjnymi metodami. – Takie pomysły są dla mnie naturalną kontynuacją tradycji muzyki eksperymentalnej, od Cage'a, poprzez Reicha i Glassa aż po Schönberga czy Schnittkego – wyjaśnia Modrzejewski.

Rakiety latają szybciej niż sprinterzy – ale na olimpiadę wysyłamy sportowców, nie maszyny. Podobnie jest z muzyką: performans na żywo zawsze będzie miał ogromną wartość.

Historia saksofonu w godzinę

—

SPOŁECZEŃSTWO SPEKTAKLU otwiera się gwałtownym montażem obrazów. Na ekranie migają czarno-białe kroniki, defilady wojskowe, robotnicy przy taśmach, tłumy zgromadzone na placach, a tuż po nich reklamy, telewizyjne uśmiechy, sceny konsumpcji i przemysłowe panoramy. Wszystko zostało sklejone w serię szybkich przeskoków, jakby ktoś obsesyjnie zmieniał kanały. Narracja jest fragmentaryczna i agresywna. W tym kalejdoskopie pojawia się chłodny głos narratora, który nie opisuje kadrów, lecz je unieważnia – mówiąc o społeczeństwie obrazów, o mechanizmach, które mają nami sterować. W tym filmie z 1973 roku Guy Debord przechwytuje i montuje istniejące nagrania, rozbijając ich pierwotną funkcję. Realizuje w ten sposób ideę *détournement* – zawłaszczenia spektaklu, by ujawnić jego sztuczność i manipulację. To przykład techniki *found footage*, w której reżyser korzysta z gotowych obrazów zaczerpniętych z archiwów, reklam czy propagandy, nadając im nowe znaczenia i pozbawiając je komercyjnego czy politycznego celu. Ta metoda, rozwijana od awangardy lat 20. i 30., a później używana jako narzędzie krytyki mediów, jest bliska myśleniu Deborda, wykorzystuje język spektaklu przeciwko niemu samemu.

Sampling działa podobnie jak *found footage*, tylko w muzyce. Artysta wycina fragment cudzego nagrania i włącza go w nowy utwór, zmieniając tempo, rytm czy kontekst. Jego korzenie tkwią w muzyce konkretnej lat 40. i 50., gdy Pierre Schaeffer i Pierre Henry tworzyli kompozycje z nagrań dźwięków świata. Coraz lepsze technologicznie samplery cyfrowe i rozwój hip-hopu dostarczyły tej technice nowej energii – DJ-e zapętlali *breaki* z funku i soul. Sampling stał się więc formą dialogu z przeszłością, budowania nowego z istniejących dźwięków. Teoretycznie obie te metody działają jak sztuczna inteligencja. Praktycznie nie. W samplingu znaczenie ma działalność człowieka, osadzona w intencji twórczej, oparta na świadomym wykorzystaniu fragmentów istniejących utworów. Efekt końcowy jest nowym dziełem, choć powstającym w dialogu z oryginałem. Twórca samplujący sięga po kilka konkretnych kompozycji. AI natomiast działa na masową skalę: aby wytrenować model, trzeba „nakarmić" go milionami treści: tekstami, obrazami, nagraniami. To nie jest

eprasa.pl dce24a0826



kreatywna decyzja artystyczna, tylko techniczny proces przetwarzania danych. Oczywiście generatywne systemy stają się coraz lepsze i potrafią coraz wierniej imitować stylistykę ludzkiej twórczości, ale nadal operują na jakości zupełnie innego rzędu niż proces twórczy człowieka.

AI porównuje się czasem do kogoś, kto zapoznał się ze wszystkim, co znajduje się w ogromnej bibliotece. Albo w wielu bibliotekach. Maciej Janik wskazuje, że w przypadku AI analogia do człowieka „czytającego" książki jest błędna. – Kiedy człowiek czyta, nie tworzy w głowie technicznych kopii, które można od niego wyciągnąć jak z dysku. Informacje są przetwarzane biologicznie, a nie kopiowane. Tymczasem w AI zachodzą konkretne czynności informatyczne: kopiowanie, zwielokrotnianie, dzielenie danych, operacje na kodzie. To nie jest magia ani myślenie – to jest techniczny proces – zaznacza. Modrzejewski podkreśla, że sieci neuronowe operują na abstrakcyjnych reprezentacjach danych, a nie na dźwięku wprost. W generatywnej AI muzyka powstaje głównie na dwa sposoby: albo przez modele dyfuzyjne, które stopniowo „wydobywają" dźwięk z szumu, albo przez kodeki neuronowe, gdzie dźwięk jest najpierw zapisywany jako ciąg symboli, a dopiero potem zamieniany na brzmienie. W obu przypadkach muzyka rodzi się najpierw jako matematyczna struktura w świecie algorytmu, a dopiero na końcu staje się słyszalna. Modrzejewski podaje przykład drzewa. Palma i sosna różnią się od siebie, ale w naszym umyśle trafiają pod wspólny koncept „drzewo". Sieć neuronowa robi coś podobnego: tworzy mapy reprezentacji, w których różne dane zajmują określone obszary. Z punktu „drzewo" można „pójść" zarówno w kierunku sosny, jak i palmy. To abstrakcyjne, ale właśnie przez takie mechanizmy sieć próbuje uczyć się sama.

A czy dla osoby słuchającej ma znaczenie, że przy tworzeniu muzyki wykorzystano AI? – Szczerze mówiąc, przeciętny słuchacz w ogóle nie musi się tym przejmować. – wyjaśnia Modrzejewski. – To trochę jak pytanie: „Po co mi syntezator?" albo „Po co mi saksofon?". Muzyka jest przede wszystkim komunikatem energetycznym, a nie intelektualnym. Jeśli coś porusza, angażuje, rozpala emocje – to jest najważniejsze. Czy słyszysz saksofon przepuszczony przez pogłos imitujący katedrę, minimalistyczne techno czy kameralny kwartet smyczkowy – to już zupełnie drugorzędna kwestia. Technologia stojąca za danym brzmieniem nie jest dla odbiorcy konieczna do zrozumienia, żeby przeżyć muzykę prawdziwie.

Od strony twórcy wygląda to zupełnie inaczej. Kiedy pojawia się nowe narzędzie, nowy interfejs, natychmiast staje się to źródłem nowych pomysłów. – Tak było z syntezatorami: nikt nie konstruował oscylatorów i filtrów po to, żeby robić ambient czy hałas – tłumaczy Modrzejewski. – To były urządzenia przemysłowe i badawcze, które dopiero twórcy transformowali w instrumenty. Dlatego słuchacz, jeśli nie chce, nie musi nawet wiedzieć, że w muzyce działa AI. To jest dla niego przezroczyste, tak jak technologia stojąca za każdym innym instrumentem. Dla części odbiorców to właśnie proces twórczy i technologia są fascynujące. AI będzie coraz częściej pojawiać się również w *mainstreamie* – na wielu różnych poziomach, w bardzo odmiennych rolach. Moim zdaniem najciekawsze zastosowania sztucznej inteligencji to te, których w ogóle nie rozpoznajemy jako AI. Tam, gdzie technologia jest transparentna: ktoś używa wtyczki emulującej analogowe syntezatory, korzysta z różniczkowalnego przetwarzania sygnałów, robi separację źródeł, wzbogaca brzmienie o subtelne, inteligentne przekształcenia. To naturalna ewolucja narzędzi – jak nowy instrument czy efekt w studiu.

Jednym z takich przykładów jest Velvet Sundown – projekt muzyczny w 2025 roku stworzony w całości przez sztuczną inteligencję. Wszystko – muzyka, wokale, okładki, zdjęcia „członków" grupy, a nawet biografia – zostało wygenerowane algorytmicznie. Dzięki dobrze dobranej estetyce retro i wizerunkowi stylizowanemu na folk-rock lat 70. projekt zyskał ogromną popularność na Spotify, mimo że nie istniał jako prawdziwy zespół. W ciągu miesiąca od publikacji na początku czerwca 2025 roku zdobył setki tysięcy, a później ponad milion comiesięcznych słuchaczy. Dopiero po czasie ujawniono, że cały zespół jest wytworem AI [do dziś nie wiadomo, kto wpadł na pomysł wykreowania grupy muzycznej – przyp. red.], co wywołało szeroką dyskusję o autentyczności i przyszłości muzyki. Velvet Sundown stał się symbolem tego, jak łatwo można dziś stworzyć wiarygodną, „ludzką" tożsamość muzyczną za pomocą algorytmów oraz jak silnie projekty AI mogą konkurować z prawdziwymi artystami o uwagę słuchaczy i obecność na platformach streamingowych.

eprasa.pl dce24a0826

Innym symbolem (nad Wisłą) – tego, jak można zagrać na nosie słuchaczom, ale też platformom streamingowym – jest Kutas Records. To projekt, który zaczął się jako żart rapera Kuqe 2115, a szybko przekształcił w pseudowytwórnię masowo publikującą utwory generowane przez AI. Prowokacyjna estetyka i wulgarne, ironiczne tytuły szybko zdobyły ogromne zasięgi, chwilami dominując rankingi – był moment, kiedy połowa utworów z pierwszej dziesiątki listy „Viral 50 – Polska" na Spotify pochodziła z oferty Kutas Records. Zjawisko to obnaża słabości algorytmów streamingowych, które nie rozróżniają satyry, automatycznej produkcji i intencjonalnej prowokacji od „normalnej" twórczości. W efekcie Kutas Records stało się symbolem epoki AI slopu – zalewu łatwo klikalnych treści, które podważają pojęcia autorstwa, jakości i odpowiedzialności, stawiając pytanie o to, kto dziś realnie kształtuje obieg kultury w zautomatyzowanym systemie dystrybucji.

Na szczęście jest wiele więcej kreatywnych pomysłów, które pokazują, że AI może być wykorzystywana nie tylko jako promptowanie. Przykładem niech będzie *Nature Manifesto* Björk przygotowana we współpracy z Alephem Molinarim (kuratorem wydarzenia i współautorem manifestu), Centrum Pompidou oraz francuskim Instytutem Badań i Koordynacji Akustyki/Muzyki (IRCAM) w 2024 roku. To immersyjna instalacja, w której algorytmy nie generowały „piosenek", tylko przetwarzały dźwięki natury i narrację artystki, a także współtworzyły organiczne wizualizacje reagujące na muzykę. Z kolei Holly Herndon, amerykańska artystka i kompozytorka łącząca muzykę eksperymentalną z badaniami nad AI, wraz z Mattem Dryhurstem kreuje projekty, w których sztuczna inteligencja służy wspólnemu tworzeniu między innymi poprzez angażowanie publiczności. Ten najnowszy – „Starmirror" – prezentowany w 2025 roku w berlińskim KW Institute for Contemporary Art, angażował odwiedzających w sesje śpiewu, które na żywo trenowały model AI. Zebrane nagrania stworzą publiczny zbiór danych i posłużą do zbudowania chóru AI, którego brzmienie zostanie zaprezentowane w Düsseldorfie latem 2026 roku.

Powstają też projekty postinternetowe, takie jak „Relentless Doppelganger" – cyfrowy sobowtór generujący nieprzerwany strumień technicznego death metalu tworzonego przez AI. Model, trenowany na nagraniach kanadyjskiego zespołu Archspire, nadawał od 2019 roku aż do momentu osiągnięcia limitu długości *livestreamu* na YouTubie. Dziś projekt ma swoją drugą część – funkcjonuje jako wznowiony, niekończący się strumień oparty na nowej współpracy.

Jednym z najciekawszych przykładów wykorzystania AI w ostatnich latach jest album *Old Time Music* Westona Olenckiego. Znajdujący się na płycie *Tenor Madness* jest efektem kompilacji 300 nagrań saksofonu tenorowego – od *Body and Soul* Colemana Hawkinsa z 1939 roku po współczesność. Wycięte z nich fragmenty z dźwiękiem jedynie tego instrumentu tworzą chronologiczną mapę ewolucji jego brzmienia: jasności, faktury, energii i wysokości. Na tej podstawie powstało oprogramowanie reagujące w czasie rzeczywistym na grającego muzyka. Każdy dźwięk saksofonisty uruchamia w systemie jedną do trzech dopasowanych próbek z archiwum, które współbrzmią z wykonawcą – równolegle, kontrapunktowo lub niemal jak jego własne brzmienie. Powstaje dialog między dekadami: rozmowa dawnych nagrań ze współczesnym performerem. Proces pogłębia model uczenia maszynowego w Wekinatorze wytrenowany na parametrach dźwięku i przykładach muzyki awangardowego saksofonisty Anthony'ego Braxtona. System rozpoznaje typ bieżącej muzyki i kieruje zachowaniem syntezatora – jego niecelne klasyfikacje bywają równie twórcze jak te trafione. Całość nie rekonstruuje historii, lecz ją przetwarza – łącząc pamięć nagrań z nieprzewidywalnością algorytmów w nowy, hybrydowy język muzyczny. „Chodziło mi o relację między sztuczną inteligencją a tradycją ustną, dwoma rozbieżnymi koncepcjami «uczenia się» muzycznej przeszłości. Z jednej strony wydają się one przeciwnymi końcami kontinuum, ale ciekawiło mnie, co mogą nam powiedzieć, jeśli zostaną połączone" – wyjaśnia mi Olencki w mailu.

Tłumaczy, że pracując kreatywnie z algorytmami, zmienia się proces komponowania. Już nie tworzenie dźwięków, a programowanie algorytmów i trenowanie AI są aktami twórczymi. „To, czym jest sztuczna inteligencja i jak się o niej mówi, staje się dziwną czarną



eprasa.pl dce24a0826

skrzynką. Czasami wydaje się, że działa ona jak ekran odbijający ludzkie niepokoje i aspiracje. Bardzo przypomina mi to sposób, w jaki ludzie mówili o zjawisku elektryczności na początku lat 80. XIX wieku, kiedy to istniało ono w przestrzeni między empirycznym podejściem naukowym a niemal religijnym uwielbieniem lub strachem przed nadchodzącą nowoczesnością" – podsumowuje w mailu Olencki.

Jakim prawem?

—

MOGŁO TO WYGLĄDAĆ TAK: Charles Dickens w styczniu 1842 roku wysiada ze statku w porcie w Bostonie. Na nabrzeżu czeka już tłum ludzi, jest gwiazdą. W kolejnych dniach podróżuje od miasta do miasta, w salonach pytają go o Anglię, o *Klub Pickwicka*, o plany twórcze. Ameryka wydaje się pełna obietnic i energii – pulsujący energią i patrzący w przyszłość kraj. Aż do chwili, gdy autor *Olivera Twista* wchodzi do jednej z księgarń i widzi rzędy swoich książek, które – jak się okazuje – wyprzedają się na pniu. Podobnie jest w innych miastach. Sęk w tym, że twórca nic nie wie o amerykańskim wydaniu swoich dzieł. W latach 40. XIX wieku USA nie mają prawa autorskiego obejmującego zagranicznych pisarzy. Wydawcy mogą drukować dzieła Dickensa za darmo – bez pytania, bez zapłaty, bez licencji. Anglik rozmawia z wydawcami, próbuje tłumaczyć, argumentować, apelować o uczciwość. Spotyka się z politykami i mówi o potrzebie międzynarodowego prawa autorskiego. Jedni słuchają z pobłażliwą ciekawością, inni z rosnącą irytacją. Uwielbiany przez ludzi, ale okradany przez system.

Dickensa sporo łączy z The Verve i ich *Bitter Sweet Symphony* – to nie autor kontroluje twórczość, ale system legislacyjny. A raczej właściciele biznesów, którzy tak potrafią go obejść, żeby na tym zarobić. O obu przypadkach podczas wykładu w trakcie festiwalu Unsound w październiku 2025 roku opowiadał Zachary Cooper, który pracuje w Instytucie Prawa i Technologii na Wolnym Uniwersytecie w Amsterdamie, gdzie zajmuje się wpływem innowacyjnych technologii na władzę państwową.

Cooper tłumaczył, że w krajach anglosaskich prawo autorskie opiera się głównie na logice własności i obrotu dziełem, podczas gdy w Europie kontynentalnej kluczową rolę odgrywają prawa moralne autora pozwalające kontrolować sposób wykorzystania utworu nawet po sprzedaży praw majątkowych. Z czasem okres ochrony znacząco się wydłużył (dziś to życie twórcy plus 70 lat) – między innymi pod wpływem silnego lobbingu korporacji takich jak Disney. Jednocześnie historia USA pokazuje bardziej pragmatyczne podejście: do 1891 roku nie chroniono tam zagranicznych dzieł, co umożliwiało swobodne przedruki europejskich książek. Prawo autorskie realnie wpływa też na muzykę. Wczesny hip-hop opierał się na samplach, ale fala pozwów w latach 90. sprawiła, że producenci zaczęli odtwarzać brzmienia zamiast używać oryginałów. Głośny spór o dwusekundowy sampel perkusji z utworu *Metall auf Metall* zespołu Kraftwerk, który producenci muzyczni Moses Pelham i Martin Haas zapętlili w utworze Sabriny Setlur z 1997 roku, pokazał, że naruszeniem może być dziś nawet ułamek nagrania, jeśli rozpoznawalny jest jego pierwowzór. Niemieckie sądy dochodziły do tego ponad dwie dekady, aż skierowano sprawę do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który orzekł, że prawo zwielokrotnienia nawet bardzo krótkiej części utworu ma tylko jego producent i do jej użycia konieczna jest jego zgoda, jednak wykorzystanie fragmentu w zmodyfikowanej, nierozpoznawalnej dla ucha formie (nawet bez zezwolenia) nie narusza tego prawa.

Dotychczasowe uzasadnienie istnienia praw autorskich opierało się na założeniu, że tworzenie jest kosztowne i wymaga zachęty. Tymczasem sztuczna inteligencja radykalnie obniża koszt produkcji – można generować tysiące obrazów, tekstów i utworów niemal za darmo. – W świetle ustawy o prawie autorskim utworem jest wyłącznie rezultat działalności twórczej człowieka. Jeśli coś powstaje w 100 procentach jako efekt działania maszyny, nie spełnia tego kryterium. Dlatego muzyka czy tekst generowane przez AI nie są traktowane jako utwory – nie podlegają ochronie prawnoautorskiej, bo nie stoi za nimi człowiek jako twórca – mówi Janik.

W tym sensie sprawa wydawałaby się prosta i zamknięta. Komplikacje pojawiają się, gdy spojrzymy na to, jak działają modele AI. Fabrykują treści – dla odróżnienia nazywamy je „wytworami" – często nieodróżnialne od utworów tworzonych przez ludzi. Ich zdolność do generowania tak zaawansowanych rezultatów wynika z faktu, że na etapie trenowania wykorzystano ogromne ilości treści chronionych prawem autorskim. Dlatego coraz częściej uznaje się, że trenowanie na nich modeli powinno wymagać odpowiedniej podstawy prawnej: licencji, wyjątku ustawowego albo innego uprawnienia. I na tym polu ścierają się dziś interesy branży AI oraz twórców.

W Europie wprowadzono zasadę *opt-out*: twórca ma prawo zażądać, by jego dzieła nie były wykorzystywane w treningu modeli. Problem w tym, że jeśli dane już trafiły do modelu, nie można ich z niego „wyciągnąć" – nawet jeśli znikną z jednego zbioru, krążą po internecie i pojawiają się w innych modelach. W debacie publicznej na całym świecie słychać głosy artystów, ale większość z nich nie jest właścicielami swoich praw. Są nimi wytwórnie i posiadacze katalogów, którzy z jednej strony mówią o „obronie człowieczeństwa w muzyce",

W Europie twórca ma prawo zażądać, by jego dzieła nie były wykorzystywane w treningu modeli. Jeśli dane już trafiły do modelu, nie można ich z niego „wyciągnąć".

eprasa.pl dce24a0826

a z drugiej zabezpieczają sobie możliwość przyszłych zastosowań głosu i wizerunku artystów. Jeśli modele miałyby uzyskiwać licencje, najpewniej poszłyby prosto do tak zwanych majorsów, największych wytwórni – Universal Music Group czy Sony Music Entertainment. Z Warner Music Group (WMG) już doszły do porozumienia. Wydawca między innymi zespołu Coldplay, Eda Sheerana czy Charli XCX ugasił pod koniec ubiegłego roku spór sądowy z generatorem muzyki AI Suno, przeciwko któremu w czerwcu 2024 roku wniósł pozew o naruszenia praw autorskich. Zamiast kontynuować walkę, podpisał z firmą umowę licencyjną: Suno ma wprowadzić modele AI działające na licencjonowanych danych, a artyści oraz autorzy z WMG mogą decydować, czy ich nazwiska, głosy i utwory są używane do tworzenia muzyki generowanej przez AI.

Jak wskazuje Cooper, można wyróżnić dwa podejścia do przyszłości prawa autorskiego. *Copyleft* – większa swoboda remiksowania, możliwość tworzenia wiralowych hybryd i mashupów przez użytkowników platform takich jak TikTok czy Instagram, oraz większy zasięg zamiast kontroli. Silne *copyright* – pełna ochrona dorobku i możliwość precyzyjnego egzekwowania praw. Problem polega na tym, że nawet gigantyczne ugody nie rozwiązują problemów ekonomicznych artystów. System w praktyce chroni katalogi, a nie twórców jako grupę zawodową.

Ryzyko istnieje więc na każdym etapie: trenowania, generowania i wykorzystania. Najpoważniejsze są jednak skutki długoterminowe – jeżeli twórczość maszynowa zacznie wypierać ludzką, może to osłabić całe sektory kultury i uderzyć w dochody twórców na całym świecie. Jeśli playlisty zapełnią się muzyką generowaną mechanicznie, platformy mogą uznać, że skoro dzieł twórców jest tam mało, należy im wypłacać niższe wynagrodzenia. Taki mechanizm może przenieść się także poza streaming. Telewizje, reklamodawcy i studia wideo coraz chętniej sięgają po treści tworzone przez AI, stopniowo wypychając kompozytorów i wykonawców z rynku.

– Istnieje cały rynek muzyki tła: do wind, do centrów handlowych, do siłowni, do playlist *workoutowych* – opisuje ten mechanizm Modrzejewski. – To normalna część branży i źródło dochodów dla wielu kompozytorów. AI zaczyna uderzać właśnie w to segmentowe, „funkcjonalne" pole. Pojawia się pokusa biznesowej optymalizacji: „Po co zamawiać muzykę u kompozytora, skoro mogę wygenerować pięć godzin *workoutowej* playlisty, a koszt będzie minimalny?", „Po co płacić za licencje, skoro mogę użyć siatek wytrenowanych na cudzych twórcach i wykorzystać to komercyjnie?".

– Trzeba pamiętać, że idea prawa autorskiego polega na tym, by twórca otrzymywał wynagrodzenie przez cały okres trwania swoich praw majątkowych – podkreśla Janik. – To model, który zapewnia twórcom stabilność – często zastępuje emeryturę, zwłaszcza wykonawcom i artystom funkcjonującym poza systemem ubezpieczeń społecznych. Wynagrodzenia nie są jednorazowe i spektakularne, są rozłożone w czasie, ale długofalowo pozwalają utrzymać się z twórczości. Jeśli ten system zostanie zachwiany, twórcy stracą podstawę ekonomicznego funkcjonowania.

Za sprawą serwisów streamingowych playlisty stały się czymś więcej niż zbiorem utworów – są narzędziem kształtowania gustów i nastrojów.

Pod koniec października 2025 roku Deezer – globalna platforma streamingowa – zlecił Ipsos badanie, które pokazuje, jak ludzie postrzegają muzykę tworzoną przez AI. W ślepym teście z trzema utworami (dwa w całości stworzone przez AI, jeden przez człowieka) 97 procent spośród 9 tysięcy respondentów i respondentek z ośmiu krajów nie było w stanie poprawnie wskazać, co jest wygenerowane, a co nie. Niemal połowa uważa, że AI może pomóc im odkrywać nową muzykę, ponad połowa sądzi, że sztuczna inteligencja będzie odgrywała ważną rolę w tworzeniu muzyki w ciągu najbliższych 10 lat. Chociaż dwóch na trzech badanych z ciekawości posłuchałoby kompozycji stworzonej przez AI, to około 40 procent chciałoby mieć możliwość odfiltrowania takich kawałków z platformy lub skipnęliby w 100 procentach AI-owy utwór, gdyby na niego trafili. Czterech na pięciu badanych uważa, że muzyka wygenerowana w 100 procentach przez AI powinna być wyraźnie oznaczona, a połowa, że nie powinna być liczona razem z „ludzką" w głównych listach przebojów.

Deezer wykorzystuje badanie do pokazania swojej strategii. Około 50 tysięcy w pełni wygenerowanych utworów dziennie, co stanowi już 34 procent wszystkich dziennych *uploadów* na platformę (ale około 0,5 procent faktycznych streamów; stan na grudzień 2025 roku). Według platformy około 70 procent odtworzeń takich AI tracków jest oszustwem (są generowane w celu wyciągania pieniędzy z systemu tantiem). Teoretycznie Deezer wskazuje, że wykrywa i oznacza całą muzykę wygenerowaną przez AI, usuwa ją z algorytmicznych rekomendacji i redakcyjnych playlist. Praktycznie to jednak sygnał, że platformy stają się faktycznymi ustawodawcami, definiując w praktyce, co jest widoczne, co zarabia, a co jest banowane lub demonetyzowane.

Maszyny nastroju

—

GEORGE OWEN SQUIER jest wojskowym inżynierem, naukowcem i wynalazcą, który fascynuje się przesyłaniem dźwięku na duże odległości. Eksperymentuje z różnymi sposobami transmisji sygnału, a w drugiej dekadzie XX wieku obserwuje gwałtowny rozwój radia. Zauważa niestabilność sygnału, wpada na pomysł, aby dostarczać

eprasa.pl dce24a0826

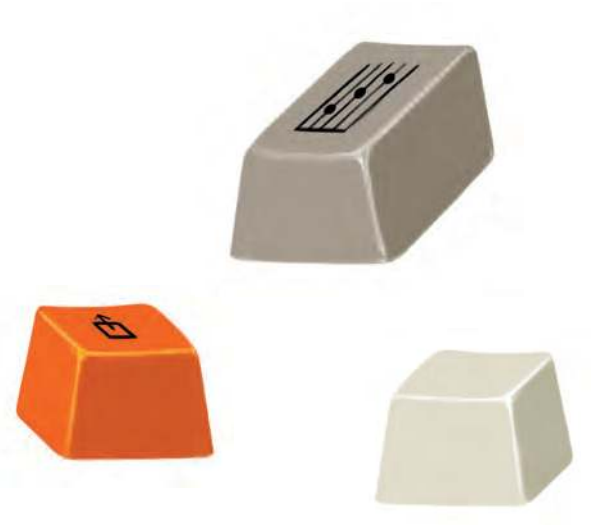
ludziom muzykę nie przez eter, lecz przewodowo, tak jak prąd. Tworzy Wired Radio, które przesyła muzykę kablami, co szybko staje się powszechne. Squier myśli, jak trafiać do nowych przestrzeni – wysokościowców, sklepów, restauracji i hoteli – w których muzyka może łagodzić napięcie i wypełniać ciszę. W 1934 roku wymyśla Muzak. Muzyka ma być nie rozrywką, ale niewidzialnym towarzyszem pracy i zakupów dnia codziennego. Nie angażować, ale uspokajać, nie przyciągać uwagi, ale sprawiać, że przestrzeń staje się bardziej komfortowa. To melodyjne, czysto instrumentalne aranżacje, pozbawione wokali i gwałtownych zmian – dzięki temu nie angażują i nie rozpraszają. Muzak staje się wszechobecny: w supermarketach, hotelach, restauracjach, sklepach, windach i na lotniskach. Od pewnego momentu to nie nazwa firmy, ale każdego rodzaju muzyki tła.

W 2023 roku siedzimy ze znajomymi w Czechach – pojechaliśmy tam na narty biegowe. Każdy z nas po kolei puszcza swoje ulubione albumy, a playlista toczy się bez końca, płynnie przechodząc z jednego krążka w drugi. W pewnym momencie zaczyna lecieć coś zupełnie mi nieznanego. „Co to jest?" – pytam, ale nikt nie zna odpowiedzi. Okazuje się, że to nie wybór żadnego z nas, tylko propozycja algorytmu, który niepostrzeżenie dopisał kolejne utwory do tych puszczonych wcześniej. Ja tę opcję w serwisie streamingowym mam wyłączoną.

Algorytmy to nie wymysł ostatnich lat, działają już od dawna na wiele sposobów, dwa z nich odgrywają dominującą rolę. Pierwszy to filtrowanie oparte na treści – serwis analizuje utwory i podsumowuje: „Lubisz kawałki z gitarą? W takim razie wrzucimy ci coś z naszego katalogu piosenek z gitarą". Drugi to filtrowanie kolaboratywne – jeśli ze znajomymi słuchasz artysty danego gatunku, a oni także innego artysty z tego samego gatunku, serwis założy, że też możesz go polubić. Dziś w różnych konfiguracjach te dwie metody napędzają współczesne rekomendacje na Spotify, YouTubie czy Netflixie.

Ten drugi sposób był mocno obecny w powstałym ponad dwie dekady temu serwisie Last.fm – kluczowym dla pokolenia milenialsów na świecie, którzy dzięki temu nawzajem inspirowali się do słuchania muzyki, zapisywali na koncerty, a potem wspólnie na nie chodzili. Last.fm pierwszy wprowadził funkcję scrobblingu, czyli automatycznego zapisywania tego, czego słuchamy. Dzięki temu tworzył się osobisty dziennik muzyczny, który pokazywał, jak zmieniają się nasze gusta, do czego wracamy i co odkrywamy na nowo. Dla wielu osób był to pierwszy moment, kiedy mogły realnie zobaczyć swoją muzyczną tożsamość w liczbach, rankingach i na wykresach. Przed erą serwisów streamingowych Last.fm pokazywał też popularność utworów danych artystów.

Jeśli Muzak był swoistą maszyną nastroju, to czy dziś nie są nimi playlisty w serwisach streamingowych?



O sposobach słuchania muzyki i o tym, jak streaming wpływa na nasze przyzwyczajenia i nawyki, pisze w książce *Mood Machine: The Rise of Spotify and the Costs of the Perfect Playlist* (*Mood Machine: Rozwój Spotify i koszt idealnej playlisty*), która ukazała się na początku 2025 roku, amerykańska dziennikarka Liz Pelly. Przedstawia ona współczesne playlisty jako kluczowy element tego, jak platformy streamingowe zmieniły nasze nawyki słuchania muzyki.

Na nośnikach – płycie CD, winylowej lub kasecie – format wyznacza to, w jaki sposób ją odbieramy: jako całościowo powstały album, który włączamy, zmieniamy stronę nagrania, decydujemy o tym, kiedy zaczynamy, a kiedy kończymy słuchanie. Playlisty działają inaczej. Często nie słuchamy albumów w całości, korzystamy z efektu „shuffle" łączącego utwory wielu artystów w trwającą kilka, a czasem kilkadziesiąt godzin listę. Rodzi się pytanie, jakie właściwie mamy nawyki. Czy słuchamy albumów od początku do końca i świadomie? Czy muzyka jest dla nas tłem do jazdy samochodem, treningu, pracy? Czy w ogóle interesuje nas, kto stworzył to, co słyszymy w klubie albo restauracji? W tym momencie wychodzimy poza relację twórca–słuchacz.

Co jednak kluczowe, za sprawą serwisów streamingowych playlisty stały się czymś więcej niż zbiorem utworów – są narzędziem kształtowania gustów i nastrojów. Na tych o tematyce zawężonej do gatunku albo nastroju pojawiają się nowe utwory umieszczane tam z jednej strony, aby komercyjnie wypromować danego artystę, z drugiej – aby tworzyć łatwo przyswajalny zestaw, który stopniowo zdobywa coraz więcej słuchaczy i w efekcie staje się platformą do promocji nowych treści.

Według Pelly dominacja playlist sprawiła, że coraz rzadziej sięgamy po albumy czy twórczość konkretnych artystów. Zamiast tego oddajemy się rytmowi algorytmicznej selekcji, która podsuwa nam muzykę nie dlatego, że ma znaczenie artystyczne, ale z tego względu, że pasuje do określonego nastroju lub kontekstu użytkowego. Tytułowe *mood machine* obraca się często nie

eprasa.pl dce24a0826

wokół gatunków, ale uczuć i czynności, takich jak *chill*, *focus*, *sleep*. Muzyka więc przestaje być autoteliczną formą odbioru sztuki, a staje się funkcjonalnym tłem – narzędziem do pracy, relaksu, konsumowania innych treści, ale ma też poprawiać nastrój lub produktywność. W ten sposób playlisty zaczynają przypominać nową wersję Muzaka – dźwięków użytkowych, skrojonych pod zapotrzebowanie i wygodę, nie zaś pod wartość twórczą.

Platformy streamingowe, takie jak Spotify, mają nad nami i artystami dużą władzę. Nad nami, bo to one *de facto* decydują, czego słuchamy. Nad artystami, bo to, co się tam znajdzie, wpływa na wzrost ich popularności, a w efekcie nierzadko na całą karierę. Lądują tam dzięki połączeniu algorytmów i decyzji redakcyjnych serwisów, które analizują zachowania słuchaczy – odsłuchy, zapisy i tempo wzrostu popularności – a jednocześnie wybierają nagrania zgłaszane przez artystów i wytwórnie. Duże znaczenie ma też wsparcie wydawców oraz efekt kuli śnieżnej, dzięki któremu obecność na jednej playliście zwiększa szanse pojawienia się na kolejnych. Algorytmiczne, nieprzejrzyste mechanizmy selekcji tworzą ukrytą hierarchię, przez co autorzy zaczynają tworzyć muzykę dostosowaną do wymogów: krótszą, szybszą, pozbawioną wstępów. Podobną do tej puszczanej w radiu w *prime timie*.

Wraz z rozwojem tego modelu rośnie zjawisko muzycznego konsumpcjonizmu: ogromne playlisty wypełniają masowo generowane dźwięki, a AI slop jest traktowany jak każdy inny utwór i bywa dyskretnie wplatany między kompozycje prawdziwych artystów, czego słuchacz często sobie nie uświadamia (na Spotify można je zamieścić bez żadnych ograniczeń). – Niedawno po raz pierwszy byłem w Japonii i odkryłem na nowo gatunek *city pop* – energetyczną, melodyjną japońską muzykę z lat 80.: fusionowe aranże, rzewne melodie i ogromna dawka nostalgii. Słuchasz tego i od razu widzisz jazdę kabrioletem przez Tokio w ciepły wieczór 1992 roku – wspomina Modrzejewski. – Zacząłem słuchać różnych playlist i po kilku dniach zorientowałem się, że czwarta piosenka z rzędu ma ten sam refren. Okazało się, że wiele współczesnych „citypopowych playlist" to generowane masowo utwory imitujące gatunek. Podobnie dzieje się z *lofi beats*. Już praktycznie nikt nie produkuje tego ręcznie – to muzyka tak powtarzalna i strukturalnie przewidywalna, że modele generatywne radzą sobie z nią doskonale, tworząc nieskończone strumienie.

Pojawiają się tam też tak zwani *ghost artists* – fikcyjni lub występujący pod pseudonimem twórcy, pod których nazwami serwisy streamingowe (zwłaszcza Spotify) publikują masowo produkowaną, tanią muzykę stockową, stworzoną przez anonimowych kompozytorów na zlecenie (o czym pisze Liz Pelly). Proceder ten pozwala platformom obniżać koszty wypłat tantiem, a jednocześnie zaciera granicę między autentyczną twórczością a produkcją użytkową.

Serwisy streamingowe nie zrobiły wystarczająco dużo, aby podać takie informacje, jak kto stworzył playlistę – czy to efekt pracy redakcji, czy algorytmów.

Spotykam Pelly na festiwalu Unsound w październiku ubiegłego roku, potem wymieniamy się mailami, wreszcie – na początku grudnia – udaje się nam porozmawiać. Zastanawiam się, czy da się „zreformować" Spotify? – Wierzę zarówno w znaczenie oddolnej organizacji artystów wywierającej presję na platformy, jak i w budowanie niezależnej infrastruktury poza głównymi ośrodkami władzy kulturowej. Te ścieżki nie muszą się wykluczać. Dla części twórców naturalnym wyborem będą oddolne, niezależne alternatywy, takie jak platforma Bandcamp czy Catalytic Soundstream – zainicjowana przez muzyczną kooperatywę, zrzeszająca kilkudziesięciu muzyków i muzyczek związanych ze sceną improwizowaną w Chicago. Inni – zwłaszcza ci, którzy mimo wszystko utrzymują się częściowo ze *streamingu* – potrzebują bardziej uczciwych zasad podziału pieniędzy, większej przejrzystości działania platform – wyjaśnia Pelly i zwraca uwagę, że w debacie o generatywnej muzyce warto widzieć dwie rzeczy naraz.

Po pierwsze, czyja twórczość służyła jako dane treningowe, jak oznaczać takie utwory, czy trafią na playlisty redakcyjne i do algorytmów. Po drugie trzeba pamiętać, że „inne" formy AI – algorytmiczne playlisty i hiperpersonalizacja – kształtują słuchanie od 10–15 lat, wpływając na kontekst, znaczenie i wartość, jaką przypisujemy muzyce i dziennikarstwu muzycznemu. Jej zdaniem firmy nie łudzą się, że ktoś świadomie wybierze „AI zamiast ludzi", raczej liczą na to, że słuchacze nie zauważą różnicy.

– Martwi mnie, że hiperpersonalizacja zamyka ludzi w bańkach i zniechęca do ciekawości. Mało kto rodzi się „zajawkowiczem" – zwykle potrzebny jest impuls: płyta, tekst, audycja, rozmowa w sklepie płytowym. Jeśli zamiast tego mamy pasywny strumień bez kontekstu, wiele takich momentów przepada – mówi Pelly. Dziennikarka podkreśla, że utwory w dużej mierze generatywne powinny być wyraźnie oznaczane. Nie każdy użytkownik lub użytkowniczka ma narzędzia, by rozpoznać, co jest czym. Oznaczenia pozwalają podejmować świadome decyzje. – W dziennikarstwie podstawą są standardy rzetelności, których musimy przestrzegać, aby być uczciwym wobec czytelników. Jeśli coś znajduje się w gazecie i jest opłacane, redakcja oznacza to jako reklamę. A to, co oznaczone nie jest, można uznać za artykuł redakcyjny – tłumaczy.

Pelly twierdzi, że platformy streamingowe, które poza muzyką dostarczają dziś także podcasty i audiobooki, powinny spełniać podobne standardy. Jeśli coś jest rekomendowane w wyniku umowy handlowej, dzięki której firma może taniej polecić dany produkt lub treść, powinna to oznaczyć. – Myślę, że serwisy streamingowe

eprasa.pl dce24a0826

nie zrobiły wystarczająco dużo, aby jasno to określić i podać takie informacje, jak kto stworzył playlistę – czy to efekt pracy redakcji, czy algorytmów. Wszystkie te dane kontekstowe, które mogłyby pomóc użytkownikowi zrozumieć, co ogląda, były od dawna minimalizowane – w celu zmniejszenia wysiłku poznawczego, jaki użytkownik musi włożyć podczas poruszania się po platformie – aby zamiast tego uczynić ją jak najbardziej płynną i bezproblemową. Absolutnie konieczne jest wprowadzenie standardów branżowych, by zmusić te platformy do większej uczciwości wobec użytkowników w kwestii tego, co oglądają.

Czynnik ludzki

—

POSTANAWIAM ZASIĘGNĄĆ jeszcze jednej opinii. „Czy AI byłaby w stanie tworzyć sztukę porównywalną z tą, którą tworzą ludzie?" – pytam przekornie w oknie ChataGPT, choć przecież znam odpowiedź. Dostaję ją ekspresowo: „Technicznie – tak. Mogę generować obrazy, teksty, dźwięki, struktury; mogę naśladować style i strategie obecne w historii sztuki. Ale twórczość nie powstaje z samego zestawienia elementów ani z biegłości wykonawczej. Sztuka rodzi się z określonego sposobu bycia w świecie: z napięcia, które artysta odczuwa, z jego doświadczeń, konfliktów, zachwytów i ran. Mogę odtwarzać logikę tych gestów, ale nie ich źródło. Nie mam biografii, która splatałaby wybory w jedną, własną trajektorię. Nie mam pamięci emocjonalnej, która nadaje znaczenie temu, co wybieram i zestawiam. Sztuka nie składa się tylko z przetwarzania materiału; polega na zajęciu pozycji wobec kultury i rzeczywistości. Jest aktem świadomości i wolności, a nie tylko operacją na danych. AI może powtórzyć kroki, ale nie może powtórzyć motywacji, z której te kroki wynikają. A w sztuce powód – intencja, napięcie, doświadczenie – jest wszystkim".

Pytam też człowieka. – Do tej pory w historii muzyki przyjmowaliśmy jako oczywistość, że twórcą jest człowiek. Słuchając muzyki, słyszymy nie tylko dźwięki, lecz także pewną historię: za każdym utworem stoi osoba, jej doświadczenia, proces twórczy, emocje. Muzyka jest więc w jakimś sensie kompresją czy destylacją ludzkiego życia – mówi Mateusz Modrzejewski. – Tymczasem po raz pierwszy mamy do czynienia z sytuacją, w której „twórcą" może być maszyna generująca utwór bez ludzkiej biografii, przeżyć czy emocji. Można to przyrównać do wcześniejszych eksperymentów generatywnych – choćby prac, w których kompozycja polegała na puszczaniu dwóch nagrań przesuniętych względem siebie o sekundę albo odtwarzaniu tej samej taśmy na dwóch urządzeniach o nieco innej prędkości. To tworzyło nowe, przenikające się struktury dźwiękowe. Ale to były świadome, formalne zabiegi twórców.

Włączmy raz jeszcze nasz soundtrack. Allen Klein w historii muzyki zapisał się jako menedżer, który maksymalizował zyski artystów, ale przede wszystkim swoje, nie ustępował w żadnych negocjacjach, wykorzystując każdą lukę prawną, stąd afera z The Verve. Mówi się, że przyczynił się do rozpadu The Beatles. Zatrudnienie Kleina – forsowane przez Johna Lennona, George'a Harrisona i Ringa Starra wbrew Paulowi McCartneyowi – złamało zasadę jednomyślności i podważyło zaufanie w zespole. Klein, słynący z przejmowania praw artystów, szybko zdobył kontrolę nad finansami Beatlesów. Gdy McCartney próbował się od niego uwolnić, musiał pozwać kolegów, bo to oni podpisali kontrakt. Ten krok pogłębił rozłam i praktycznie zamknął drogę do reaktywacji.

Później Lennon przyznał McCartneyowi rację; spekuluje się nawet, że odniósł się do Kleina w piosence *Steel and Glass* z gorzką linią: Your mother left you when you were small/ But you're going to wish you wasn't born at all („Twoja matka zostawiła cię, kiedy byłeś mały/ Ale będziesz żałował, że się w ogóle urodziłeś"). Klein zmarł 4 lipca 2009 roku w Nowym Jorku, w wieku 77 lat, po chorobie związanej z alzheimerem. Od tego momentu wielu ludzi zaczęło mówić głośniej, że Richard Ashcroft powinien odzyskać prawa do *Bitter Sweet Symphony*. Po latach presja się nasiliła i w 2019 roku Jagger i Richards przekazali prawa Ashcroftowi. To gest symboliczny, ale był możliwy dopiero po śmierci zachłannego menedżera.

Ostatecznie wygrał czynnik ludzki. Myślę, że od teraz będziecie już inaczej słuchać *Bitter Sweet Symphony*. Może bardziej świadomie? Wiecie, co mam na myśli.

Pismo.

1,5%

Wesprzyj nas, abyśmy mogli dalej podejmować ważne społecznie tematy, których brakuje w innych mediach.

KRS 0000689263

eprasa.pl dce24a0826

Zakaz w krainie Oz

tekst AGNIESZKA BURTON

AUSTRALIA JAKO PIERWSZE PAŃSTWO na świecie wprowadziła zakaz korzystania z mediów społecznościowych przez dzieci i młodzież do 16. roku życia. Czy wygra z big techami?

Kiedy nasz syn po raz pierwszy założył konto na Instagramie, próbowałam sprawdzać każdą osobę z jego znajomych. Dziś nie jesteśmy w stanie tego ogarnąć – przyznaje Monica, mająca z mężem Simonem dwójkę dzieci: nastoletnią Ruby i dwudziestoparoletniego Ethana [ich imiona zostały zmienione – przyp. red.]. Rodzina mieszka w Perth, ponaddwumilionowej metropolii położonej w zachodniej Australii, na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego. – Na początku, gdy miał ich około 100, było to możliwe, ale potem powiedziałam do Simona: „Jest ich już 300, a mnie zajmuje co najmniej godzinę, żeby codziennie sprawdzić, czy nikt go nie nęka, nie naciąga, czy nie pada ofiarą *groomingu* [uwodzenia przez internet – przyp. red.]". Odpuściliśmy, gdy zbliżał się do 1000 znajomych.

Simon wspomina rozmowę z synem: „Masz takich z Rosji i Afryki? Przecież ty ich nie znasz". Ethan przyznał, że to wynik presji, by uzbierać jak najwięcej lajków i serduszek. Jeśli nie ma się kilku tysięcy obserwujących na Insta, jest się nikim.

– Rząd w Canberze od lat zwracał się do Mety (właściciela Instagrama) i pozostałych firm, do których należą inne media społecznościowe, by wzięły odpowiedzialność za swoje treści, które mogą wpływać na bezpieczeństwo Australijczyków, szczególnie dzieci – mówi mi doktorka Belinda Barnet, badaczka mediów społecznościowych ze Swinburne University of Technology w Melbourne. – Nie przyniosło to efektów, więc władze wprowadziły zakaz.

Rankiem 10 grudnia 2025 roku australijskie dzieci i nastolatki, które nie ukończyły 16 lat, obudziły się w nowym świecie: ich konta w mediach społecznościowych zostały zablokowane. Nie mogły też założyć nowych. To wynik przegłosowanej rok wcześniej nowelizacji do Ustawy o bezpieczeństwie w sieci (Online Safety Act), według sondażu YouGov cieszącej się poparciem 77 procent Australijczyków. Jeśli Ethan wszedł tego dnia na Instagram, zobaczył komunikat: „Z powodu przepisów obowiązujących w Australii osoby poniżej 16. roku życia nie mogą korzystać z mediów społecznościowych. Będziesz mógł korzystać ze swojego konta od 28 października 2026 roku [to dzień, w którym osiągnie wiek wymagany prawem – przyp. red.]. (...) Do tego czasu twój profil nie będzie widoczny dla ciebie ani dla innych użytkowników. Kiedy skończysz 16 lat, poinformujemy cię, że możesz ponownie korzystać z Instagrama, a twój profil, posty, wiadomości i aktywność zostaną przywrócone".

To pierwszy na świecie taki zakaz i władze kraju wydają się być świadome doniosłości tego faktu. „Będzie to jedna z największych zmian społeczno-kulturowych, przed jakimi stanął nasz naród, głęboka reforma, która w nadchodzących latach stanie się powodem do naszej dumy. (...) Zakaz korzystania z mediów społecznościowych przez dzieci sprawi, że australijscy rodzice będą mieć większy spokój ducha, a australijskie dzieci – dzieciństwo" – czytamy w manifeście *Protecting Australian kids from social media harm* (*Chroniąc australijskie dzieci przed krzywdą ze strony mediów społecznościowych*). Na trzy dni przed wejściem nowego prawa w życie pojawił się on na oficjalnej stronie premiera Anthony'ego Albanese.

Odpowiedzialność za egzekwowanie ograniczeń spoczęła nie na dzieciach czy ich rodzicach, ale na właścicielach platform. Serwisy – takie jak Facebook,

eprasa.pl dce24a0826



rysunek JOANNA GROCHOCKA

eprasa.pl dce24a0826

AGNIESZKA BURTON, dziennikarka i pisarka, autorka reportażu *Ozland. Przestrzeń jest wszystkim*. Pracuje w polskiej sekcji australijskiego radia SBS. Jej artykuły ukazały się w mediach w Polsce, a także w International Journalist Network i mediach singapurskich. Studiuje Philosophy and Creative Writing na Monash University w Melbourne.

Instagram, TikTok, Snapchat, X, Reddit czy YouTube – będą musiały wykrywać i usuwać bądź dezaktywować konta nieletnich oraz blokować im możliwość rejestracji. W przypadku braku podjęcia działań firmy mogą zostać ukarane grzywną w wysokości do 49,5 miliona dolarów australijskich (około 120 milionów złotych).

Pełniąca funkcję komisarz ds. bezpieczeństwa w internecie (eSafety Commissioner, eSC) Julie Inman Grant precyzuje, że limit wieku 16 lat obejmuje platformy społecznościowe nastawione na publiczną interakcję między użytkownikami i udostępnianie treści. Z tego powodu nie dotyczy to komunikatorów, takich jak Messenger czy WhatsApp [o tym, jak niebezpieczny dla najmłodszych może być ten ostatni, pisała Maja Hawranek, „Pismo" nr 12/2025 – przyp. red.], ani gier online. Dzieci wciąż będą też mogły przeglądać publiczne treści, które nie wymagają logowania.

Australijski rząd uspokaja: „Nie każdy będzie weryfikowany". Jeśli ktoś zarejestrował się w serwisie społecznościowym, podając wiek 16 lub więcej lat, nie musi się obawiać dodatkowych kontroli. W ramach przeprowadzania weryfikacji wieku swoich użytkowników i użytkowniczek portale nie mogą pod groźbą grzywny (również 49,5 miliona dolarów australijskich) wymagać okazywania dowodu tożsamości. „Dane zebrane w celu weryfikacji wieku nie mogą być użyte do marketingu ani innych celów bez twojej zgody" – zapewnia na swojej stronie eSC.

Jednocześnie australijska administracja twierdzi, że osoby korzystające z portali, które są objęte limitem wieku, nie mają szans na jego fałszowanie. Platformy mają sprawdzać wszystko – od czasu istnienia konta, przez interakcje z młodszymi użytkownikami i użytkowniczkami, członkostwo w grupach, język i styl wpisów, udostępniane zdjęcia i filmy, aż po rytm aktywności (czy nie jest przypadkiem zgodny ze szkolnym harmonogramem). „Wiemy, że wiele firm już korzysta z zaawansowanych wskaźników, takich jak dane behawioralne czy analiza języka naturalnego, aby oszacować wiek swoich użytkowników – powiedziała Inman Grant. – Oczekuję więc, że platformy będą wykorzystywać je w celach bezpieczeństwa, w sposób chroniący prywatność młodszych użytkowników".

Czy australijski zakaz to ochrona prywatności czy jej naruszenie? Będzie skuteczny czy łatwy do obejścia? I czy nie stłamsi aktywności młodzieży w sieci?

—

Z 13-LETNIM KAIEM spotykam się w listopadzie 2025 roku na przedmieściach Melbourne. Jest powściągliwy, jego głos co chwilę przeskakuje z niskiego w wysoki, jak to bywa podczas mutacji. W telefonie korzysta jeszcze wówczas z Instagrama. Przewija rolki i ogląda filmiki o rzeźbieniu w drewnie oraz *brainrot*, dosłownie: zgniliznę mózgu. To zbiorcze określenie na



krążące w internecie absurdalne ilustracje bądź wideo, które tworzą strumień pozornie bezsensownych treści, jednak dla osób intensywnie uczestniczących w ich produkcji i konsumpcji układają się w luźno powiązany ekosystem rozpoznawalnych postaci, żartów, odniesień i słownictwa.

Kai używa Instagrama również do urbexu (od *urban exploration*, czyli eksploracji miejskiej) – wrzuca zdjęcia ze swoich wypraw do opuszczonych domów, fabryk i tuneli. Poznał w ten sposób wielu urbexiarzy, jednak koledzy chłopca są aktywni przede wszystkim na Snapchacie, gdzie komunikują się na czatach. Zdarzyło mu spotkać się na nich z cyberprzemocą.

Czy zakaz będzie dla niego trudny? – I tak nic na ten ban nie poradzę. A gdy wejdzie blokada, przeniesiemy się z gadkami na dozwolone platformy: WhatsAppa lub Messengera – chłopiec się śmieje. – Niektórzy kumple to dopiero będą mieli problem... Są uzależnieni, skrolują rolki i oglądają filmiki po pięć godzin dziennie!

Następna rozmówczyni, Katie, ma długie włosy i delikatny makijaż, nosi prostą bluzę, jeansy i trampki. Wypowiada się jasno i dojrzale, jakby udzieliła wywiadu już niejednemu dziennikarzowi. Jej chłopak to Josh, z szopą jak u Boba Dylana; sypie mu się pierwszy wąs. Marzy o karierze muzyka, ma talent, mówi basem, krótko, od niechcenia. Poznali się na Instagramie i dopiero po dwóch latach zorganizowali spotkanie twarzą w twarz. Opowiadają mi, że wiele par rozmawia na Snapchacie i nigdy nie realizuje związku w prawdziwym życiu.

Mają po 17 lat i kończą szkołę średnią, którą tutaj w Oz – jak zwana jest Australia – zaczyna się w klasie siódmej, w wieku 12 lat. Siedzimy przy ognisku na polanie lasu pod Melbourne. Otaczają nas ogromne eukaliptusy i drzewiaste paprocie. Szumi rzeka, Josh plumka na gitarze.

– Odinstalowałam TikTok. Zaburzał mi życie. Tam są algorytmy stworzone po to, żeby cię wciągać, śledzą twoje komentarze, ile czasu spędzasz, jakie profile przeglądasz, mogą przewidywać twoje ruchy. *Brainrot* na TikToku napływa ciągłym strumieniem, który oglądasz bez limitu. Te filmiki są szybkie, co skraca uwagę. W efekcie my, młodzi, nie potrafimy długo się koncentrować – przyznaje Katie i wylicza:

– Wykluczanie, hejt, znęcanie się? Tak, zdecydowanie! Nastolatki zakładają konta, żeby trollować innych, naśmiewać się, zastraszać. Łatwo jest otworzyć anonimowy profil, na przykład *Nienawidzę Anny*. Mam koleżankę. Kiedy miała 11 lat, ktoś założył wymierzone w nią konto. Pisali tam, żeby się zabiła. Przypadkiem dowiedziała się, kto to był, ale często potrzebna jest policja. Niektóre dzieci nie mają jednak odwagi, by się zgłosić, i mogą być zastraszane: „Jeśli pójdziesz na policję, opublikujemy kompromitujące cię nagrania".

Problemy z mediami społecznościowymi nie kończą się na różnych formach cyberprzemocy. – Rośnie liczba osób, które zamiast marzyć o dobrym zawodzie, chcą zostać influencerami – kontynuuje Katie. W jej klasie są uczennice, które przed kamerą tworzą wizerunek kogoś, kim nie są.

eprasa.pl dce24a0826

Skrolują bez końca, mamią ich paczki z kosmetykami, które dostają vlogerki. Ciągle muszą robić zdjęcia, coś publikować, stale porównują się z innymi. Używają tego samego slangu, przesadnie akcentują słowa, jakby wiecznie miały o coś pretensję, kupują podobne, skąpe ubrania, tak samo gestykulują rozczapierzonymi palcami z wymalowanymi paznokciami.

– Są też ludzie na socialach, którzy mogliby zrobić coś dobrego, sprzeciwić się popkulturowym kanonom ciała, ale nigdy nie dotrą do takiej publiczności jak kontent związany z pielęgnacją skóry, włosów czy z dietami. Media społecznościowe zabijają radość życia! – wkurza się Katie. Do rozmowy włącza się Josh: – Zazdroszczę moim rodzicom, generacji X, która nie dorastała online. Ludzie byli bliżej siebie. Teraz na czatach trudno znaleźć autentyczność.

Pytam, czy słyszał o coraz popularniejszym trendzie bycia offline.

– Wśród moich znajomych nie widzę trendu polegającego na rezygnacji z mediów społecznościowych. Bo jeśli z nich znikasz, to jak niby miałbyś dać o tym znać? Dawniej mody pojawiały się na przykład w magazynach, które trzeba było prenumerować. Dzisiejsze trendy mają możliwość zaistnienia jedynie w socialach. To mikromody, które trwają najdłużej miesiąc. Wszystko jest chwilowe i ulotne.

Za to Josh zaobserwował inne zjawisko: zbiorowe pragnienie powrotu do życia wśród natury. Wyraża się ono w rozmaitych trendach na TikToku i Instagramie – od *cottagecore* (idealizowanie niespiesznego życia na wsi, ogrodnictwa, pieczenia, rękodzieła), przez *off-grid* (dokumentowanie samowystarczalnego życia, bez dostępu do sieci energetycznej i reszty infrastruktury miejskiej), *bushcraft* (pokazywanie praktycznych umiejętności przetrwania w terenie) i *paleo* (próba odtworzenia diety z czasów jaskiniowych), aż po *caveman skincare* czy *caveman storytime*, których propagatorzy rezygnują odpowiednio: z kosmetyków (włącznie ze środkami myjącymi) i gramatyki (specjalnie komunikując się prymitywnym językiem w rodzaju: „ja być", „ja iść"). Tagowane tymi hasłami rolki wydają się wynikać z poczucia przebodźcowania nieustannym strumieniem treści w mediach społecznościowych – i paradoksalnie tylko się do niego dokładają.

Co moi rozmówcy myślą o zakazie?

Kai: – Będziemy więcej wychodzić na dwór.

Josh: – Czasem sociale są pomocne, na przykład w świecie muzyki. Możesz poznać ludzi z odległych miejsc, na przykład gdzieś w Brazylii, którzy bez nich do końca życia graliby tylko w swoim miasteczku. Gdy będę gotowy, wrzucę swoje nagrania na Insta, może na TikTok, zobaczymy...

Katie: – Szkoda, że to prawo nie weszło, gdy byłam młodsza, bo zmusiłoby mnie do odłożenia telefonu. Decyzja władz daje większe efekty niż siła woli.

—

TAKŻE DO Australii dotarła książka *Niespokojne pokolenie. Jak wielkie przeprogramowanie dzieciństwa spowodowało epidemię chorób psychicznych* amerykańskiego psychologa społecznego Jonathana Haidta. Autor dowodzi w niej, że smartfony, platformy społecznościowe, brak swobodnej, nienadzorowanej przez rodziców zabawy i nadopiekuńczy styl wychowania gruntownie zmieniły dzieciństwo, doprowadzając od przełomu XX i XXI wieku do wzrostu problemów ze zdrowiem psychicznym najmłodszych.

Zmiany ewolucyjne zachodzą w ciągu wielu pokoleń, natomiast to, co obserwujemy w przypadku krótkowzroczności, dzieje się w obrębie jednego. Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła nawet ostrzeżenie epidemiczne i prognozuje, że do 2050 roku połowa światowej populacji będzie krótkowzroczna.

Do podobnych wniosków doszedł doktor Michael Carr-Gregg, jeden z czołowych australijskich psychologów dziecięcych. W webinarze *Needs & Challenges Growing up in the 21st Century* (*Potrzeby i wyzwania związane z dorastaniem w XXI wieku*), opublikowanym na youtube'owym kanale Monah University z Melbourne w lipcu 2025 roku, zwraca on uwagę na czynniki, które wpływają na zdrowie psychiczne młodych ludzi: rosnące ceny i problemy z osiągnięciem niezależności finansowej, izolacja społeczna, leki i używki, lęk klimatyczny oraz spadek zaufania do instytucji. Do tego dochodzą platformy społecznościowe, które powodują ciągłe poszukiwanie aprobaty i potwierdzenia własnej wartości oraz przyczyniają się do niedoboru snu – i katastrofa gotowa! Carr-Gregg podkreśla, że nigdy wcześniej nie spotkał się z tak poważną skalą tego zjawiska.

„Badania pokazują, że spędzanie przez nastolatki ponad trzech godzin dziennie w mediach społecznościowych wiąże się z gorszym zdrowiem psychicznym – mówi psycholog podczas webinaru – A przecież muszą mieć w sobie jakąś iskrę, która sprawia, że rano wstają. Ta iskra robi ogromną różnicę, szczególnie jeśli rodzice podzielają entuzjazm dziecka i wspierają jego pasje". Taką iskrą nie są platformy społecznościowe, które skutkują podwyższonym stresem, gorszą koncentracją i obniżoną produktywnością. To jak *fast food* na śniadanie – dopaminowy kop, którego efekty szybko gasną, pozostawiając głód.

—

MONICA I SIMON z Perth mówią mi, że ich córka używa platform społecznościowych cały czas: – Do kontaktu z przyjaciółmi, opowiadania o zabawnych rzeczach, a nawet do śledzenia koleżanek – wyliczają. – Snapchat ma funkcję, która pozwala zobaczyć, która koleżanka gdzie jest – tłumaczy Simon. – Jeśli masz z kimś konflikt, może stać się to bronią, elementem wykluczania. Ruby już tego doświadczyła: „Och, Emily, Sarah, Lucy i Emma są w galerii handlowej. Jestem blisko z tymi dziewczynami, a mnie nie zaprosiły".

Rodzice martwią się, bo córka ciągle przewija filmiki o kotach. Kiedyś to chociaż piłkę nożną skrolowała. Albo wchodzi na YouTube'a i ogląda Anglików grających w gry komputerowe, ich interakcje i komentarze – to ją bawi. Odrabia lekcje, a YouTube gada i gada. Ruby rządowy zakaz nazywa balonem: jak naciskasz w jednym miejscu, to napompuje się w innym. Trochę jak prohibicja w Ameryce, o której właśnie uczy się w szkole. Uważa, że pojawią się inne

eprasa.pl dce24a0826

problemy, inne sposoby, żeby kogoś dręczyć. Dzieci zostaną czegoś pozbawione. Będą smutne i wykluczone. Monica i Simon obawiają się, że młodzi i tak znajdą sposoby, żeby obejść zakaz. Będą korzystać z telefonów rodziców albo rodzeństwa, starsi uczniowie będą sprzedawać dostęp młodszym, pojawią się piraci, którzy zrobią na tym interes.

Simon często zastanawia się nad coraz mniejszą umiejętnością koncentracji u młodych. Jak z nimi rozmawiać, jak przekazywać informacje, jakie tworzyć materiały edukacyjne dla pracowników? Trzydziestosekundowe filmiki? „To dla mnie za dużo", „To za długie", „Nie jestem w stanie więcej przyswoić" – często narzeka ich córka. Niedawno skończyła 16 lat, więc zakaz jej nie obejmie. Może w jej wypadku to jednak dobrze? Simon pracuje na platformach wiertniczych i przez połowę życia Ruby jest nieobecny. Daleko od lądu szwankuje łączność telefoniczna, internet też bywa powolny. Tata wysyła córce śmieszne rolki, filmiki o kotach, w ten sposób pokazując, że myśli o niej, tak utrzymuje więź. – A przecież w stanie Australia Zachodnia wielu ojców pracuje daleko, w kopalniach [co dziesiąty mężczyzna z tego stanu był w zeszłym roku zatrudniony w górnictwie – przyp. red.] – stwierdza Monica. – Wiele rodzin jest w podobnej sytuacji, więc przez ten zakaz może ucierpieć relacja rodzic––dziecko.

—

MARK Z MELBOURNE ma synów mających 13 i 23 lata. Młodszy używa Snapchata do kontaktów z kolegami. Wysyłają sobie *streaks*, czyli nieprzerwane ciągi zdjęć lub filmików, tak długo, jak się da, nawet setki dni. Każda doba jest nagradzana kolejnym emoji przy nicku użytkownika, z którym łączy nas *streak*, co motywuje do nieustannego zaangażowania. – Młodszy jeszcze potrafi się opanować – mówi Mark – ale starszy jest poza kontrolą.

Skąd ta różnica?

– Wychowanie. Mają różne matki. Młodszy ma bardziej rygorystyczną, jeśli chodzi o czas spędzany online. Ma ustalone reguły i jeśli się do nich stosuje, jest nagradzany, a jeśli nie, ponosi konsekwencje. W przypadku starszego ja i moja poprzednia partnerka nie ustaliliśmy żadnych zasad.

Gdy jednak obaj synowie siedzą z nosami w telefonach, tracą świadomość tego, co dzieje się wokół. Wyłączają się z rozmowy. Kiedy ojciec próbuje zwrócić na siebie ich uwagę, stają się rozdrażnieni, potrafią ostro odpowiedzieć.

– Starszy miał tik, mrugał i wykrzywiał twarz. Wiązało się to z hormonami i z czasem minęło, ale w tamtym okresie bardzo go to dotknęło, miało dla niego reperkusje szczególnie w mediach społecznościowych. Młodszy jest nieco pulchniejszy i zmaga się ze złym postrzeganiem własnego ciała. Słyszę, jak sam o tym mówi. Często nie chodzi o bezpośrednie obrażanie przez innych, lecz o porównywanie się z nimi i poczucie, że własne ciało odstaje od ideału kreowanego na ekranach.

W wolnym czasie Maggie zwykle rozmawia z przyjaciółmi przez media społecznościowe i gra z nimi przez internet. Większość z nich mieszka w Sydney. Gdyby chciała zobaczyć się z nimi twarzą w twarz, musiałaby jechać tam autem tyle godzin, ile zajmuje trasa Warszawa–Bruksela.

Co dzieci Marka myślą o zakazie?

– Starszy powiedział, żebym dał mu spokój, uważa, że jest dorosły. Z 13-latkiem mamy szczęście, bo chodzi do dobrej, prywatnej szkoły, gdzie rozmawiają o bezpieczeństwie w sieci i zarządzaniu mediami społecznościowymi.

—

JAK WYNIKA z raportu australijskiej komisarz ds. bezpieczeństwa w internecie, 74 procent dzieci w jej kraju spotkało się ze szkodliwymi treściami online; w przypadku 63 procent miało to miejsce w ciągu ostatnich 12 miesięcy. Recepta? Edukacja cyfrowa.

Jedną z organizacji zajmujących się nią jest ySafe. Jej programy, realizowane przez psychologów dziecięcych i klinicznych, byłych funkcjonariuszy policji oraz nauczycieli specjalizujących się w bezpieczeństwie cyfrowym, dotarły już do ponad pół miliona uczniów w całym kraju – od zerówki po klasy maturalne. Obejmują takie kwestie, jak konflikty online, wykluczenie społeczne, presja rówieśnicza, długoterminowy wpływ cyfrowego śladu, *deepfaki*, *catfishing* (oszustwo polegające na tworzeniu fałszywych tożsamości w sieci) czy *sexting* (przesyłanie intymnych wiadomości, zdjęć i filmów).

Eksperci ySafe uczą rodziców i nauczycieli, jak mądrze nadzorować dzieci online („zarządzaj dostępem, ustal granice, komunikuj się otwarcie"), zalecają unikanie ekranów w sypialniach i podczas posiłków oraz niekorzystanie z urządzeń mobilnych w słuchawkach. Podkreślają, że sprzęt należy do rodziców („to nie twoje urządzenie, masz do niego tylko czasowy dostęp"). Przestrzegają przed narracją typu: „Za naszych czasów po prostu się spotykaliśmy, idź pobaw się z przyjaciółmi", zamiast tego proponując skupianie się na doświadczeniach młodego człowieka, okazywanie zainteresowania. Zajęcia ySafe nie demonizują technologii – wprowadzają przystępniejszy dla młodych ludzi język. Nie „cyberprzemoc", a „niewłaściwe zachowania", nie „zakaz", tylko „odroczenie" platform społecznościowych.

– Negatywne komunikaty mogą powodować, że młodzi stają się bardziej skryci w swoim zachowaniu online – tłumaczy mi Patrick Thomas, dyrektor ySafe do spraw edukacji i zaangażowania w kwestii bezpieczeństwa online. – Gdyby wszystko, co mówimy o technologii, było tylko negatywne, dzieci pomyślałyby, że ich nie rozumiemy. Zaczęliśmy więc kształtować język rozmów o bezpieczeństwie w sieci w 2013 roku, gdy tego typu zajęcia dopiero pojawiały się w australijskich szkołach.

Od budżetu danej placówki edukacyjnej zależy, jak często organizowane są lekcje bezpieczeństwa w internecie. Gdy brakuje środków, komitet rodzicielski organizuje zbiórkę albo kilka placówek łączy się, by dzielić koszty. Najbardziej zaangażowane instytucje zapraszają ySafe nawet raz w miesiącu – to bogate, prywatne szkoły z dużych miast, gdzie czesne kosztuje majątek. Thomas wyjaśnia, że każdy stan Australii ma swoją politykę dotyczącą telefonów w szkołach

eprasa.pl dce24a0826

publicznych. W podstawowych jest z tym łatwiej niż w średnich. Nie zna jednak żadnej placówki, która nie miałaby problemów z zachowaniem uczniów w sieci.

Co Thomas myśli o odroczeniu możliwości korzystania z platform społecznościowych do 16. roku życia?

– Rząd blokuje media społecznościowe, ale nie robi nic ze stronami internetowymi, na których nie ma weryfikacji wieku! Dzieci mogą więc nadal trafić na pornografię. To, co jednak podoba mi się w ustawie, to przerzucenie odpowiedzialności na wielkie firmy technologiczne, żeby w końcu znalazły rozwiązanie. To ogromny krok naprzód.

—

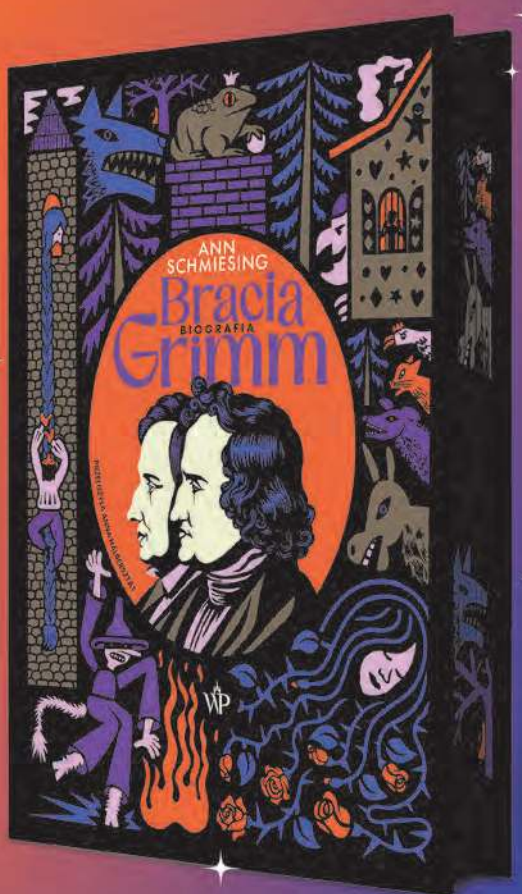
MELANIE Z MELBOURNE jest optometrystką. Obserwuje, jak szybko rozpowszechnia się u dzieci krótkowzroczność, a u tych, które już ją miały, wada znacznie się pogłębia. – Korzystają z małych ekranów, trzymanych około 30 centymetrów od twarzy, a często nawet bliżej, co powoduje wydłużanie się gałki ocznej na osi przód–tył i jest bezpośrednią przyczyną krótkowzroczności. Każda dodatkowa godzina dziennego korzystania z urządzeń ekranowych zwiększa ryzyko jej wystąpienia o 21 procent! – mówi.

Zmiany ewolucyjne zachodzą w ciągu wielu pokoleń, natomiast to, co obserwujemy w przypadku krótkowzroczności, dzieje się w obrębie jednego. Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła nawet ostrzeżenie epidemiczne i prognozuje, że do 2050 roku połowa światowej populacji będzie krótkowzroczna (w 2000 roku było to 22 procent).

Sue pracuje jako pedagożka w szkole dla dziewcząt w Sydney i mocno popiera nową ustawę. Jest mamą dwóch nastolatek. – Codziennie siadamy z nimi do obiadu bez ekranów i rozmawiamy bez oceniania. Pytamy o posty, które wrzucają w mediach społecznościowych: „Jaki jest przekaz tego, co opublikowałaś?". Tłumaczymy, że wszystko to może zobaczyć ich przyszły pracodawca. Moje córki dorabiają jako nauczycielki pływania i często opowiadają, jakie to smutne, gdy dzieci chcą się popisać swoimi postępami przed rodzicami, a ci są ciągle wpatrzeni w telefony – opowiada.

W szkole, w której pracuje, Sue obserwuje, z jak wieloma problemami borykają

Bracia Grimm



HISTORIA, KTÓRA ZACZYNA SIĘ TAM, GDZIE KOŃCZY BAŚŃ

WP
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

eprasa.pl dce24a0826

się dzieci wystawione na działanie platform społecznościowych. Najczęściej uczennice przychodzą do niej z powodu subtelnego nękania, wykluczania, ignorowania. A także zaburzeń odżywiania czy obsesyjnych ćwiczeń, czyli chęci osiągnięcia idealnego wyglądu wykreowanego przez treści na Facebooku, TikToku i Instagramie. Całe swoje poczucie wartości uzależniają od liczby polubień. Sue przeraża ich potrzeba natychmiastowej gratyfikacji.

– Mamy kryzys lęku. Co drugie dziecko dostaje diagnozę zaburzeń lękowych, bo wychowanie polega dziś na tym, że rodzice chcą wszystko naprawiać, nie pozwalając swoim pociechom odczuć smutku, rozczarowania, złości. Dlatego młodzi nie rozwijają umiejętności radzenia sobie z odrzuceniem, nie mają zdrowej samooceny – mówi. Regularnie słyszy w szkolnym gabinecie: „To mnie triggeruje", „Tamto mnie uruchamia", „Nie mogę, bo to wywołuje mój lęk". – Tłumaczymy, że nerwy przed testem są normalne, że samo poczucie strachu nie oznacza, że nie można siedzieć z innymi w tej samej klasie. Staramy się współpracować z rodzicami – podkreśla Sue. – Na przykład jeśli uczennica dostała karę za nieodpowiedni strój, dzwonimy do matki i ojca, którym mówimy: „To odpowiedzialność twojego dziecka, aby mundurek był gotowy na następny dzień". Pozwalamy dzieciom odczuwać dyskomfort, uczymy technik uważności i pokazujemy, że nieprzyjemne emocje nie są nienormalne.

Profesorka Elizabeth Westrupp, psycholożka kliniczna z Deakin University w Melbourne, z zadowoleniem przyjęła decyzję rządu, jednak kwestia zakazu nie jest dla niej czarno-biała. – Oczywiście korzystanie z mediów społecznościowych wiąże się ze zwiększonym ryzykiem zaburzeń zdrowia psychicznego – mówi mi badaczka. – Szczególnie narażone są osoby ze społeczności LGBT+, neuroatypowe czy z niepełnosprawnościami. Z innej strony internet zapewnia im przestrzeń, w której mogą otrzymać bardzo ważne wsparcie.

—

BILOELA ZNAJDUJE SIĘ w stanie Queensland w północno-wschodniej części kontynentu. Liczy niespełna 6 tysięcy mieszkańców, jest w nim gorąco i sucho. Mieszczą się tu siedziba urzędu miejskiego, komenda straży pożarnej, pogotowie ratunkowe, biblioteka, protestancki kościół oraz setki śladów dinozaurów na skałach. Co roku organizowane są zawody wędkarskie na zaporze wodnej i festiwal farmerski z muzyką country. Do najbliższej metropolii – Brisbane – jest 6,5 godziny jazdy samochodem.

W Biloeli mieszka 16-letnia transdziewczyna, Maggie Perry. – Życie w miasteczku? Bardzo powolne – uśmiecha się smutno. – Jesteśmy naprawdę daleko od wszystkiego i trudno jest gdziekolwiek się dostać. Brakuje obiektów kulturalnych, a te, które istnieją, są słabo finansowane. Jedynie internet daje swobodę i możliwość zabicia czasu.

Dla wielu młodych osób z Pierwszych Narodów platformy społecznościowe były jedynym sposobem kontaktu z organizacjami wsparcia i własną społecznością. Wprowadzenie zakazu może więc utrudnić dotarcie z pomocą do dzieci, które już teraz są wykluczone lub zagrożone marginalizacją.

Zwyczajny dzień Maggie wygląda tak: wstaje o godzinie 7:00, od 8:00 do 14:00 ma lekcje online (opuściła szkołę stacjonarną z obawy przed dyskryminacją ze względu na swoją tożsamość płciową), potem jeździ na rowerze, ale najczęściej ogląda YouTube'a, rozmawia z przyjaciółmi przez platformy społecznościowe, gra z nimi przez internet. Większość z nich mieszka w Sydney. Gdyby Maggie chciała zobaczyć się z nimi twarzą w twarz, musiałaby jechać tam autem tyle godzin, ile zajmuje trasa Warszawa–Bruksela.

– Bardzo dużo czasu spędzam przed ekranem. Przez Facebook, X i Discord komunikuję się z przyjaciółmi. Nie mam ich numerów telefonów, więc bez sociali byłabym sama. Kiedy uczę się matematyki, angielskiego czy innych przedmiotów, szukam filmików na YouTubie.

Maggie jest reporterką wyborczą prowadzonego przez nastolatków kanału informacyjnego 6 News. Cały czas korzysta z platform społecznościowych, aby komunikować się z innymi młodymi dziennikarzami. Platformy X używa jako forum do wyrażania opinii i dzielenia się analizą danych.

– Młode osoby *queer* są bardzo zaniepokojone zakazem. Niektórzy przyjaciele, nawet z tak dużych miast jak Sydney, wciąż nie mogą w pełni wyrażać swojej tożsamości w obecności rodziców czy w swoich szkołach. Boją się więc, że bez dostępu do sociali nie otrzymają wsparcia – mówi.

A jakie opinie krążą wśród nastolatków cispłciowych z terenów wiejskich? – Jest różnie – ocenia Maggie. – Niektórzy wspierają zakaz, ponieważ uważają, że media społecznościowe mogą być szkodliwe. Często słuchają opinii starszych, którzy generalnie są za. Wielu się jednak martwi, że zostaną w tyle. Technologia to nasza przyszłość, powinniśmy nauczyć się ją wykorzystywać, zamiast próbować tłumić. Zamiast ogólnego zakazu rząd mógłby zastosować surowsze kary wobec osób rozpowszechniających niebezpieczne treści.

Maggie marzy o karierze polityczki, daleko w kosmopolitycznym Melbourne. Pracowałaby w parlamencie i miałaby swoją platformę, na której reprezentowałaby społeczność LGBT+. Bardzo się cieszy, że niedawno skończyła 16 lat. Na koniec rozmowy rzuca: – Daj znać swoim czytelnikom i czytelniczkom w Polsce, że mogą mnie śledzić na X.

—

OUTBACK TO ROZLEGŁE, suche, słabo zaludnione tereny Australii. Wielkie czerwone cielsko kontynentu, bez wody, sklepów i zasięgu telefonicznego. Aby działał internet, najlepiej mieć dostęp do systemu Starlink.

W Outbacku żyją społeczności aborygeńskie. Ich wioski składają się ze słabo skleconych, zupełnie niedostosowanych do upałów domków, które postawił rząd. Wałęsają się między nimi stada bezpańskich psów, zalegają stosy opon i samochodowych wraków. Gdy szkoły zamykają się na święta, dużo dzieci chodzi głodnych, bo w szkołach dostają posiłki. Powszechne są przemoc domowa, alkoholizm i uzależnienie

eprasa.pl dce24a0826

od hazardu. Wszystko to dziedzictwo systematycznego i długotrwałego ludobójstwa, rasizmu, odbierania dzieci rodzicom i wywożenia ich daleko na chrześcijańskie misje. O Pierwszych Narodach kontynentu, czyli Aborygenach i Mieszkańcach Wysp Cieśniny Torresa, wciąż milczy konstytucja.

Dziś znajdują się oni wśród narodów świata, które są najbardziej nadreprezentowane w aresztach i więzieniach. W 2024 roku stanowili 36 procent osadzonych, podczas gdy ich udział w populacji kontynentu wynosi zaledwie 3,8 procent. Prawdopodobieństwo, że nastolatek w wieku 14–17 lat trafi do poprawczaka, wzrasta 26-krotnie w przypadku przedstawicieli Pierwszych Narodów w porównaniu z pozostałymi Australijczykami.

Michael Liddle, przedstawiciel ludu Alyawerre z Alice Springs w centralnej Australii, doświadczony pracownik społeczny, mówi mi: – Dzisiejsza młodzież jest skłonna popełniać przestępstwa znacznie wcześniej. Już nie w wieku 18, lecz gdy mają 10 lat.

O pustynnym miasteczku Alice Springs zrobiło się głośno w kwietniu 2024 roku ze względu na zamieszki i rozboje powodowane przez dzieciaki. Nagrania, w których dokumentowały własne przestępstwa, publikowały na TikToku, Facebooku i Instagramie. Widać na nich skradzione samochody, które prowadzą w zawrotnym tempie kierowcy tak mali, że ich głowy ledwie wystają znad kierownic, prowokując policję do pościgów. To *posting and boasting*, czyli przechwalanie się w portalach społecznościowych.

– To nie sociale są istotą problemu, a utrata więzi i kontaktów ze starszym pokoleniem – uważa Liddle. – Wujkowie, bracia, siostry kręcą się po mieście, szukając zabawy i możliwości zarobku. Wychowywanie młodych nie jest ich priorytetem, liczy się przetrwanie tu i teraz. Nie mają czasu ani możliwości, by zajmować się dziećmi. Tak dzieje się w całej Australii.

Problem jest tak poważny, że Liddle nie wierzy w skuteczność zakazu dotyczącego mediów społecznościowych. Poza tym w Outbacku są też rozsądne dzieci, które wciąż potrzebują takiej formy kontaktu z innymi. – Wszystko zaczyna się od edukacji – mówi Liddle. – Jeśli nie posyłasz dzieci do szkoły ani nie rozumiesz celu zachodniego szkolnictwa, nic się nie zmieni, bo trzeba wiedzieć, jak się poruszać w dzisiejszym świecie, w kwestiach mieszkalnictwa, nauki i pracy.

Także pracownicy Aunties Place, ośrodka położonego niedaleko miasta Darwin w północnej części kontynentu, wspierającego dzieci i nastolatków Pierwszych Narodów, nie są przekonani do zakazu. Dla wielu młodych osób platformy społecznościowe były jedynym sposobem kontaktu z organizacjami wsparcia i własną społecznością, zwłaszcza że nie mają telefonów stacjonarnych ani pieniędzy na doładowania kart typu *pre-paid*. Wprowadzenie zakazu może więc utrudnić dotarcie z pomocą do dzieci, które już teraz są wykluczone lub zagrożone marginalizacją.

Ale są i tacy Aborygeni, jak starszyzny narodów Barkindji i Ngiyampaa ze stepowego Outbacku w stanie Nowa Południowa Walia. Wujek Colin Clark („Wujkowie" i „Ciotki" – tak tytułuje się przedstawicieli



aborygeńskiej starszyzny) cieszy się z zakazu, bo młodzi ludzie używają ekranów, zamiast uczyć się pradawnych Śnień, Ścieżek Śpiewów, języków i tradycji.

– Jak, do licha, możemy nawiązać tak istotną dla naszej kultury więź z ziemią i gwiazdami, skoro wciąż patrzymy w telefony? – oburza się wujek Clark. Jego wnuki są na TikToku i YouTubie, ale gdy przychodzą do dziadka, podczas posiłków muszą wyłączyć urządzenia. Kiedy uczy w szkołach podstawowych, jak malować tradycyjnymi metodami na drewnie, najpierw mówi: „Odłóżcie telefony. Jeśli nie będziecie słuchać, nie potrzebuję was tutaj. Ktoś inny może zająć wasze miejsce".

– Dzieci w wieku poniżej 16 lat nie są wystarczająco dojrzałe, aby decydować, co opublikować w sieci – uważa wujek Clark. – Nie chcę, żeby korzystały z platform, na których mogą doświadczyć wrogości albo rozmawiać z niewłaściwymi osobami. Zgadzam się z zakazem.

—

AUSTRALIA już wcześniej stawała na czele zmian, które później docierały gdzie indziej. W 1972 roku jako pierwsza wprowadziła obowiązkowe pasy bezpieczeństwa w samochodach – wkrótce podobne przepisy przyjęły inne państwa. Dziewięć lat później wystartowała kampania *Slip, Slop, Slap!*, jedna z pierwszych masowych akcji edukacyjnych przeciwko rakowi skóry, która także zainspirowała podobne działania na całym świecie. (Jej nazwa to mnemotechniczny slogan, oznaczający: „Załóż koszulkę, posmaruj się kremem, załóż czapkę"). W 1996 roku, po masakrze w Port Arthur (sprawca zastrzelił 35 osób), Australia przyjęła prawo kontroli broni. W 2012 roku – znów jako pierwsza na świecie – wprowadziła jednolite opakowania papierosów bez oznaczenia marki, za to z graficznymi ostrzeżeniami o zdrowotnych konsekwencjach palenia, co przyczyniło się do rekordowego spadku liczby palaczy.

Także w kwestii regulacji rynku cyfrowego Australijczycy przecierali szlaki. W 2021 roku przyjęli Australijski kodeks postępowania w kwestii dezinformacji i wprowadzania w błąd (Australian Code of Practice on Disinformation and Misinformation – dobrowolny zbiór dobrych praktyk, podpisany przez wszystkie znaczące platformy cyfrowe, deklarujące chęć ograniczania rozprzestrzeniania się fałszywych informacji) oraz Obowiązkowy kodeks negocjacyjny dla mediów informacyjnych i platform cyfrowych (News Media and Digital Platforms Mandatory Bargaining Code) – pozwalający wydawcom negocjować z platformami cyfrowymi wynagrodzenie za korzystanie z ich treści. Google i Meta zawarły umowy z australijskimi wydawcami, choć ta druga firma szantażowała australijskie władze, blokując na Facebooku wpierw miejscowe media, a następnie strony rządowe.

eprasa.pl dce24a0826

W kwestii praw Pierwszych Narodów czy osób uchodźczych Australia pozostaje nieprzejednana, co dowodzi, że odważne reformy są możliwe w sprawach, w których istnieje szeroki konsensus polityczny i presja ekspertów. W przypadku zakazu korzystania z platform społecznościowych przez dzieci i młodzież do 16. roku życia kluczowe było poparcie obu największych partii politycznych – socjaldemokratycznej Australijskiej Partii Pracy (obecnie u władzy) i centroprawicowej Liberalnej Partii Australii. Ta druga, w stałej koalicji z konserwatywną Narodową Partią Australii, zwykła blokować rozliczenia z trudną kolonialną przeszłością.

Czy australijski zakaz sprawdzi się w praktyce? Zobaczymy. Ale już teraz można zaobserwować efekt domina, jaki wywołał. Jeszcze w październiku 2025 roku Mette Frederiksen, premierka Danii, zapowiedziała podobne regulacje, z limitem wieku wynoszącym 15 lat. „Uwolniliśmy potwora – oceniła w wystąpieniu przed duńskim parlamentem. – Telefony i media społecznościowe kradną dzieciństwo naszym dzieciom". Podobne deklaracje padły z ust polityków w Belgii, Francji, Grecji i Norwegii.

Czy nasz kraj pójdzie ich śladem? Nazajutrz po wejściu w życie zakazu w Australii do polskiego Senatu wpłynęła indywidualna petycja w sprawie nowelizacji Ustawy z dnia 18 lipca 2002 roku o świadczeniu usług drogą elektroniczną, postulująca identyczne rozwiązanie. „Wiek 16 lat stanowi istotną granicę w rozwoju kory przedczołowej, odpowiedzialnej za podejmowanie racjonalnych decyzji, kontrolę impulsów i krytyczne myślenie – argumentuje autor petycji. – (...) Wprowadzenie limitu 16 lat daje rodzicom i opiekunom więcej czasu na edukację cyfrową dziecka i budowanie wzajemnego zaufania oraz zasad korzystania z sieci".

Trzeciego stycznia 2026 roku wiceminister cyfryzacji Dariusz Standerski ujawnił na antenie Polsat News, że trwają już prace nad mechanizmem weryfikacji wieku. Wszystko wskazuje na to, że mogłaby się ona odbywać za pośrednictwem aplikacji mObywatel. „Uważam, że należy wprowadzić taki przepis. Nie przesądzam, od jakiego wieku. To powinno być poprzedzone ekspertyzą i (...) poważną dyskusją publiczną" – powiedział Standerski.

Temat trafił też na najwyższy szczebel unijnej polityki. Komisja Europejska (KE) zapowiedziała analizę możliwości wprowadzenia ograniczeń w dostępie do mediów społecznościowych dla dzieci poniżej 16. roku życia. „Kiedy dorastałam, społeczeństwo uczyło dzieci, że nie mogą palić, pić alkoholu ani oglądać treści dla dorosłych przed osiągnięciem odpowiedniego wieku. Teraz nadszedł czas, by wprowadzić podobne zasady w kontekście mediów społecznościowych" – powiedziała Ursula von der Leyen, przewodnicząca KE, we wrześniu 2025 roku podczas swojego orędzia o stanie Unii Europejskiej. Debata w Brukseli dopiero się zaczyna, ale jedno jest pewne: kwestia bezpieczeństwa dzieci w sieci przestała być lokalnym zagadnieniem.

Anika Wells, australijska ministerka sportu i komunikacji, przed wejściem zakazu w życie sugerowała podczas wystąpienia w parlamencie, że za protestami przeciwko zakazowi mediów społecznościowych dla osób do 16. roku życia kryją się niejasne intencje.

—

KAI, 13-LATEK, który korzystał z Instagrama do urbexu, nadal robi to samo, bo konto jest zarejestrowane na jego mamę.

Młodszy syn Marka z Melbourne, też w wieku 13 lat, który na Snapchacie wysyłał *streaks* kolegom, przeniósł się na WhatsAppa. A zamiast Reddita używa YouTube'a, na którym nie trzeba zakładać konta.

Ale Mark zna dzieci, na przykład swoich dwóch siostrzeńców, którzy „skaczą ze złości", że zablokują im sociale. Na razie obeszli zakaz, podając fałszywy wiek, kiedy zakładali konta. „Od samego początku zdawaliśmy sobie sprawę, że proces [egzekwowania nowego prawa – przyp. red.] nie będzie w 100 procentach idealny. Jednak przesłanie, jakie niesie ze sobą to prawo, jest w 100 procentach jasne – czytamy w przywoływanym już manifeście ze strony internetowej australijskiego premiera. – W Australii minimalny wiek uprawniający do spożycia alkoholu wynosi 18 lat, ponieważ dostrzegamy korzyści płynące z takiego podejścia zarówno dla jednostki, jak i społeczeństwa. Fakt, że nastolatkom od czasu do czasu udaje się napić, nie umniejsza znaczenia jasnego, ogólnokrajowego standardu".

Dwoje 15-latków, Noah Jones i Macy Neyland, wniosło sprawę do Najwyższego Sądu Australii, argumentując, że zakaz całkowicie ignoruje prawa dzieci. Pomaga im organizacja Digital Freedom Project, która twierdzi, że nowe przepisy ograniczają wolność wyrażania opinii w internecie. „Nie powinniśmy być uciszani – twierdzi cytowana przez BBC Macy. – Znaleźliśmy się w *Roku 1984* Orwella i to mnie przeraża". Wtóruje jej Noah: „Jesteśmy cyfrowymi tubylcami. Chcemy pozostać wykształceni, silni i obeznani z naszym cyfrowym światem".

Australijska Komisja Praw Człowieka wskazuje natomiast, że zakaz może negatywnie wpłynąć na cały szereg praw: do wolności wypowiedzi i dostępu do informacji, do prywatności (weryfikacja wieku przez platformy), do swobodnego zrzeszania się i kontaktów społecznych, do uczestnictwa w życiu społecznym i kulturalnym, do edukacji (media społecznościowe umożliwiają edukację nieformalną), do zdrowia i dobrostanu. Rząd odpowiada na krytykę nowych regulacji, podkreślając, że wprowadzone ograniczenia zostały podyktowane bezpieczeństwem dzieci, nie są arbitralne ani nadmiernie ingerujące w inne prawa człowieka.

Anika Wells, australijska ministerka sportu i komunikacji, przed wejściem zakazu w życie sugerowała podczas wystąpienia w parlamencie, że za protestami kryją się niejasne intencje: „Mimo otrzymywania gróźb i skarg prawnych od osób o ukrytych motywach rząd Anthony'ego Albanese niezmiennie stoi po stronie rodziców, a nie platform. Nie damy się zastraszyć groźbom, nie damy się zastraszyć skargom prawnym, nie damy się zastraszyć wielkim firmom technologicznym. (...) Stoimy twardo na naszym stanowisku".

Więcej na ten temat przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/higiena-cyfrowa**

eprasa.pl dce24a0826

POEZJA

***

ŁESIA UKRAINKA

—

W czarną chmurę się skłębiły wszystkie moje smutki,
Żal mój przez nią się przetoczył ogniem błyskawicy,
Piorunem w serce uderzył,
Gęstym deszczem się rozlały wszystkie moje łzy.
Przeleciała nawałnica gwałtowna nade mną,
Ale nie złamała mnie, z ziemią nie zrównała,
Dumnie więc uniosłam czoło,
A obmyte łzami oczy patrzą teraz jaśniej,
W moim sercu rozbrzmiewają śpiewy triumfalne
i związana z wiosną siła w duszy mojej gra.
Nie złamały jej zimowe trzaskające mrozy,
Nie zrównały z ziemią jej ostre nawałnice,
Nie rozbiła również jej ta wiosenna burza.
Sama stawię czoła burzy,
Stanę – i zmierzymy siły!

przełożył Marcin Roszkowski

Utwór pochodzi z tomu Dumy i marzenia *(cykl* Melodie*), dostępnego obecnie w Wolnych Lekturach.*

ŁESIA UKRAINKA

(1871–1913), poetka, pisarka, krytyczka literacka, tłumaczka. Działaczka społeczna i kulturalna. Jedna z najważniejszych osobistości literatury i kultury ukraińskiej.

eprasa.pl dce24a0826





FOTOREPORTAŻ

Mam nadzieję, że twoja rodzina jest bezpieczna

zdjęcia i tekst ANYA TSARUK

TE SŁOWA SŁYSZAŁAM tak wiele razy od momentu pełnoskalowej inwazji Rosji na moją ojczyznę, a nadal nie wiem, jak na nie odpowiedzieć. Czym jest bezpieczeństwo w kraju ogarniętym wojną?

Varvara odpoczywa w ramionach swojej matki, ciotki i babci (rejon kijowski). Jej ojciec zginął na wojnie w 2023 roku, a dziadek obecnie broni kraju

eprasa.pl dce24a0826



Moi przyjaciele Nastya i Pavlo. Pavlo służy w Siłach Zbrojnych Ukrainy od początku pełnoskalowej inwazji rosyjskiej, kiedy miał zaledwie 21 lat. Obecnie ma stopień kapitana. Nastya, jego partnerka, mieszka w Dublinie, a podczas krótkiej przerwy w służbie spotkali się, aby spędzić razem cenny czas w Kijowie

Po prawej: Worki z piaskiem chronią greckokatolicki Kościół Najświętszego Sakramentu we Lwowie. Od początku pełnoskalowej inwazji ukraińskie miasta zabezpieczają zabytki i budynki workami z piaskiem, aby zminimalizować szkody spowodowane wybuchami

eprasa.pl dce24a0826



Urodziłam się i wychowałam w Ukrainie, opuściłam ją dziesięć lat temu – najpierw wyjechałam do Polski, a później do Niemiec. W tym czasie nie odczuwałam silnej potrzeby powrotu – aż do teraz. Chcę tam pojechać, zobaczyć, jak zmieniła się moja ojczyzna. Chcę podważyć uproszczony obraz Ukrainy i jej mieszkańców jako wyłącznie ofiar konfliktu.

Czym dziś jest dla mnie Ukraina? Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć, szukam więc wizualnych wskazówek, takich jak samochód zniszczony na linii frontu; okopy, w których mój tata przechodził szkolenie wojskowe; garnitur ślubny i żałobne szale wiszące obok siebie na targu. Słyszę, że brat naszego sąsiada zginął na froncie, a mój wujek wstąpił do sił zbrojnych. Widzę czarno-białą fotografię mojego przyjaciela z dzieciństwa w alei poległych obrońców – obok niej stoi świeca ku uczczeniu jego pamięci.

Tutaj śmierć jest na każdym rogu, ale istnieje też życie: publiczne kąpielisko, pełne plażowiczów w niedzielne popołudnie; nowo narodzone dziecko przyjaciela; małe pisklęta mojej babci. Ukraińcy zakochują się, adoptują psy, angażują się w wolontariat i świętują Boże Narodzenie. Miłość, radość i piękno współistnieją z ogromnym bólem i tragedią. Widzę moich rodaków w całej ich sile, godności i pragnieniu wolności.

W moim kraju, pełnym traumy i rozdartym wojną, czuję się żywa jak nigdzie indziej. Nie jestem bezpieczna, gdy słyszę rosyjskie rakiety przelatujące nad moją głową. Ale czuję się bezpieczna, ponieważ to mój dom.

Fotoreportaż powstał dzięki współpracy z Fotofestiwalem – Międzynarodowym Festiwalem Fotografii w Łodzi.

eprasa.pl dce24a0826



Moja babcia Maria z pisklęciem
w swoim ogrodzie

eprasa.pl dce24a0826



Próba chóru w Akademii Pedagogicznej w Chmielnickim, gdzie moja mama uczyła, zanim uciekła do Niemiec przed wojną

eprasa.pl dce24a0826



Moja ciotka Iryna trzyma medal, który jej syn Ilya otrzymał jako student pierwszego roku akademii wojskowej we Lwowie za wybitne osiągnięcia w nauce

eprasa.pl dce24a0826



Okopy na obrzeżach Chmielnickiego, gdzie mój tata przeszedł szkolenie wojskowe na początku pełnoskalowej inwazji Rosji. Półtora roku później opuszczone miejsce – wciąż daleko od linii frontu – prawie zniknęło z pola widzenia. Kiedy je znaleźliśmy, kwitły tam niebieskie i żółte kwiaty

eprasa.pl dce24a0826



Na targu w Chmielnickim ukraińskie haftowane tkaniny obrzędowe (*rusznyki*) i garnitur ślubny wiszą obok czarnych szalików żałobnych i sztucznych kwiatów na groby

eprasa.pl dce24a0826



Mój kuzyn Maksym je arbuza, a jego mama
Ira układa mu włosy w ich domu

eprasa.pl dce24a0826



Mój przyjaciel Jewhenii, który obecnie służy w Siłach Zbrojnych Ukrainy, odpoczywa w kuchni mieszkania swojej matki podczas krótkiej przerwy od służby

eprasa.pl dce24a0826



ANYA TSARUK (ur. 1998), ukraińska fotografka mieszkającą w Berlinie. Od rozpoczęcia pełnoskalowej inwazji Rosji na jej kraj podejmuje w swoich pracach wątki tożsamości, traumy, migracji i społeczności. Poprzez fotografię stara się zwiększyć świadomość na temat wojny w Ukrainie oraz uhonorować ludzi dotkniętych jej skutkami.
Prace artystki pokazywano na wystawach w Berlinie, Hanowerze, Monachium, Kijowie, Paryżu, Bergamo, Arles, Londynie, Wilnie, Vancouver i Oslo. Nagrodzono je m.in. The V&A Parasol Foundation Prize for Women in Photography, Nikon Fotobus Grant oraz Cortona On The Move | BarTur Grant for Emerging Photographers.

Weekendowa kolacja na obozie jogi dla kobiet pod Kijowem

eprasa.pl dce24a0826

ROZMOWA

Zamiast budowy pantofelka

z KONRADEM SKOTNICKIM *rozmawia* ADAM ROBIŃSKI

DLA POKOLENIA NASZYCH DZIADKÓW kaligrafia była sprawą kluczową. My obeszliśmy się bez niej. Czy świat się przez to rozsypał? A może to wszystko nostalgia za rzeczami, których nie potrzebujemy? – pyta Konrad Skotnicki, Doktor z TikToka.

Obudzony w środku nocy wymienię stolice Burkina Faso, Brunei i połowy państw Oceanii. A jaką bezużyteczną wiedzę ty wyniosłeś ze szkoły?
Cykl rozwojowy ślimaka! To wiedza, której potrzebują tylko badacze ślimaków, zresztą pewnie nie wszyscy. Tymczasem polska szkoła stara się ją zaszczepić każdemu z nas. To jeden z absurdalnych przykładów, które lubię przywoływać.

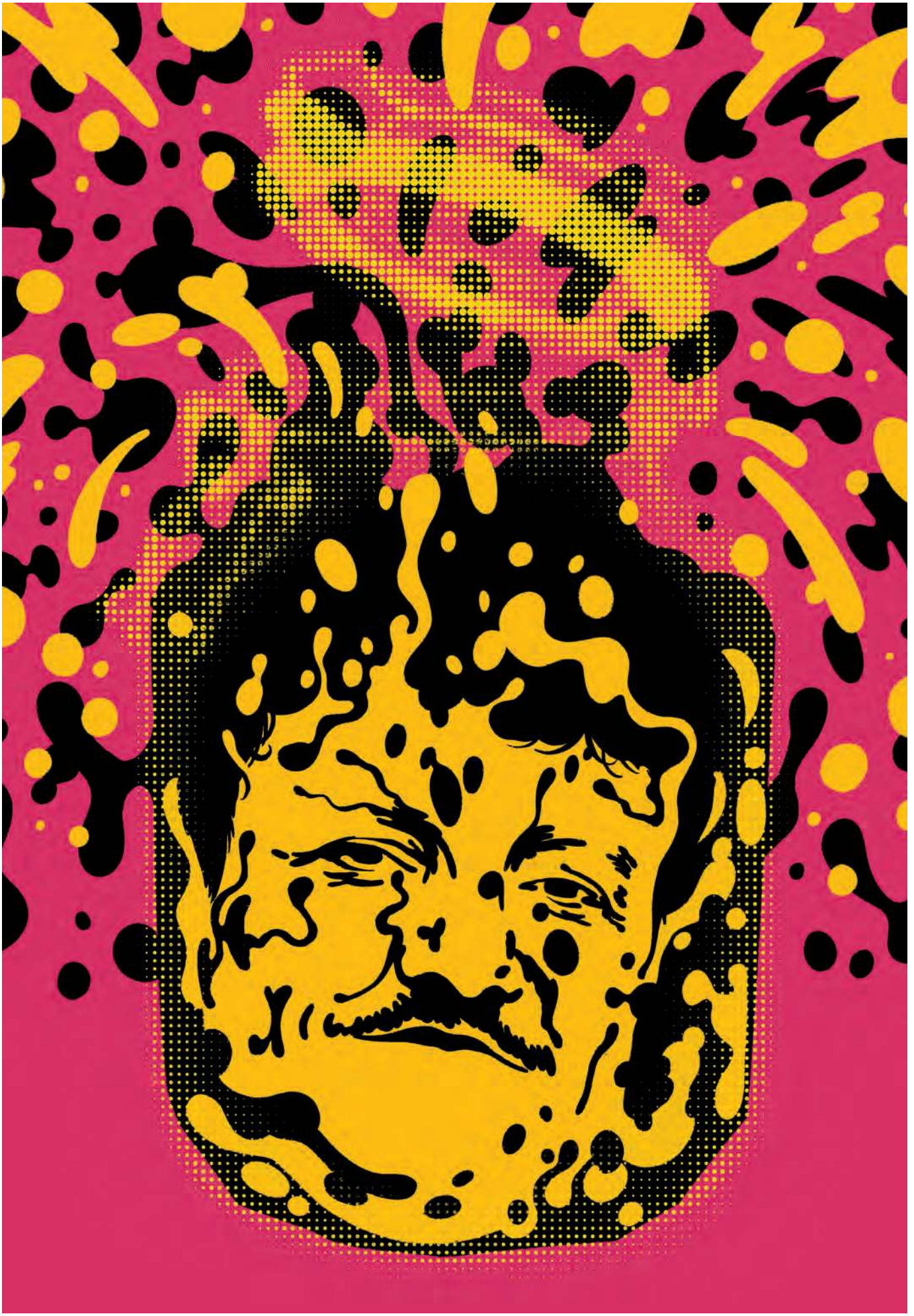
A co z pantofelkiem? Czy dzieci powinny uczyć się o pantofelku? O jamochłonach?
Według mnie absolutnie nikt nie powinien musieć się uczyć o pantofelku. Nie na etapie podstawówki czy liceum. Podstawowy problem polskiej szkoły wynika z faktu, że z jakiegoś powodu w żaden sposób nie weryfikujemy jej skuteczności. Wyobraź sobie firmę, która chce nauczyć czegoś swoich pracowników. Projektuje się proces, a potem sprawdza na dużych grupach ludzi, czy rzeczywiście się tego nauczyli. I jeśli w dziewięciu przypadkach na dziesięć okazuje się, że nic nie umieją, to znaczy, że proces został zaprojektowany źle. Hardcorowo źle. Nie znam żadnego programu rządowego, który weryfikowałby skuteczność polskiej szkoły. Mamy inne, przede wszystkim rozrywkowe, typu *Matura to bzdur*a. One mówią nam jednoznacznie, że ze szkoły pamiętamy mało albo nic.

KONRAD SKOTNICKI (ur. 1988), doktor chemii, popularyzator nauk ścisłych, twórca internetowy używający pseudonimu Doktor z TikToka.

Zajmujesz się popularyzacją nauk ścisłych w mediach społecznościowych, na TikToku obserwuje cię 860 tysięcy osób, na YouTubie – 100 tysięcy. Zapytam cię więc jako kogoś, kto ma większy posłuch niż nauczyciele: co polska szkoła robi źle?
Dziś każdy przedmiot w podstawówce prowadzony jest tak, jakby wszyscy mieli potem robić z niego doktorat. Pantofelek to jeden przykład. Innym niech będzie chemia: „podaj x sposobów na otrzymywanie soli". Na jakimś etapie życia musiałem się tego nauczyć na pamięć. Nigdy mi się to potem nie przydało, a przecież mam doktorat z chemii! Każdy przedmiot w polskiej szkole ładuje nam do głów tego typu rzeczy. I zamiast myśleć, jak to zmienić, kolejne rządy tworzą albo likwidują gimnazja, nazywając to wielką i ważną reformą. To nie jest żadna reforma! To jest robienie bałaganu, który odkręcać będziemy w przyszłości, robiąc inny, jeszcze większy bałagan.

Przyglądałeś się założeniom najnowszej reformy szkolnictwa obecnego rządu? Reforma26. Kompas Jutra zakłada więcej nauczania projektowego. Mówi o nowym systemie oceniania i bardziej równomiernym obciążeniu uczniów nauką. Choć prezydent ją zawetował, ministerstwo zapowiedziało, że i tak ją przeprowadzi – za pomocą rozporządzeń.

eprasa.pl dce24a0826



rysunek KAMIL REKOSZ

eprasa.pl dce24a0826

ADAM ROBIŃSKI (ur. 1982), pisarz, autor książek non-fiction, m.in. *Hajstry. Krajobraz bocznych dróg*, *Kiczery. Podróż przez Bieszczady*, *Pałace na wodzie. Tropem polskich bobrów* oraz *Puszcza domowa. Co kryje Kampinos*. Opublikował również powieść dla dzieci *Wodyseja*. W 2026 roku ukaże się jego książka o Bałtyku.

Przejrzałem jej założenia. Mam wrażenie, że to jeszcze jedna zmiana kosmetyczna. Pudrowanie trupa. Tymczasem nikt się nie zastanawia nad tym, po co nam w ogóle szkoła. Wychodzimy z założenia, że jest, bo być musi. Mamy system, który zaprojektowano grubo ponad 100 lat temu, w zupełnie innej rzeczywistości. Więc po co nam szkoła? Nie znam odpowiedzi na to pytanie, zresztą nie ja powinienem jej udzielić. Ale na pewno nie powstała po to, byśmy spędzali w niej osiem czy 12 lat, a potem niczego z niej nie wynosili. Szkoła powinna przygotowywać do życia. Zdarzają się nauczyciele, którzy otwartym tekstem mówią uczniowi: „Nie musisz tego umieć na pamięć, wolę, żebyś zrozumiał proces". Sęk w tym, że do każdego egzaminu i tak trzeba wkuwać na blachę. Matura wiąże się z przyswajaniem na pamięć zupełnie niepraktycznej wiedzy.

To jakiej praktycznej wiedzy oczekiwałbyś od szkoły?
Świetnym przykładem jest edukacja zdrowotna. Moim zdaniem powinna być absolutnie obowiązkowa. Publikuję czasem na swoich profilach treści związane ze zdrowiem, z edukacją seksualną, bo wiem, że ktoś, kto wychodzi z polskiej szkoły, nie wie o swoim ciele niemal nic. To są zwykle ostatnie strony podręcznika do biologii, te, których nauczyciel nie zdążył przerobić. Bo wcześniej musiał się pochylać nad pantofelkiem.

To tak jak z historią XX wieku! Czasy powojenne przypadają na koniec czerwca. W dwóch słowach o PRL, pięć minut na okrągły stół, ostatni dzwonek, wakacje!
Wszystkie procesy, które ukształtowały to, co dziś dzieje się w naszym kraju, zupełnie przemilczane. Bo nie wystarczyło na nie czasu... Dopiero gdy jako dorosły człowiek próbujesz na własną rękę zrozumieć, dlaczego Polska jest dziś w takim, a nie innym miejscu, to ci się wszystko zaczyna układać w głowie.

Trochę popsioczyliśmy, teraz spróbujmy poszukać dobrych wzorców. W takich chwilach często przywołuje się przykład modelu skandynawskiego, gdzie szkoła jest podobno bardziej przyjazna i życiowa.
Skandynawom jakoś wszystko wychodzi lepiej. Zagadką jest to, dlaczego reszta świata nie kopiuje ich pomysłów. Nie chodzi zresztą o nic superodkrywczego, niektóre szkoły społeczne w Polsce funkcjonują według podobnego modelu. Czyli są tam normalne przedmioty, muszą być, ale oprócz nich program zakłada również szersze, sklejone z wielu zagadnień bloki tematyczne. To pokazuje, jak wiele spraw w naszym świecie jest ze sobą powiązanych. Choćby nauczanie o zmianach klimatu. Jest tu fizyka, bo musimy zrozumieć, co tak naprawdę dzieje się w atmosferze. Mamy chemię mówiącą nam na przykład o tym, jak powstały paliwa kopalne, które dziś spalamy. Geografię, gdyż trzeba pojąć, która część świata zostanie najbardziej dotknięta zmianami, gdy znikną lodowce. Dalej wiedza o społeczeństwie – aby zrozumieć, jak to wszystko wpłynie na politykę. Zamiast cyklu rozwojowego ślimaka – tłumaczenie, jak dany proces łączy się z innymi, większymi. Ale powiedzmy sobie jasno: Polska wcale nie jest wyjątkiem, jedynym negatywnym przypadkiem na mapie świata. Globalnie edukacja stoi na niskim poziomie. Stosuje metody pracy z przełomu XIX i XX wieku. Choć świat poszedł do przodu, w edukacji wciąż korzystamy z tamtych rozwiązań. Efektem jest ruletka: albo trafisz na dobrego nauczyciela, albo nie.

No właśnie, opowiedz o swojej szkole i nauczycielach.
Trauma, z której wygrzebywałem się za pomocą terapii przez wiele lat. To była mała szkoła, w Zaborowie obok Puszczy Kampinoskiej. Podstawówka i gimnazjum w jednym miejscu. Nie chcę nikogo hejtować, bo zdaję sobie sprawę z problemów: niedofinansowania, tła społecznego. Ale tak właśnie było: przeżyłem tam wiele traum. Nikt nikogo nie wychowywał. Nauczycieli i dyrekcji nie obchodziło to, co dzieje się poza lekcjami. Było dużo przemocy, również fizycznej, między uczniami. Nikt nie reagował. W efekcie wiele osób było prześladowanych. W tym ja.

Za co?
Ja tam po prostu nie pasowałem. Trafił mi się taki zestaw genów, że od samego początku interesowała mnie nauka. Zwyczajnie byłem kujonem, choć nikt w domu nie przekazał mi takich wzorców. Kujon zawsze jest na



eprasa.pl dce24a0826

cenzurowanym, więc doświadczałem przemocy, na którą nauczyciele przymykali oko. I teraz wyobraź sobie, że w ubiegłym tygodniu wróciłem do tej szkoły. Zaproszono mnie, żebym poprowadził zajęcia dla dzieci. Uznałem, że gdzie jak gdzie, ale do mojej szkoły pojechać muszę. Liczyłem, że to doświadczenie pomoże mi zamknąć pewien rozdział w życiu. Wszedłem do budynku i zobaczyłem, że nic się tam nie zmieniło. Surrealistyczne doświadczenie. Takie same korytarze, te same wnętrza...

Ci sami nauczyciele?

Częściowo. Dobiła mnie jedna sytuacja: przed rozpoczęciem zajęć czekałem na korytarzu. Trwała jeszcze poprzednia lekcja. Pani sprzątająca myła podłogę. Otworzyły się drzwi jednej z klas, wyszło z niej jakieś dziecko. I w drodze do toalety wlazło w mokre. Jak się ta pani odpaliła! „Co ty robisz?! Czy ty w ogóle myślisz?!" I tak dalej, wszyscy znamy tę śpiewkę. U mnie to było wręcz jeden do jednego. Jakbym w 2000 roku zasnął na słońcu i nagle się obudził. Znowu jestem w szkole, a moje późniejsze życie wcale się nie wydarzyło. To było bardzo trudne doświadczenie. Zrozumiałem, że zwykła, codzienna przemoc wciąż jest integralną częścią szkoły. Dzieci takie jak ja ciągle doświadczają traum, jeszcze nie wiedząc, jak bardzo wpłyną one na ich życie. To się po prostu dzieje i nikogo nie obchodzi.

Temat na film dla Wojciecha Smarzowskiego. *Szkoła zła*.

Dokładnie! Ta wizyta była trudnym doświadczeniem, ale nastąpił też absolutnie piękny moment. Jedną z kluczowych osób w moim życiu była nauczycielka biologii, właśnie z tej szkoły.

A więc ruletka była dla ciebie choć trochę łaskawa!

Mojej biolożce po prostu się chciało. Wychodziła poza rutynę. Zaprosiła mnie do kółka biologicznego, zostawała ze mną po lekcjach, bez jakichkolwiek systemowych zachęt poświęcała mi mnóstwo czasu. Ona wciąż pracuje w tej szkole. Spotkaliśmy się, powspominaliśmy stare czasy. Drugą taką nauczycielką była pani od chemii. Jej już w tej szkole nie ma. Obie w sposób zupełnie przypadkowy i nieprzewidywalny zadecydowały o tym, jak dziś wygląda moja dorosłość. Gdyby mi się trafiła fajna pani od historii, pewnie byłbym doktorem historii i zajmował się jej popularyzacją.

Serio? Myślisz, że to ma aż tak wielki wpływ? Że nie liczy się choćby talent do konkretnej dziedziny? Bo gdzie humanistyka, a gdzie nauki ścisłe...

Nie wierzę w talenty. Są oczywiście ludzie, którzy mają genetyczne predyspozycje do pewnych spraw. Ale mnie w szkole wcale nie interesowały chemia czy biologia jako takie. Kręciła mnie próba zrozumienia świata. Jak działa? Dlaczego jest taki, a nie inny? Istnieje wiele ścieżek, na których można szukać odpowiedzi na te pytania. Chemia i biologia mają tę przewagę nad innymi, że coś w klasie wybucha, coś paruje. Da się zrobić na lekcji coś ciekawego, zaskakującego. Oczywiście nie w polskiej szkole... Moja pani od chemii też rzadko kiedy miała czas na eksperymenty. Ale gdy dołączyłem do kółka chemicznego, po prostu dała mi klucz do szafki z odczynnikami. Święty Graal dla każdego, kto interesuje się chemią. Gdy byłem teraz w szkole, zapytałem przypadkowe dzieciaki, czy robią jakieś eksperymenty na lekcjach chemii. Otóż nie robią.

Może zapomniałeś oddać ten klucz...

Swoją drogą jestem ciekaw, czy to są wciąż te same sprzęty, te same odczynniki... Ręce opadają. Mój wniosek jest taki: system jest beznadziejny, jeśli zdarza mu się działać, to tylko dzięki paru jednostkom z pasją, które pomimo ograniczeń próbują zrobić coś fajnego. I co z tego, że niekiedy im się udaje?

Myślę, że czasem wystarczyłby ktoś, kto powie: „Dzieci, Sienkiewicza dobrze czytać, mając pod ręką atlas do historii". Wtedy cała fabuła będzie bardziej klarowna. Bo inaczej odbijasz się od tego Zbaraża jak od ściany.

My tak naprawdę od nauczycieli wymagamy bardzo niewiele. Chyba każdy się zgodzi, że to jeden z absolutnie kluczowych zawodów w każdym kraju. Tylko że nic za tym stwierdzeniem nie idzie. Ani prestiż, ani wynagrodzenie. Selekcja nie jest szczególnie ścisła. Każdy, kto chce zostać nauczycielem, bez problemu nim zostanie. Nawet jeśli się do tego w ogóle nie nadaje. Tymczasem to powinien być zawód świetnie opłacany, prestiżowy i wymagający. Droga do zostania nauczycielem powinna być długa i kręta, tak aby do końca dochodzili tylko najlepsi. Tacy, którzy przez całe życie chcą się rozwijać, a nie tylko co roku klepać przy tablicy te same prawdy objawione.

Nauczyciel to powinien być zawód świetnie opłacany, prestiżowy i wymagający. Droga do zostania nauczycielem powinna być długa i kręta, tak aby do końca dochodzili tylko najlepsi.

Wspominałeś o katastrofie klimatycznej. To dla szkoły wyjątkowo twardy orzech do zgryzienia. W 2018 roku IPCC, czyli Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, opublikował kolejny raport na temat stanu naszej wiedzy o antropogenicznych zmianach klimatu. Wniosek był taki, że za wszelką cenę musimy ograniczyć wzrost globalnej temperatury do poziomu 1,5°C w porównaniu do tego sprzed rewolucji przemysłowej. Inaczej klimat zupełnie się wykolei. Temat wreszcie przebił się wtedy do mediów, konsensus naukowy stał się w jakimś stopniu konsensusem społecznym. Ale osiem lat później żyjemy w świecie, który gremialnie machnął na to ręką. Wyobrażam sobie hipotetycznego ucznia albo uczennicę, którzy wychodzą ze szkoły naładowani wiedzą na temat procesów zachodzących

eprasa.pl dce24a0826

w atmosferze i ich konsekwencji. A potem wracają do domu, gdzie spotykają się z ignorancją lub zaprzeczeniem. *Business as usual*, karawana jedzie dalej.
To bardzo ciekawy wątek. Katastrofą klimatyczną zajmuję się właściwie przez większość dorosłego życia. Przez wiele lat byłem wolontariuszem, aktywistą, potem pracowałem w organizacji pozarządowej, jako dwudziestoparolatek związałem się z Greenpeace. Od wielu lat przyglądam się temu, jak w Polsce wygląda rozmowa o klimacie. Tak jak mówisz, w 2018 roku zobaczyłem dużą zmianę. Zaczęło się od raportu, potem mieliśmy Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, globalną akcję „Piątki dla klimatu", protesty Extinction Rebellion. Młodzi ludzie zainteresowali się demokracją bezpośrednią, strajkowali, czuli moc sprawczą. Niestety zaraz potem zobaczyli, że politycy biorą ich sprzeciw, przeżuwają, mielą i przerabiają we własną agendę, a potem wypluwają i zapominają. Premier Donald Tusk ma wśród swoich *stories* na Instagramie zestaw filmów jeszcze z czasów pracy w Radzie Europejskiej. To relacja z wizyty na jakimś lodowcu, który zniknął. Tusk o nim opowiada, mówi, że to straszne i że musimy walczyć o lodowce i o przewidywalny klimat. Niedługo potem wrócił do Polski, został premierem i co?

I zaraz jednoosobowo, wbrew opinii własnego Ministerstwa Klimatu i Środowiska, sprzeciwił się unijnemu *Nature Restoration Law*, ambitnym przepisom o odbudowie zasobów przyrody.
Wyjątkowy moment w naszej współczesnej historii został zduszony przez marazm i cynizm polityków. Młodzi ludzie zostali przez nich potraktowani instrumentalnie.

Sam w 2018 roku pisałem, że politycy mogą ignorować zryw młodych, ale tylko do kolejnych wyborów. Bo potem ci młodzi staną się elektoratem i towarzystwo rozgonią. I co? Młodzi dostali prawa wyborcze, ale głosują na Konfederację, która zmianom klimatu ordynarnie, w sposób nienaukowy, zaprzecza.
Nie powiem nic odkrywczego: w niepewnych czasach do władzy zawsze dochodzą populiści. Im bardziej twardogłowi, tym lepiej. Na naszych oczach rozpada się świat – zarówno w sensie metaforycznym, jak i fizycznym. Stany Zjednoczone stały się laboratorium nowej rzeczywistości, w której prawda nie istnieje albo po prostu nie ma znaczenia. Wystarczy charyzma. Mamy wojnę w Ukrainie i ludobójstwo w Gazie. To wszystko ubrane jest w Polsce w konflikt dwóch największych partii politycznych. Młodzi ludzie nie znają świata sprzed duopolu Koalicji Obywatelskiej i Prawa i Sprawiedliwości. W ogóle mnie nie dziwi, że odruchowo sięgają po coś innego. Po partię buntu. Nie ma znaczenia, co ona mówi. Ważne, że występuje przeciwko systemowi.

Z nauki, jak z każdego innego tematu, można zrobić atrakcyjne show. Chcę działać w mainstreamie.

Tymczasem nauka ma dziś ogromny kłopot z przebiciem się do społeczeństwa. Starszy kolega opowiadał mi, że dawniej normą były choćby telewizyjne wywiady z naukowcami. Profesor Kazimierz Michałowski siadał przed kamerą i opowiadał narodowi o wykopaliskach archeologicznych w Faras. Dziś nie ma na to szans. Wyjątkiem był ostatnio Sławosz Uznański-Wiśniewski, drugi Polak w kosmosie, ale swoje pięć minut sławy spędził, odpowiadając na pytania o pierogi na orbicie. Doktor z TikToka to pomysł na przełamanie tego impasu?
To nie był zaplanowany ruch. Od zawsze uwielbiam popularyzatorów nauki. Sam byłem i jestem odbiorcą takich treści.

Na przykład jakich?
Kanał Veritasium na YouTubie, który istnieje od 2011 roku. Można tam zobaczyć między innymi eksperymenty naukowe, ale też wywiady z noblistami. Inny przykład to uniwersum medialne, które stworzyli bracia Hank i John Greenowie.

Myślałem, że wymienisz sir Davida Attenborough, autora dokumentów przyrodniczych dla BBC. Albo Neila deGrasse Tysona, słynnego astrofizyka z amerykańskiej telewizji.
Wiesz, ja jestem dzieckiem internetu. To nie są postaci mojego pokolenia. Wychowałem się w czasach, gdy telewizja jako format przeniosła się do sieci. YouTube jest moją telewizją. Nie pamiętam programu *Sonda* z lat 80. Wiem, że Neil deGrasse Tyson to człowiek instytucja, ale moim głównym źródłem wiedzy zawsze był internet. Więc jeśli chcę, żeby nauka trafiła do *mainstreamu*, to naturalnym odruchem będzie szukanie odbiorcy takiego jak ja. Uważam, że może być nim każdy. Przecież to, że miliony ludzi oglądają treści kulinarne, wcale nie oznacza, że wszyscy marzą o karierach kucharzy. Z nauki, jak z każdego innego tematu, można zrobić atrakcyjne *show*. Nie zależy mi na tym, by moje treści były trudne, zrozumiałe dla wybranych. Chcę działać w *mainstreamie*.

To dlaczego ten mainstream nie jest nauką zainteresowany? W ogólnopolskiej telewizji nie ma żadnego programu popularnonaukowego.
To jest, moim zdaniem, niebywałe. Na takich treściach da się zarobić. Można mieć wysoką oglądalność, a przecież tylko na tym telewizji zależy.

Chciałbyś mieć program naukowy w tradycyjnej telewizji?
Bardzo. Nie mogę zrozumieć, dlaczego telewizyjni decydenci nie łączą kropek. Nie widzą, jakie zasięgi mogą mieć treści naukowe. Zupełnie jakby nie chcieli zarobić.

Może jesteś zbyt dużym optymistą? Wyniki kolejnych badań wskazują, że Polacy mają coraz większy kłopot

eprasa.pl dce24a0826

z czytaniem ze zrozumieniem. Wtórny analfabetyzm dotyczy dziś 39 procent z nas. Dekadę temu to było 19 procent. Nie da się nie zauważyć roli mediów społecznościowych w tym zjawisku. Nie boisz się, że publikując na TikToku, karmisz tsunami różnorodnych treści, które bezrefleksyjnie przez nas przelatują, dostarczając tylko chwilowej przyjemności?

Ale to jest nasza rzeczywistość. Możemy się przeciwko niej buntować, stać obok i narzekać, jakie to okropne. Kto na tym zyska? Na pewno nie my, bo i tak będziemy sfrustrowani. Tak samo było z każdą historyczną rewolucją. Kilka dekad temu ludzie mówili: „Komputery? To nie dla mnie...". Dlatego biorę medium, które jest, jakie jest, widzę jego słabe i mocne strony i w tych realiach staram się wypełnić pewne luki. Jeśli nie zabiorą się za to naukowcy, zrobi to ktoś inny. Ludzie, którzy handlują suplementami diety, albo ci, którzy mówią, żebyś odstawił chemioterapię. TikTok wymusza na mnie pewien format, dopasowuję przekaz do odbiorcy. Ale robię też dłuższe filmy na YouTube'a, one trafiają do innej grupy. Z kolei ze statystyk wyświetleń swoich treści czytam, że od krótkich form wideo uzależnili się już wszyscy, nie tylko dzieciaki. Moi odbiorcy na Facebooku to grupa 35+, na TikToku ogląda mnie więcej ludzi po 25. roku życia niż młodszych.

Gdy zaczynałeś na TikToku, myślałeś, że twoim odbiorcą będzie licealista?

Od początku tworzę dla dorosłych, przy czym licealistę też traktuję jak dorosłego. Wiedza kogoś, kto przeszedł przez polski system edukacji, jest taka sama, gdy ma 19 lat i wiele dekad później, gdy jest 70-latkiem.

Jestem od ciebie tylko kilka lat starszy, ale zupełnie nie odnajduję się w formacie TikToka. Jego dynamika mnie przytłacza, nie daje chwili na przetrawienie tego, co słyszę. Dlatego gdy mówisz, że chciałbyś pójść do tradycyjnej telewizji, rodzi się we mnie myśl, że i ciebie format mediów społecznościowych ogranicza. Staje się za ciasny.

Te dwie minuty nagrania na TikToku można nazwać menu degustacyjnym. Gdy coś ci zasmakuje, możesz gdzieś indziej poszukać pełnego posiłku. Mimo wszystko jestem z trochę innej rzeczywistości niż ty. Klasyczny film dokumentalny jest w moich oczach niepotrzebnie przeciągnięty. Za dużo w nim dłużyzn. Nie lubię powtórzeń, niepotrzebnych zdań. Cały nasz świat uważam za mocno przegadany. Gdy oglądam treści naukowe, chcę dowiedzieć się jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. Nie chodzi mi o to, żeby ktoś gadał w tle, gdy sam będę sprzątał mieszkanie.

Odbiorcy cię fact-checkują?

Produkuję materiały z wielu dziedzin, w których nie jestem ekspertem. Łatwo popełnić błąd. Początkowo to

Pismo. MAGAZYN OPINII



Zapisz się na Aktualności i bądź na bieżąco z „Pismem".

W każdy piątek wyślemy do Ciebie newsletter. Polecimy w nim jeden tekst – najciekawszy esej, reportaż, fragment książki – który warto przeczytać w weekend. Subskrybując Aktualności Pisma, nie przegapisz najważniejszych materiałów, które ukazały się w miesięczniku i tych, które publikujemy tylko online.

Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/aktualnosci i zapisz się do newslettera.

eprasa.pl dce24a0826

było dla mnie paraliżujące. Potem zrozumiałem, że inaczej się nie da. Mam na koncie parę głupich błędów. Czasem zrobiłem coś za szybko, gdy można było poczekać. Przykład, którego lubię używać, dotyczy firmy Colossal Biosciences planującej wskrzeszenie mamuta. Na razie pochwaliła się ożywieniem wilkora, czyli dawno wymarłego gatunku wilka. Sprawa była głośna, *dire wolf* trafił na okładkę „Time'a", więc nie chciałem czekać. Zacząłem od sensacyjnego stwierdzenia, że oto wskrzeszono wilkora, a potem wyjaśniłem dokładnie, co się stało: że tak naprawdę to nie wilkor, ale dziwna hybryda, która tylko wygląda jak on. Ale początek mojego materiału był mylący, powinienem pohamować początkowy entuzjazm względem tej informacji. Wytknięto mi brak precyzji. Następnego dnia nagrałem sprostowanie.

Czyli twoi widzowie mają kompetencje potrzebne do wytknięcia błędu.
Oczywiście! Poza tym, gdy analizuję statystyki wyświetleń moich profili na poszczególnych platformach społecznościowych, widzę, jak różnorodną grupą są moi odbiorcy. Zdarzają się więc i biolodzy, którzy napiszą, że powiedziałem bzdurę.

Oglądałem twój materiał o międzygwiezdnej komecie 3I/ATLAS. Jeden z astronomów rozsławił ją jako potencjalny statek obcych – co było bzdurą, którą internet oczywiście się zachwycił. Ty też zacząłeś od tej hipotezy. Nie boisz się, że odbiorca nie wyniesie z takiego filmu nic poza sensacyjnym nagłówkiem, bo nie dotrwa do *dementi*?
Toczę nieustanną wewnętrzną walkę o to, jak daleko mogę posunąć się z *clickbaitem*. Bo to, co mówisz, ma oczywiście sens – być może po obejrzeniu mojego filmu o komecie 3I/ATLAS odbiorca zostanie wyłącznie z atrakcyjną, nieprawdziwą hipotezą jednego naukowca. Z drugiej strony – obok mojego filmu na ten temat jest 500 innych, w których za *clickbaitowym* tytułem nie idzie zweryfikowana naukowa treść. I jeśli nie zagram w tę grę, to z nimi przegram. A wraz ze mną odbiorca, który nie dowie się, jak jest naprawdę. Ciągle walczę o uwagę widza. Uważam, że muszę brać udział w tej walce. Inaczej polegnę na starcie i zostanę w małym gronie sfrustrowanych osób, które, aby się czegoś dowiedzieć, muszą to wyczytać z książki.

A jednak, gdy usiadłeś naprzeciwko Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego, nie pytałeś go o pierogi. Nagrałeś na YouTube'a fascynujący, typowo naukowy wywiad.
Dostałem godzinę ze Sławoszem, więc wykorzystałem ją na rozmowę o różnych aspektach naukowych jego wyprawy. Nie o pierogach. Obejrzało ją 100 tysięcy osób, więc chyba była wciągająca. YouTube'a traktuję jako osobne uniwersum. Powtórzę się: dla mojego pokolenia to jest po prostu telewizja. Gdy patrzę na statystyki urządzeń, z jakich jestem oglądany, na pierwszym miejscu są oczywiście telefony, ale na drugim – telewizory. Telewizory to 30 procent urządzeń!



To ja staroświecko, na komputerze...
Jest was 12 procent. Sorry, nikt już nie ogląda YouTube'a na komputerze. Nikt też nie wpisuje na pilocie do telewizora tytułu filmu, który chce obejrzeć. Jako twórca muszę wbić się w algorytm YouTube'a, zrobić odpowiednią miniaturkę, wymyślić klikalny tytuł. Na TikToku na początku po prostu improwizowałem, długo dochodziłem do tego, co działa, a co nie. Za to do wejścia na YouTube'a długo się przygotowywałem. Oglądałem godziny nagrań i patrzyłem, jak robią to inni. Szybko zrozumiałem, że absolutnie kluczowa jest pierwsza minuta nagrania. Albo przykujesz uwagę dramatyczną muzyką i mocnym wejściem, albo nie.

Jak zostałeś głosem walki z dezinformacją?
Wcześniej nie zajmowałem się tym na dużą skalę. Wolałem nagrywać treści popularyzatorskie. Przełom nastąpił, gdy grupa osób zajmujących się popularyzacją nauki poszła na posiedzenie sejmowej Komisji Zdrowia. Chodziło o zajęcie stanowiska w sprawie nienaukowych treści medycznych w internecie, bodźcem była sprawa internetowego szarlatana Oskara D. Zabrałem głos, który poniósł się dalej w Polskę. Tłumaczyliśmy, że dezinformacja w internecie jest plagą, że władza musi coś z tym zrobić, pora na systemową zmianę. Na posiedzeniu była też przedstawicielka Ministerstwa Zdrowia. Powiedziała, że ona się na internecie nie zna, a z mediów społecznościowych nie korzysta. Jej pomysłem na walkę z problemem była reklama społeczna: weźmiemy znanego aktora, który przemówi do starszych ludzi. Ręce opadają: na debatę o dezinformacji w internecie ministerstwo wysyła kogoś, kto nie korzysta z mediów społecznościowych. Tak czy inaczej, to wtedy wszedłem w świat *debunkingu*, czyli prostowania kłamstw. Zrozumiałem, w jak wiele bzdur można uwierzyć w internecie. I jak wiele osób zarabia na dezinformacji. Biorezonans [o którym pisze w tym numerze Marcin Osuch – przyp. red.], lewoskrętna witamina C, teorie spiskowe. W międzyczasie Oskar D. wyszedł z aresztu i wrócił do internetu.

***Debunking* to zabawa w kotka i myszkę. Profesor Grażynę Cichosz w programie Bogdana Rymanowskiego oglądały ponad 3 miliony użytkowników. Słuchały między innymi nienaukowych bzdur o szkodliwości białka roślinnego. Twoje materiały, w których prostujesz tę dezinformację, miały wielokrotnie mniej wyświetleń.**
Akurat ten wywiad wkurzył chyba wszystkich zajmujących się nauką w internecie. I każdy z nas coś nagrał.

eprasa.pl dce24a0826

Gdy to wszystko zsumować, pewnie okaże się, że mieliśmy większe zasięgi niż Rymanowski. To chyba pierwszy taki przypadek, gdy *debunking* miał więcej wyświetleń niż sama dezinformacja. Najbardziej irytujące w tej sytuacji było to, że wywiad nagrał dziennikarz z wieloletnim doświadczeniem. Ktoś, kogo uważa się za rzetelnego.

Myślisz, że to było z jego strony zaniedbanie?
Raczej cynizm. Świadome sięgnięcie po dezinformację w celu zyskania rozgłosu. Wyrządził przy tym mnóstwo szkód – ciekawe, czy myślał, jak wpłynie na życie osób, które rzeczywiście zaczną unikać białka roślinnego. Albo będą karmić swoje dzieci dziwną mieszanką mleka, którą polecała rozmówczyni. Za tą dezinformacją kryła się ordynarna reklama. Cichosz wsparła się autorytetem naukowym – tytułem profesora – żeby wypromować produkt, za którym sama stoi. Produkt na dodatek niedopuszczony do obiegu. To było obrzydliwe na wielu poziomach.

Korzystasz z AI?
Zdarza mi się. Może to będzie zaskoczeniem, ale jestem wielkim entuzjastą sztucznej inteligencji. Traktuję ją jako jeszcze jedno narzędzie.

Wielu się z tobą nie zgodzi.
Rozumiem oburzenie niektórych, ale pamiętam podobne oburzenie na Facebook, Photoshop, cyfrowe aparaty fotograficzne… Mówiło się: „Co to za sztuka, skoro nie trzeba wywoływać kliszy!". Albo: „Telewizja zabije radio". Albo: „Czytanie zabije zapamiętywanie". Tym, co niewątpliwie odróżnia AI od poprzednich rewolucji technologicznych, jest tempo zmian. Na miesiąc się wyłączysz i już nie wiesz, co się dzieje. Jesteśmy na etapie, na którym dobrze wygenerowana ilustracja jest nie do odróżnienia od prawdziwej fotografii. Z filmami niedługo będzie tak samo. Korzystam z AI, bo chcę rozumieć świat.

Twój głos został już za pomocą AI ukradziony. Nie wkurzyłeś się?
Słabo to było zrobione, można by było lepiej. A czy się oburzyłem? Z jednej strony połechtało to moje ego. Bo skoro ktoś kradnie mój głos, to znaczy, że jestem popularny, prawda? Z drugiej – co mi da samo oburzenie? Owszem, mógłbym iść na policję, szukać rozwiązań prawnych. Ale wszyscy wiemy, że to byłaby walka z wiatrakami. Tylko że to wszystko, o czym mówimy, to jest fasada. Skupiamy się na tym, jak skutecznie sztuczna inteligencja podrabia zdjęcia albo udaje czyjś głos. Zupełnie pomijamy o wiele bardziej interesujące aspekty tej technologii. Mnie najbardziej fascynuje to, jak rozwój AI przyspiesza rozwój nauki. O tym się w ogóle nie mówi.

Opowiedz.
Naukowcy wykorzystują tak zwane duże modele językowe – LLM-y [*large language models* – przyp. red.] – przy wymyślaniu nowych leków lub procesów terapeutycznych. Jestem zafascynowany historią AlphaFold, AI od Google, który zdążył już zrobić rewolucję w biologii. Obstawiam, że za 20 lat będziemy o niej mówić jako o najważniejszej rewolucji w historii medycyny. Google od lat inwestował w firmę DeepMind, a potem ją kupił. Początkowo DeepMind zajmowała się trenowaniem sztucznej inteligencji do gry w szachy i w grę planszową Go. Potem wzięła się za rozgryzienie jednego z największych problemów biochemii. Chodzi o rozwiązanie struktur białek. Wszystko, co dzieje się w naszym organizmie, w organizmie każdej istoty, opiera się na białkach. Enzymy to białka, większość struktur to białka, maszyneria do powielania naszego kodu genetycznego to też są białka. Białko składa się z aminokwasów, czyli cegiełek ułożonych w łańcuchu, jedna za drugą. Aminokwasów jest 20, a łańcuchy są bardzo długie. Od ich długości i kolejności aminokwasów zależy struktura, którą tworzą. W teorii wszystko jest proste: liczba kombinacji aminokwasów jest ograniczona, ich ułożenie klarowne, więc powinniśmy przewidzieć, co z nich powstanie, prawda? A jednak nigdy nie udało się nam do tego dojść. Niektórzy poświęcali wieloletnie kariery naukowe na badanie jednego, dwóch albo trzech białek. Całe życia!

Fascynuje mnie, jak rozwój AI przyspiesza rozwój nauki. O tym się w ogóle nie mówi.

Czy to był problem czysto obliczeniowy?
Zbyt skomplikowany nawet dla komputerów. Naukowcy robili to tak: krystalizowali białko i za pomocą ultraskomplikowanych technik dyfrakcji promieni Roentgena próbowali wywnioskować, jak będą one rozpraszane i odbijane. Z refleksów i cieni odtwarzali później strukturę białka. Czasem się udawało, ale to były pojedyncze przypadki. Potem przyszła DeepMind i tak wytrenowała model AI, że udało mu się rozwiązać wszystkie możliwe struktury białek. To był Nobel z chemii za 2024 rok. Wpisujesz dowolną sekwencję aminokwasów, a program z 95-procentową skutecznością przewiduje strukturę białka. To pozwala nam projektować nowe leki. Możemy się dowiedzieć, jaką strukturę ma dany receptor na błonie komórkowej i dopasować do niego lek. Nieprawdopodobna rewolucja, a zawdzięczmy ją AI.

Dlaczego, mówiąc o AI, nie przywołujemy tego typu dokonań? Zamiast tego twarzą sztucznej inteligencji zostaje Sora 2, model reklamowany jako ten, dzięki któremu wygenerujemy filmik, na którym ludzie ścigają się po torze na gigantyczych kaczkach?
AI to tylko narzędzie. Rozszczepiając atom, możesz zrobić bombę atomową albo urządzenie do radioterapii. Problem z AI wynika między innymi z tego, że zbytnio

eprasa.pl dce24a0826

się zdemokratyzowała. Każdy dostał do ręki to narzędzie, a gdy ludzie dostają jakieś nowe narzędzie, to zaraz zaczynają kombinować, jak dzięki niemu zarobić. Więc AI masowo generuje idiotyczne treści, wyświetlenia są monetyzowane, platformy społecznościowe się cieszą. Okazuje się, że to jeszcze jedno fajne narzędzie zniszczone przez kapitalizm. Nie zmienia to faktu, że musimy się go nauczyć, żeby umieć z nim żyć. Jasne, znajdzie się ktoś, kto powie: „Nie, dziękuję". Niektórzy wciąż nie używają bankowości internetowej albo chcą dostawać wypłatę w kopercie. Ale jak długo można się buntować?

Tylko co ma powiedzieć polski nauczyciel? Od znajomej wykładowczyni uniwersyteckiej usłyszałem, że każdy kolejny rocznik to coraz mniej samodzielni, mniej myślący ludzie, którzy we wszystkim wyręczają się AI.
Trudno przewidzieć, dokąd nas to doprowadzi. Faktem jest, że nasze pokolenie uczono choćby pisania wypracowań. Nabyliśmy tę umiejętność w procesie edukacji. Dziś oddajemy ją maszynom. Pytanie brzmi, czy ja naprawdę musiałem nauczyć się pisania rozprawki? Ktoś powie: dzięki temu nauczyłeś się logicznej argumentacji. A co z kaligrafią? Dla pokolenia naszych dziadków kaligrafia była sprawą kluczową. My obeszliśmy się bez niej. Czy jesteśmy przez to gorsi? Czy świat się rozsypał? A może to wszystko nostalgia za rzeczami, których nigdy nie potrzebowaliśmy?

Polonistka mówiła nam w szkole: „Co jak co, ale podanie do urzędu musicie umieć napisać". Dziś mój kontakt z urzędami ogranicza się do paru kliknięć...
Podobnego argumentu używano na matematyce. Nie polegaj na kalkulatorze, bo nie zawsze będziesz mieć go przy sobie. Tymczasem dziś mam w kieszeni telefon, komputer miliony razy potężniejszy od tego, który kiedyś sterował misjami kosmicznymi. Co więc złego w tym, że wesprę się AI w researchu? Albo każę jej napisać za mnie mail? Użyję jej do przyspieszenia realizacji głupich zadań? Tak naprawdę martwi mnie tylko sytuacja, w której rozmowę ze sztuczną inteligencją traktujemy jako substytut spotkania z drugim człowiekiem. Lekarzem, psychologiem, przyjacielem. Internet rozluźnił więzi społeczne, AI może zupełnie je zerwać.

A może jest tak, że polska szkoła wciąż myśli w kategoriach postapokaliptycznych? Każdego ucznia traktuje jako bank informacji, który w razie potrzeby przeniesie całą naszą wiedzę na drugą stronę hipotetycznej katastrofy? Musimy znać budowę pantofelka albo cykl rozwojowy ślimaka, bo kiedyś może zabraknąć nam wszystkich narzędzi, którym stopniowo przekazaliśmy swoje kompetencje.
Im człowiek jest starszy, tym częściej zauważa na przykład powracanie pewnych trendów. Szerokie spodnie? Ludzie, dlaczego znowu to sobie robicie? Wiele spraw, również związanych z edukacją, odnosimy do naszej młodości. Skoro ja musiałem czytać Sienkiewicza, pisać wypracowania albo wyprowadzać na kartce równania logarytmiczne, to dlaczego kolejne młode pokolenie miałoby tego nie robić?

Martwi mnie sytuacja, w której rozmowę z AI traktujemy jako substytut spotkania z drugim człowiekiem.

Niech się męczą!
Przez całe życie towarzyszy mi lęk, że – brzydko mówiąc – zdziadzieję. Przestanę nadążać. Jak moja babcia, która nie potrafi kupić biletu czy założyć konta w banku. Zamknę się w jakiejś bańce i będę żywił się frustracją, powtarzając tylko, że kiedyś było lepiej. Często się zastanawiam, kiedy nadchodzi ten moment.

Powiem ci: po czterdziestce. Ja już tam jedną nogą jestem.
Ale wiesz co? Mnie się może uda tego uniknąć, bo wcale nie uważam, że nowe jest gorsze od starego. Nie kieruję się nostalgią, jeśli za czymś tęsknię, to za przyszłością. Uważam, że nawet jeśli nie będzie lepsza, to na pewno ciekawsza. A to, że nie muszę już tracić czasu na pisanie wniosków do urzędu albo inne tego typu bzdury, tylko mnie cieszy. Kiedyś ludzie potrafili podkuć konia. Ja nie umiem. Czy to czyni mnie gorszym?

Czy wiesz, że dzięki prenumeracie z dostępem online możesz dawać innym bezpłatny dostęp do tekstów z „Pisma"? Dziel się treściami jeszcze prościej. Udostępniaj je jednym kliknięciem. Wiecej na **magazynpismo.pl/podzielsie**

Pismo.

Powody do radości

MAGDALENA KICIŃSKA
z bieżących wydarzeń wybiera te, które przywracają wiarę w lepsze jutro.



Zeskanuj QR kod lub wejdź na magazynpismo.pl/powody-do-radosci i zapisz się do newslettera.

eprasa.pl dce24a0826

POEZJA

on mówi, że wszystko będzie dobrze

LUBOW JAKYMCZUK

—

on mówi, że wszystko będzie dobrze
on mówi: jedzenie się kończy, pieniędzy już nie ma
on mówi: pomoc humanitarna z białych ciężarówek to nasz jedyny ratunek
on mówi: pomoc humanitarna właśnie wystrzeliła pociskami

szkoły nie ma
jak to, kiedy szkoły nie ma?
jest pusta, dziurawa czy wcale jej nie ma?
co się stało z moim zdjęciem, które wisiało na tablicy honorowej?
co się stało z moją nauczycielką, która siedziała w klasie?

on mówi: zdjęcie? komu potrzebne twoje zdjęcie?
on mówi: szkoła się roztopiła – ta zima jest za gorąca
on mówi: nauczycielki nie widziałem i nie proś, żebym jej szukał
on mówi: widziałem twoją chrzestną – jej już nie ma

uciekajcie
rzućcie wszystko i uciekajcie
zostawcie dom, piwnicę z dżemem morelowym
i różowe chryzantemy stojące na werandzie
psy zastrzelcie, żeby się nie męczyły
rzucajcie tę ziemię, rzucajcie

on mówi: nie opowiadaj bzdur, my codziennie rzucamy ziemię – na trumny
on mówi: wszystko będzie dobrze, niedługo przyjdzie ratunek
on mówi: pomoc humanitarna już jedzie

przełożyła Aneta Kamińska

LUBOW JAKYMCZUK

(ur. 1985), poetka, dziennikarka, scenarzystka i animatorka kultury. Urodziła się w Pierwomajsku w obwodzie ługańskim, mieszka w Kijowie. Autorka tomów poezji, m.in. *MODA*, za który dostała nagrodę Prywitannia żyttia im. Bohdana Ihora Antonycza (2008) i nagrodę im. Wasyla Symonenki (2010) oraz Abrykosy Donbasu (2015).

eprasa.pl dce24a0826

Balast na start

tekst DOROTA BIDZIŃSKA

są w polsce młodzi ludzie, których dorosłość zaczyna się od bezdomności. Po większości z nich w ogóle tego nie widać, mają telefony i modne ubrania. Ta niewidoczność utrudnia dotarcie z pomocą.

Ojczym powiedział, że darmozjada w domu nie będzie trzymał. To był grudzień, a ja musiałem się wyprowadzić – opowiada Kamil (imię zmienione). Ma 22 lata, jest gładko ogolony, w dżinsach i firmowej koszulce. Gdybym minęła go na ulicy, nie przyszłoby mi do głowy, że mierzy się z kryzysem bezdomności. – Trudno mi było znaleźć robotę, bo mam wykształcenie tylko podstawowe. Zawodówkę zawaliłem. Mieliśmy w domu problemy finansowe. Mama choruje, a ojczym pracuje przy układaniu kostki brukowej tylko od wiosny do jesieni. Żeby ich wesprzeć, zamiast chodzić na lekcje, dorabiałem, kosząc u sąsiadów lub roznosząc ulotki.

Przez pierwsze dwa miesiące mieszkał kątem u najlepszego przyjaciela. – Kiedy musiałem się stamtąd wynieść, mama poradziła mi, żebym pojechał do Krakowa, bo tam mają dobrą pomoc dla bezdomnych. Cały czas utrzymuję z nią kontakt, codziennie rozmawiamy przez telefon. Myślę, że gdyby nie to, byłoby mi jeszcze trudniej. Ona chciała, żebym został w domu, choćby nie wiem co. To z ojczymem miałem nieporozumienie. Zgłosiłem się do MOPS-u [Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej – przyp. D.B.], a oni skierowali mnie do noclegowni.

Kamila poznaję w krakowskiej jadłodajni dla osób potrzebujących przy Fundacji Po pierwsze CZŁOWIEK, prowadzonej przez siostry albertynki. Od ponad dziesięciu lat wolontaryjnie pomagam tu przy wydawaniu posiłków. Chodząc z garnkiem zupy między stolikami, coraz częściej wyłapuję z tłumu twarze młodych dziewczyn i chłopaków. Ich obecność tutaj uderza. Mam wrażenie, jakby kryzys bezdomności dotykał coraz młodsze osoby.

Oficjalne statystyki pokazują, że młodych mierzących się z kryzysem bezdomności nie jest wielu. Według *Ogólnopolskiego badania liczby osób bezdomnych* – prowadzonego cyklicznie na zlecenie Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej – w 2024 roku w nocy z 28 na 29 lutego z 31 042 osób w kryzysie bezdomności tylko 1022 mieściły się w przedziale wiekowym 18–25 lat. Podobnie, w poprzedniej edycji badania – w 2019 roku – wśród 30 330 osób niemających gdzie mieszkać młodych było jedynie 784. Te wyniki budzą jednak wątpliwości.

– Powiem brutalnie: statystyki są śmieszne – stwierdza Anna Grabarczyk, psychotraumatolożka, interwentka kryzysowa, pracownica socjalna i koordynatorka łódzkiego hostelu osłonowego Nowy Początek, placówki, która działa od 2024 roku i oferuje tymczasowe schronienie osobom w kryzysie bezdomności. – Zupełnie nie oddają tego, ile osób rzeczywiście mierzy się z tym problemem. W badaniu uwzględniane są tylko te, które przebywają w schroniskach albo zostały zidentyfikowane przez streetworkerów. Tymczasem z moich obserwacji wynika, że zwłaszcza młode osoby doświadczające braku bezpiecznego schronienia jako miejsca przebywania wybierają galerie handlowe, całonocne kluby, a latem parki i festiwale. Tam mogą się ukryć, pozostać niewidzialne. Zjawisko bezdomności młodych osób jest bardzo poważnie niedoszacowane.

Z tą oceną zgadza się Agnieszka Sikora, wyróżniona tytułem Warszawianki Roku 2025 prezeska Fundacji po DRUGIE, która

eprasa.pl dce24a0826



rysunek DOMINIK NAWROCKI

eprasa.pl dce24a0826

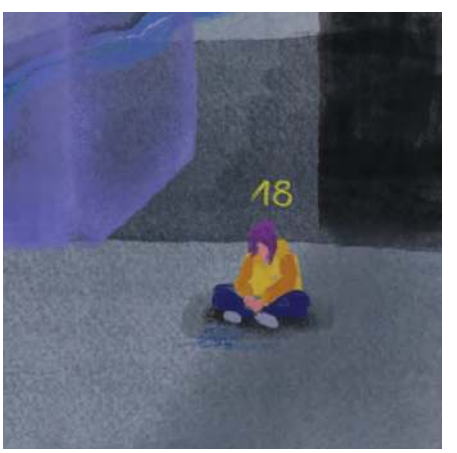
DOROTA BIDZIŃSKA (ur. 1987), reporterka i wolontariuszka krakowskiej Fundacji Po pierwsze CZŁOWIEK. Publikowała m.in. w „Gazecie Wyborczej", „Przeglądzie", „Tygodniku Powszechnym" i „Znaku". Interesuje się dziennikarstwem rozwiązań.

specjalizuje się w pomocy młodym osobom w kryzysie bezdomności. – Tylko do nas rocznie przychodzi blisko 300 osób – zauważa. – Trudno oszacować miarodajne liczby. Sposób, w jaki ta grupa próbuje sobie radzić z bezdomnością, wcale tego nie ułatwia. Wiele osób, kiedy traci bezpieczne schronienie, zaczyna od nocowania u znajomych. Jedna noc u jednego kolegi, kolejna u następnego – do czasu, aż te możliwości się wyczerpią. A to już początek bezdomności. Dla systemu są one zupełnie niewidzialne. Skąd mamy wiedzieć, że w konkretnym bloku jakiś młody człowiek właśnie śpi u swojego znajomego na kanapie, bo nie miał się gdzie podziać? Raz, w 2019 roku, podjęliśmy próbę zdiagnozowania, ile młodzieży doświadcza bezdomności w Warszawie. W ciągu dwóch nocy spisaliśmy 105 osób w wieku 17–25 lat. Poprosiliśmy wtedy o pomoc streetworkerów. I choć mieli oni rozpoznane różne miejsca przebywania osób w kryzysie bezdomności, akurat tam nie było młodych dorosłych. To tylko pokazuje, że nawet specjaliści nie za bardzo wiedzą, gdzie tej młodzieży szukać.

– Większość osób, które znam, lawiruje między spaniem na klatkach schodowych i w altankach działkowych a nocowaniem po znajomych przez tydzień lub dwa – dodaje Natalia Dziąg, przez ostatnie 2,5 roku streetworkerka Stowarzyszenia Szczypta Dobra, a obecnie prezeska fundacji Niestereotypowi wspierającej młodych w kryzysie bezdomności i nim zagrożonych. – Zdarza mi się, że idę ze znajomymi i mijam młodego człowieka, który woła do mnie „Cześć, Natalia!". Wiele osób nie jest w stanie mi uwierzyć, że właśnie spotkaliśmy kogoś, kogo znam z mojej pracy. Po większości z nich w ogóle tej bezdomności nie widać, są modnie ubrani, wyglądają jak dobrze funkcjonujący nastolatkowie, może z trochę uboższych rodzin. Niestety, taki wizerunek czasem utrudnia dotarcie z pomocą.

– Ostatnio staliśmy z kolegą w kolejce po kebab przed grupą turystów rozmawiających po angielsku. Chyba myśleli, że ich nie rozumiemy, bo gadali o nas. Powiedzieli, że jestem fajnie ubrany, za to mojego kolegę, który ma normalny dom, uznali za bezdomnego – śmieje się Kamil. – Większość ciuchów mam jeszcze z domu. Jest tam sporo dobrych rzeczy, które dostałem od wujka z zagranicy.

Ale niewidzialność to nie tylko modne ciuchy, słuchawki w uszach i telefony komórkowe. Jak przekonuje Sikora, młodzi dorośli niechętnie pukają do drzwi instytucji pomagających osobom w kryzysie bezdomności. Nie chcą ze swoimi problemami trafić do jednego worka z ludźmi w wieloletnim kryzysie, często zrezygnowanymi, czasem niedbającymi o higienę, pogardzanymi przez społeczeństwo. – Wiele osób, które przychodzą do nas po wsparcie, nigdy nie korzystało z instytucjonalnych form pomocy – mówi. – Oni bardzo wstydzą się swojej sytuacji.



—

Z KOLEGAMI mamy takie swoje miejsce. Nazwaliśmy je „Zielone", bo to duża przestrzeń, drzewa i trawa, a w środku opuszczony budynek. W samym centrum miasta, a jest cisza i spokój! Nikt tam nie chodzi. Co najwyżej rano ludzie z pieskami na spacer, ale nas nie zauważają. Śpimy tam we trójkę, bo jakby się było w pojedynkę… To jest przytłaczające, denerwujące, budzi się człowiek co chwilę – opowiada Maciek z Krakowa. Ma 20 lat, ale wygląda na mniej. Wysoki, o szczupłej, chłopięcej twarzy i dużych brązowych oczach.

Mówi, że jego bezdomność zaczęła się od kłótni z mamą. – Poszło o angielski. W czwartej klasie [liceum – przyp. red.] zmienili nam nauczyciela. Jak się dowiedziałem, że ta pani nas będzie uczyć, to się załamałem. Pierwszy semestr jeszcze było *si*, czyli w porządku, ale w drugim to już była masakra. Powiedziałem mamie, że będę chodził na lekcje tylko tyle, żeby zaliczyć sprawdziany i wyrobić obecność. Nie zgodziła się. Stwierdziła, że jak mi się nie podoba, to mogę się wyprowadzić. A mądry Maciuś na to: „Nie ma sprawy, idę na swoje!". Teraz o wiele więcej rozumiem i wiem. Mogłem tak nie robić. Ale nie myślałem, że tak wyjdzie, że pójdę w bezdomność. Przez pół roku udawało mi się utrzymać. Wynająłem pokój. Miałem pracę, najpierw w dowozie, potem robiłem u jednego gościa. Pomagałem mu postawić altankę przy domu. Tylko że ta praca nie była na żadnym papierku i ostatecznie facet nie wypłacił mi kasy. Wtedy wszystko poleciało w dół. Zalegałem z czynszem, wywalili mnie.

Pytam go, czy widzi szansę na swój powrót do rodziny, w końcu sprzeczka o wagary to nie taka straszna rzecz. Stanowczo zaprzecza. Opowiada mi o skomplikowanych relacjach z rodzeństwem, o kryzysie, przez który przechodziła jego rodzina, i roku pełnym przeprowadzek, gdy przenosili się do kolejnych domów samotnej matki. O tym, jak nie radził sobie z bólem i agresją, o nawarstwiających się pretensjach. Tu nie poszło tylko o nieobecności w szkole.

Przez jakiś czas pomieszkiwał u koleżanki. – Okazało się, że jej rodzina trochę piła. Starałem się dobrze z nimi żyć, żeby mnie nie wywalili. Potem i tak dowiedział się o mnie właściciel mieszkania, więc musiałem się stamtąd zbierać. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Jeździłem autobusami po mieście, szwendałem się po galerii. Ciężko było. Jak ktoś nie ma osoby, która w tym żyje, to sobie nie poradzi. Ja akuratnie miałem farta, że trafiłem na Kacpra. Zagadał do mnie, jak siedziałem w McDonaldzie i ładowałem sobie telefon. Opowiedział mi, gdzie warto chodzić do łaźni, a gdzie na jedzenie.

„Zamieszkiwanie miasta w sytuacji bezdomności ulicznej (…) jest męczące. Bardzo męczące. Po pierwsze, musisz sporo się nachodzić – opisuje perspektywę osób w kryzysie socjolożka Natalia Martini na łamach „Autoportretu. Pisma o dobrej przestrzeni" z 2022 roku. – To, co domni załatwiają na powierzchni (…) swojego mieszkania (…), u bezdomnych rozciąga się na obszar całego miasta. Łaźnia tu, wydawka tam; teren obfitujący w puszki tu, skup złomu

eprasa.pl dce24a0826

tam, bezpieczne miejsce do spania jeszcze gdzie indziej". W ramach projektu badawczego prowadzonego w latach 2017–2021 Martini poprosiła osoby z doświadczeniem bezdomności z Łodzi i Krakowa o fotografowanie miasta. Zrobione przez nich zdjęcia pokazują, jak brak bezpiecznego schronienia wpływa na postrzeganie przestrzeni. Przedstawiają przede wszystkim pustostany, klatki schodowe i altanki na działkowych ogródkach, ale też kosz wypełniony petami („Jak nie ma pieniędzy, a chce się palić" – podpisał fotkę anonimowy autor), rozłożysty kasztanowiec – ulubione drzewo na krakowskich Plantach – i niepozorną kamienicę obojętnie mijaną przez przechodniów, ważną dla fotografującego, bo na fasadzie wisi szyld z informacją o prowadzonej w niej jadłodajni.

—

ZJE PANI LECZO? Ja gotowałam! – wita mnie od progu Agnieszka Sikora w siedzibie Fundacji po DRUGIE na warszawskim Powiślu. Pomoc młodym ludziom, którzy tu trafili, zawsze rozpoczyna się od ciepłego posiłku. „Pamiętam mój pierwszy raz. Usiadłem w kącie, miałem naciągnięty na głowę kaptur, słuchawki na uszach. Byłem wtedy brudny, śmierdzący i bardzo zestresowany – wspomina jeden z chłopaków, cytowany w publikacji *Metoda po DRUGIE*. – W zasadzie to przede wszystkim chciałem uciekać. Podeszła do mnie wtedy pani Agnieszka. (...) Zapytała mnie, czy jestem głodny, i zaprowadziła do kuchni. Nałożyła mi na talerz spaghetti, którego wcale nie chciałem jeść, chociaż byłem głodny. Powiedziała, żebym zjadł, i zostawiła mnie samego z tym jedzeniem. To było wtedy bardzo ważne dla mnie, bo mogłem w miarę swobodnie rzucić się na ten makaron".

– Oni często są bardzo skrępowani. Dlatego staramy się, żeby ten pierwszy kontakt przebiegał spokojnie, w jak najbardziej przyjaznej atmosferze. Nie chcemy rozdrapywać ran, więc w rozmowie nie wchodzimy zbyt głęboko, ale zawsze pytamy o sytuację prawną, rodzinną, zdrowotną, czy ktoś się uczy lub pracuje – wyjaśnia Sikora.

Do fundacji zgłaszają się różne osoby. Są wśród nich młodzi, którzy po ukończeniu 18 lat opuścili placówkę wychowawczą lub resocjalizacyjną, ale też tacy, którzy wychowali się w rodzinach. Pochodzą zarówno ze środowisk wieloproblemowych, jak i takich, w których nigdy nie było interwencji kuratora, pracownika socjalnego ani policji. Część z nich została wyrzucona z domu, inni sami uciekli, bo z różnych powodów nie potrafili tam żyć. Wielu mierzy się z uzależnieniami i innymi problemami psychicznymi, choć nie zawsze wychodzi to w pierwszej rozmowie. Przychodzą często bez grosza przy duszy, z jedną torbą. Łączy ich to, że nie mają gdzie się podziać.

– Taką rozmowę zwykle od razu kończymy zaproszeniem do naszego Domu dla Młodzieży – zaznacza Sikora.

Na specjalistyczną pomoc psychiatryczną czeka się tygodniami. Wychowawcy są bezradni. Nie mamy narzędzi do skutecznej pracy. Więc gdy tylko młodzi kończą 18 lat, opuszczają placówkę i trafiają prosto na ulicę – opowiada Marcin Tylman, prezes Fundacji Aktywizacji i Integracji.

Są tylko dwa przypadki uniemożliwiające natychmiastowe skorzystanie z pomocy. – Jeśli ktoś przyjdzie pod wpływem, to w tym konkretnym momencie nie będziemy z nim rozmawiać. Ale gdy pojawi się następnego dnia i będzie trzeźwy, przyjmiemy go pod nasz dach. Drugi powód to czynna psychoza lub myśli samobójcze. Wtedy dzwonimy po karetkę. Po odbytym leczeniu zawsze można do nas wrócić – podkreśla prezeska Fundacji po DRUGIE.

W wynajmowanym przez organizację piętrowym domu na warszawskim Wawrze może zamieszkać od 14 do 16 osób. Jest pięć sypialni, łazienki, kuchnia, duży salon i ogród. W domu stale przebywa jeden z czterech zatrudnionych przez fundację asystentów wsparcia, który ma oko na młodych lokatorów, wspiera ich, pomaga rozwiązywać konflikty. W tym miejscu toczy się życie rodzinne. Są więc wspólne posiłki, wycieczki i wyjścia do kina, ale też domowe obowiązki i zasady. – Dla mnie ma ono taki *vibe* domu dziecka – zauważa jeden z mieszkających w nim chłopaków, 21-letni Mateusz. – Ale nie w negatywnym sensie. Mega doceniam to, że mogę tu być.

Sikora przyznaje, że nie zawsze starcza miejsc dla wszystkich, którzy zgłaszają się po pomoc: – Czasem dostawiamy łóżka. Staramy się jednak zbyt często tego nie robić, żeby nie zaburzać domowego charakteru tego miejsca. Wtedy niestety musimy odsyłać młodych do innych miejsc, zwykle noclegowni. Z tą opcją, że codziennie mogą przychodzić do naszego punktu pomocowego, spędzać w nim czas, korzystać ze wsparcia specjalistów: psychologa, doradcy zawodowego, poradnictwa prawnego. Czekają, aż zwolni się dla nich miejsce.

Fundacja po DRUGIE powstała w 2011 roku, z inicjatywy Agnieszki Sikory, która tematem młodzieży doświadczającej trudności zajmowała się jako dziennikarka. Losy dziewczyn z ośrodków resocjalizacyjnych, bohaterek jej materiałów, poruszyły ją do tego stopnia, że zaczęła organizować dla nich wsparcie. Szybko przekonała się, że największym problemem wychowanków tego typu placówek jest brak bezpiecznego schronienia.

„Pierwszy uczestnik naszego wsparcia (...) pokazał nam, jak bardzo ubogi jest system i jak bardzo brakuje w nim rozwiązań dla dzieciaków takich jak on – wspomina Sikora w publikacji *Mieszkalnictwo treningowe dla niezdecydowanych. Usamodzielnienie jako profilaktyka bezdomności młodych*, opracowanej przez Marcina Tylmana, prezesa Fundacji Aktywizacji i Integracji (FAI) w Nowem w województwie kujawsko-pomorskim. – Nie został zakwalifikowany do mieszkania chronionego, bo nikt nie ufał, że chłopak, który spędził kilka lat w zakładzie poprawczym, mógł się zmienić. Dom dziecka, w którym się wychował, wydał odmowną decyzję w sprawie mieszkania i tym samym skazał chłopaka na pobyt w schronisku dla osób w kryzysie bezdomności. (...) To nie była pomoc, jakiej potrzebował w tamtym momencie. Dziś ma ponad 30 lat i odsiaduje kolejny wyrok w zakładzie karnym, ma dziecko, na które nigdy nie przekazał ani złotówki, i jest uzależniony od narkotyków i dopalaczy".

eprasa.pl dce24a0826

Młodzież, która opuszcza ośrodki wychowawcze i resocjalizacyjne, oraz młodzi po pieczy zastępczej [pisała o nich Aleksandra Warecka, „Pismo" nr 3/2019 – przyp. red.] początkowo byli przez fundację postrzegani jako najbardziej zagrożeni bezdomnością.

—

W 2023 roku procesowi usamodzielniania wychowanków placówek opiekuńczo-wychowawczych i rodzinnej pieczy zastępczej przyjrzała się Najwyższa Izba Kontroli (NIK). Analizowała pracę 16 Powiatowych Centrów Pomocy Rodzinie (PCPR) i jednego Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie (MOPR). Wnioski zawarte w końcowym raporcie nie są optymistyczne. Zgodnie z przepisami co najmniej miesiąc przed osiągnięciem pełnoletności wychowanek, wraz z wybranym przez siebie opiekunem usamodzielnienia, powinien przedstawić indywidualny program usamodzielnienia, w którym zostanie określony zakres pomocy opiekuna, plany dotyczące samodzielnego zakwaterowania, zatrudnienia albo kontynuacji nauki. Raport NIK-u dowodzi, że plany były zatwierdzane na ostatnią chwilę, a „w części z nich wskazywano bardzo ogólne postanowienia, bez wyznaczania jakichkolwiek ram czasowych, co może prowadzić do wniosku, że dokumenty zostały wypełnione bez należytej staranności i zostały opracowane jedynie w celu spełnienia ustawowych wymogów dotyczących warunków otrzymania pomocy".

„Indywidualny program usamodzielnienia jest najczęściej fikcją (...), a opiekunami usamodzielnienia zostają ludzie z łapanki. To są wrota do bezdomności" – mówił Tylman w marcu 2025 roku na posiedzeniu Parlamentarnego Zespołu ds. Zakończenia Bezdomności. Prowadzona przez niego fundacja od 2021 roku realizuje program mieszkań treningowych dla młodzieży opuszczającej rodzinną i instytucjonalną pieczę zastępczą. Wspiera też wychowanków młodzieżowych ośrodków wychowawczych.

– Wielokrotnie słyszę od pracowników placówek, że te dzieciaki to już nie są „grandziarze", czyli chuligani karani za drobne kradzieże. Znaczna większość z nich mierzy się z poważnymi problemami psychicznymi, uzależnieniami, nie radzi sobie z agresją. Na specjalistyczną pomoc psychiatryczną czeka się tygodniami. Wychowawcy są wobec tych problemów bezradni. Nie mamy narzędzi do skutecznej pracy. Więc gdy tylko młodzi kończą 18 lat, opuszczają placówkę i trafiają prosto na ulicę – mówi Tylman.

– Dużo młodych ma zaburzenia, myśli samobójcze – potwierdza Aleksandra Nowaczyk, dyrektorka Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego (MOW) w Samostrzelu pod Bydgoszczą. – Pracuję z nimi już od 20 lat i kiedy zaczynałam, termin oczekiwania na wizytę w wojewódzkiej poradni zdrowia psychicznego nie był dłuższy niż miesiąc. Teraz czeka się nawet rok. Staramy się pozyskiwać środki z projektów na prywatne wizyty dla osób, które najpilniej potrzebują wsparcia – podkreśla.

Dla młodych po pieczy brakuje mieszkań. Raport NIK-u ujawnił, że w Piasecznie skuteczność ich uzyskania z zasobów samorządowych wynosiła zaledwie 40 procent, w Mińsku Mazowieckim 36 procent. MOPR w Bytomiu i PCPR we Włocławku z powodu braku dostępnych mieszkań osobom usamodzielnianym – jako alternatywę – proponowały noclegownie i schroniska dla osób w kryzysie bezdomności. Z danych zebranych w urzędach miast, w których kontrolowane były PCPR-y, wynika, że na 301 wniosków o przydział mieszkania, złożonych przez usamodzielniających się wychowanków w latach 2020–2022, pozytywnie rozpatrzono 162. Średni czas oczekiwania na mieszkanie socjalne wynosił 40 miesięcy.

Najlepiej wyglądała sytuacja w miejscowościach, w których funkcjonują mieszkania treningowe. Zgodnie z obowiązującymi przepisami prowadzenie ich, podobnie jak wspomaganych, należy do zadań własnych gmin. Jednak nie wszystkie samorządy wywiązują się z tego obowiązku. Według danych Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w 2024 roku w całej Polsce funkcjonowało zaledwie 946 mieszkań treningowych. Nie wiadomo, w jakiej części korzystali z nich młodzi po pieczy zastępczej, a w jakiej inne – uprawnione do tej formy wsparcia – osoby (na przykład byli więźniowie, osoby z niepełnosprawnością lub cudzoziemcy ubiegający się o status uchodźcy).

Brak dachu nad głową to nie jedyny problem. – Wśród najważniejszych rzeczy decydujących o sukcesie w procesie usamodzielnienia jest relacja z dobrym, bezpiecznym dorosłym – zauważa Natalia Dziąg. Tymczasem, zgodnie z przepisami, opiekunem usamodzielnienia może być dowolna wskazana przez opuszczającego pieczę osoba. Zdarza się, że zostaje nim członek dysfunkcyjnej rodziny, z której dziecko w przeszłości zostało zabrane.

Pismo.

1,5%

Buduj razem z nami kulturę dialogu i krytycznego myślenia. Przekaż 1,5% podatku na Fundację Pismo.

KRS 0000689263

eprasa.pl dce24a0826

– Są rodziny, które z premedytacją przyjmują młodego człowieka tylko dlatego, że w czasie pobytu w placówce lub rodzinie zastępczej zgromadził pewien kapitał z odkładanych co miesiąc świadczeń 800 plus i dostał finansowe wsparcie od państwa na usamodzielnienie. Dzieciak cieszy się z odzyskanego kontaktu z rodzicami. Ale kiedy pieniądze się kończą, ci sami rodzice, którzy tak chętnie go witali, wyrzucają go z domu – mówi Tylman.

Bywa, że opiekunem usamodzielnienia zostaje starszy partner. – Czasem to zadziała dobrze. Znam jedną dziewczynę, która związała się z o 12 lat starszym mężczyzną i ten człowiek rzeczywiście dał jej poczucie bezpieczeństwa, wsparcie i dom. Często jednak są to relacje toksyczne, w których szybko dochodzi do uzależnienia ekonomicznego i przemocy – kontynuuje Dziąg.

Opiekunami zostają także rodzice zastępczy lub wychowawcy z placówek. Dobrze, jeśli są oni faktycznie zaangażowani w życie młodych i w nim obecni. Gorzej, gdy zostali wpisani tylko po to, żeby spełnić zawarty w przepisach warunek formalny. – Pamiętam dziewczynę, która po opuszczeniu placówki zupełnie straciła kontakt z wychowawczynią będącą jej opiekunką usamodzielnienia. Nawet kiedy przechodziła trudny okres, miała myśli samobójcze i napisała do opiekunki wiadomość, nie dostała żadnej odpowiedzi, bo jak się okazało, wychowawczyni była akurat na urlopie. Później też ten kontakt był znikomy i w żaden sposób niewspierający – opowiada Natalia Dziąg.

– U nas najczęściej jest tak, że pracownik socjalny lub pedagog zostaje opiekunem i wspólnie z młodymi opracowuje indywidualny program usamodzielnienia – mówi Nowaczyk. – Kiedy jednak wyprowadzają się z Samostrzela, zmieniają opiekuna, a nasza rola się kończy. Bywa, że po pobycie w placówce następuje okres zachłyśnięcia się wolnością. Dziewczyny nie zgłaszają się do PCPR-u, wpadają w kłopoty. To niestety może zakończyć się bezdomnością.

Cytowana w raporcie NIK-u dyrektorka PCPR-u w Pruszczu Gdańskim zwraca uwagę na jeszcze jeden problem. Na skutek tego, że opiekun usamodzielnienia nie musi spełniać żadnych warunków formalnych, niektórzy młodzi wybierają osobę, o której wiedzą, że nie będzie im stawiać żadnych wymagań.

—

NIKITA BYŁA wychowanką MOW-u. Prosi, żebym nie pisała o tym, co sprawiło, że najpierw trafiła do domu dziecka, a potem do ośrodka. Kiedy opowiada o tamtym okresie swojego życia, ma wilgotne oczy. Woli skupiać się na tym, co przed nią. W czerwcu 2025 roku – po ukończeniu 18 lat – z jedną walizką opuściła placówkę i przeprowadziła się do prowadzonego przez FAI mieszkania treningowego w Toruniu. – Co bym zrobiła, gdyby nie było tych mieszkań? Nie wiem. Prawdę mówiąc, już googlowałam, w której części Polski znajdę jakiś most, gdzie nie ma zbyt wielu bezdomnych – mówi z ironią.

Są rodziny, które z premedytacją przyjmują młodego człowieka dlatego, że w czasie pobytu u rodziny zastępczej zgrodzmadził kapitał z odkładanych co miesiąc świadczeń 800 plus. Kiedy pieniądze się kończą, ci sami rodzice od razu wyrzucają go z domu.

Przyznaje, że na początku niemal wszystko było dla niej nowe i odrobinę przerażające: – Choćby sam fakt, że mam w mieszkaniu lustro. W ośrodku nie mogliśmy ich mieć, podobnie jak noży, aerozoli, niczego, czym można zrobić krzywdę sobie i innym. Nie znałam się na prowadzeniu gospodarstwa domowego ani na finansach. Nie wiedziałam, co to oprocentowanie i lokata. Na szczęście zawsze mogę napisać do animatorki, która mi pomoże.

W toruńskim programie mieszkań treningowych prowadzonym przez FAI sześcioro uczestników wspierają dwie asystentki – animatorki, które towarzyszą młodym na co dzień i pomagają im w nauce samodzielności. Kiedy Nikita zaczynała pracę w lokalnej pierogarni i musiała nauczyć się specjalnego sposobu zaplatania ciasta, jedna z opiekunek kupiła niezbędne składniki i zabrała ją do swojej babci, gdzie przez całe popołudnie trenowały specyficzny splot.

Oprócz tego młodzież może liczyć na wsparcie specjalistów, między innymi psychologa, terapeuty uzależnień i psychiatry. – Nie patrzymy, kto z nas poszedł do psychologa, a kto do psychiatry. Nie śmiejemy się z siebie. Każdy z nas przeszedł – za przeproszeniem – przez takie gówno, że po co mielibyśmy sobie jeszcze dokładać? – mówi Nikita.

Wspomina, że na początku trudno jej było się przestawić z trybu ciągłej kontroli, który miała w ośrodku, na swobodę samodzielnego życia w mieszkaniu. – Przez pierwsze dni chodziłam po wszystkich pomieszczeniach i szukałam poukrywanych kamer. Pisałam do animatorek za każdym razem, kiedy chciałam gdzieś wyjść. Odpowiadały mi: „Okej, Nikita. Nie musisz nam się tak meldować. Jesteś dorosła". Trudno też mi było do czegokolwiek się zmobilizować. Przyzwyczaiłam się do obowiązującego w ośrodku systemu punktowego. Po co mam po sobie sprzątać, wstawać rano i ścielić łóżko, odkładać telefon, skoro nie dostanę za to punktów? Dopiero z czasem zrozumiałam, że to są rzeczy, które robię dla samej siebie. Jak nie posprzątam, to będę siedzieć w brudzie. Jak nie wstanę rano, to spóźnię się do pracy. A jak będę w nocy scrollować telefon, to się nie wyśpię i będę miała później beznadziejny dzień – wymienia.

Nikita z niepokojem myśli o dniu, kiedy będzie musiała się wyprowadzić i pójść na swoje. W obecnym lokalu może przebywać do momentu ukończenia edukacji. Jest w ostatniej klasie szkoły gastronomicznej, ma więc czas do czerwca. – Animatorki pocieszają mnie, że pomogą mi w znalezieniu mieszkania i że nawet jak się już wyprowadzę, będę mogła korzystać ze wsparcia fundacji, ale i tak się trochę boję. Staram się jak najlepiej wykorzystać ten czas. Dużo pracuję, żeby odłożyć sobie pieniądze. Pobyt w mieszkaniu bardzo mnie zmienił. Nabrałam zaufania do ludzi. Na początku byłam strasznie nastroszona. Teraz potrafię już opuścić gardę. Z większą nadzieją myślę o przyszłości. Napisałam o tym wiersz. – Wyciąga telefon i czyta lekko drżącym głosem. Kończy się tak:

eprasa.pl dce24a0826

Kiedyś mówiłam: „nie mam nic”.
Dziś staram się mówić to samo inaczej:
„Nie mam nic, co odbiera mi siłę”.
Zostało to, co mnie wzmacnia i dodaje mi skrzydeł.

—

DO FUNDACJI po DRUGIE przychodzą nie tylko dzieciaki po pobycie w placówkach resocjalizacyjnych i pieczy zastępczej. Coraz częściej do drzwi pukają młodzi, którzy wychowywali się w rodzinach. Czasem dość majętnych i wydawałoby się – na pierwszy rzut oka – bezproblemowych. – Nazywamy ich młodzieżą opuszczoną. Są opuszczeni podwójnie: przez rodziny, które nie są w stanie dać im poczucia bezpieczeństwa i stabilizacji, ale też przez system, który ich nie zauważa, nie ma dla nich odpowiedniej oferty wsparcia – mówi Sikora.

Bo choć proces usamodzielniania podopiecznych pieczy zastępczej kuleje, to jednak proponuje konkretne, lepsze lub gorsze rozwiązania. Na systemowe załatwienie problemu zagrożonych kryzysem bezdomności dzieci wychowujących się w rodzinach nie ma żadnego pomysłu. Wychowankowie rodzin zastępczych, domów dziecka i placówek resocjalizacyjnych przy odrobinie szczęścia mogą liczyć na zakwaterowanie w mieszkaniu treningowym. Młodzi wyrzuceni z rodzinnego domu lub ci, którzy z niego uciekli, są z reguły skazani na noclegownie lub schroniska. Miejsca, które być może oferują łóżko i dach nad głową, ale nie są w stanie zapewnić prywatności, poczucia bezpieczeństwa, warunków do odpoczynku, przestrzeni do mierzenia się z kryzysem.

Pytam Agnieszkę Sikorę, czy w historii fundacji zdarzały się udane powroty do domu. – Mamy bardzo różne doświadczenia – stwierdza. – Od tych bardzo dramatycznych, kiedy rodzic nie chce swojego dziecka, po takie, kiedy dziecko chciane zachowuje się w sposób nie do zaakceptowania. Przychodzi pod wpływem, okrada, kłamie, jest agresywne. Wtedy rodzic decyduje się zamknąć przed nim drzwi. Paradoksalnie ta sytuacja niesie za sobą najwięcej nadziei. Bo jeśli podejmiemy pracę z tym młodym człowiekiem, zmotywujemy do leczenia, terapii, a na dalszym etapie zaktywizują się rodzice, to jest możliwość odbudowania relacji. Nie tak dawno towarzyszyłam jednemu z naszych chłopaków podczas rozmowy telefonicznej z babcią. Bardzo bał się do niej zadzwonić. W dzieciństwie miał z nią dobry kontakt, ale potem poszedł w alkohol i narkotyki. Sporo narozrabiał, nieraz ją rozczarował. Jest już po terapii, od półtora roku trzeźwy, wykonał naprawdę wspaniałą robotę. Przekonywałam go, że babcia tylko się ucieszy, jak się dowie, że z tego wyszedł. Poprosił mnie, żebym była przy tej rozmowie. Zadzwonił: „Babciu, ja cię strasznie przepraszam, ja jestem po terapii…” – zaczął. Babcia przez chwilę się nie odzywała, a potem zapytała: „A dziewczynę masz?”.

Czasem jednak nie ma już do czego wracać. – Poruszające są dla mnie rozmowy z rodzicami, którzy mówią wprost: „Nie, ja go już nie chcę. On jest niedobry”.



Najbardziej uderza to, kiedy obchodzimy Wigilię z naszą młodzieżą. Widać po nich wtedy, jak bardzo są wzruszeni. Oni często nie mają do kogo pojechać. Ich rodzice mają już nowe życie, nowych partnerów, nowe dzieci – opowiada Sikora.

—

PRZEŚWIADCZENIE, że wsparcie dla młodych ludzi powinno być realizowane we wspólnym domu z całodobową opieką asystentów, pojawiło się w Fundacji po DRUGIE z czasem. Początkowo – w 2015 roku – wystartowała ona z programem dwóch trzyosobowych mieszkań treningowych, dla mężczyzn i dla kobiet, z dochodzącym opiekunem. Szybko jednak się przekonano, że to rozwiązanie się nie sprawdza. Kontrola przestrzegania obowiązujących w lokalach reguł, w tym zachowania abstynencji, często wyglądała jak zabawa w kotka i myszkę. To nie pomagało w budowaniu szczerych, opartych na zaufaniu relacji, niezbędnych do wspierania młodych w ich złożonych problemach.

W 2022 roku fundacja, ze wsparciem prywatnych sponsorów, wynajęła duży dom. Od tego czasu kadra ma możliwość szybszego rozpoznania problemów, z którymi przychodzą młodzi, i podjęcia odpowiednich interwencji. Asystenci uczą dbania o porządek, motywują do pilnowania swoich spraw, na przykład wstawania do szkoły i pracy albo regularnego przyjmowania leków. Niektórym muszą przypominać o umyciu zębów lub powleczeniu pościeli. Wspólny czas przy planszówkach, wyjścia do kina, wycieczki rozbudzają w uczestnikach chęć zawalczenia o lepsze, pełniejsze, ciekawsze życie. – Przecież nie możemy wspierać młodych ludzi, każąc im tylko pracować – zauważa Sikora. – Mam 19-letniego syna i im jest starszy, tym bardziej widzę, jak dużo od tych fundacyjnych dzieciaków wymagamy. Tak, musimy ich motywować, ale ważne jest też, żebyśmy dawali im swój czas, uwagę. Żebym z jednym pograła w makao, a z innym pogadała lub wspólnie popracowała w ogrodzie.

Prezeska Fundacji po DRUGIE jest przekonana, że praca z młodymi w kryzysie bezdomności musi opierać się na wychowaniu. „Najmłodsi dorośli (od 18 do 21 lat) są bardziej podobni do młodszych nastolatków niż do starszych dorosłych pod względem sposobu reagowania w warunkach pobudzenia emocjonalnego. Dorastanie i dorosłość nie są uporządkowanymi kategoriami rozwojowymi, a wejście w dorosłość jest procesem stopniowym” – zauważają Agnieszka Sikora i Renata Szczepanik w publikacji *Metoda po DRUGIE*.

Podobnego zdania jest Anna Grabarczyk. – Czasem mam wrażenie, że mieszka u nas taka fajna gromada dzieciaków, które po prostu skończyły 18 lat – mówi z rozczuleniem o młodych dorosłych, którzy trafiają do łódzkiego hostelu.

Po dłuższym pobycie w Domu dla Młodzieży, po tym, gdy uda się uregulować sprawy zdrowotne i mieć stały dochód, młodzi przenoszą się do prowadzonych przez Fundację po DRUGIE czteroosobowych mieszkań treningowych. Mogą w nich

eprasa.pl dce24a0826

przebywać do ukończenia 25. roku życia. Wtedy też są zobligowani do większego partycypowania w swoim utrzymaniu, na przykład opłacania czynszu. Jeśli jednak na tym etapie powinie im się noga, zawsze mają możliwość powrotu do wspólnego domu i większego zakresu opieki. – Oni naprawdę tego potrzebują. Ostatnio wzruszyła mnie rozmowa z jedną dziewczyną. Mówię jej: „Ewa, ty już jesteś taka ogarnięta. Pewnie niedługo pójdziesz do mieszkania". A ona mi na to: „Nie, proszę pani, jeszcze nie. Ja się jeszcze chcę nacieszyć tym miejscem" – opowiada Sikora.

—

NA 80 OSÓB, które w ciągu ostatniego roku przewinęły się przez fundacyjny Dom dla Młodzieży, tylko 16 nie miało diagnozy psychiatrycznej. Przychodzą młodzi z depresją, zespołem stresu pourazowego, zaburzeniami odżywiania, schizofrenią. – W wielu przypadkach problemy zdrowia psychicznego idą w parze z uzależnieniami od różnych substancji. Bardzo często te nałogi są wtórne wobec nierozpoznanych wcześniej zaburzeń. Postawienie diagnozy i rozpoczęcie leczenia zwiększają szansę na trzeźwość – wyjaśnia prezeska Fundacji po DRUGIE.

– Jestem osobą uzależnioną od narkotyków, alkoholu i leków – zaczyna swoją historię Mateusz, ten, który porównał atmosferę w ośrodku do panującej w domu dziecka. Jest blady, wyraźnie zmęczony. Rozmawiamy tuż po tym, gdy wrócił do Domu dla Młodzieży po trzytygodniowej nieobecności. – Miałem wpadkę, złamałem abstynencję – tłumaczy. – Przez ten czas ostro leciałem z tematem, byłem w ciągu. Staram się nie myśleć o tym, że zawaliłem. Najważniejsze, że chcę żyć inaczej. Mogłem przecież dalej ćpać i byłoby zajebiście. Ale ja nie chcę takiego życia. Szczerze? Mega to posrane, bo chociaż mam czasem myśli „s" i takie depresyjne, to ja naprawdę bardzo chcę żyć. – Kiedy pytam go o marzenia, odpowiada: – Żebym sprawił w końcu coś takiego, że będę liczył się dla samego siebie.

– To nie jest tak, że przykładowy Zbyszek wstał z wtorku na środę i postanowił sobie: „Od dziś będę uzależniony" – mówi Adam Pater, psycholog i terapeuta uzależnień współpracujący z Fundacją po DRUGIE. – Alkohol, narkotyki, inne używki bądź zachowania najczęściej są odpowiedzią na uczucie pustki, cierpienie wynikające z braku relacji z rodzicem lub opiekunem. Nie lubię określeń „zawsze" i „wszyscy", ale z pełną odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że nie zdarzyło mi się tutaj przyjmować osoby, u której nie dostrzegałbym jakiegoś rodzaju traumy wczesnodziecięcej. To, co staramy się dawać w fundacji, to rodzaj takiej korekcyjnej, bezpiecznej więzi, która może pomóc zasypać deficyty z okresu dzieciństwa.

By lepiej wytłumaczyć mi swoją perspektywę, Pater sięga po metaforę plecaka. Rodzic lub inny opiekun powinien od początku napełnić go uczuciem, zainteresowaniem i swoją obecnością. Ale żeby plecak nie przeważał tylko w jedną stronę, należy też do niego dołożyć jasno postawione granice i konsekwencje za ich nierespektowanie. Tak wyposażony młody człowiek ma szansę poradzić sobie w świecie, budować zdrowe relacje z innymi i z samym sobą.

– Pomagamy osobom, które mają motywację i są gotowe do podjęcia działań umożliwiających wyjście z kryzysu bezdomności – mówi Anna Grabarczyk z hostelu Nowy Początek.

—

PRZEPRASZAM, że musiała pani na mnie poczekać – zaczyna rozmowę Anna Grabarczyk z łódzkiego hostelu Nowy Początek. Okazuje się, że gdy ja popijałam herbatę w jej gabinecie, zgłosił się do nich młody chłopak. – W listopadzie skończył 18 lat. Jest adoptowany. Uciekł z domu, bo rodzice nie akceptują tego, że jest osobą homoseksualną. Ojciec stosuje wobec niego przemoc. Miał już dość wyzwisk. Możliwe, że zamieszka teraz u nas – wyjaśnia.

Trudno oszacować, ile osób w Polsce doświadcza kryzysu bezdomności z powodu swojej tożsamości płciowej lub orientacji seksualnej. Najbardziej miarodajny ogląd sytuacji dają wyniki badań przedstawione w raporcie z lat 2019–2020 *Sytuacja społeczna osób LGBTA w Polsce* zebrane przez Kampanię Przeciw Homofobii i Stowarzyszenie Lambda Warszawa. Wśród 22 883 ankietowanych aż 16,5 procent doświadczyło co najmniej jednego epizodu braku bezpiecznego schronienia. Najczęściej bezdomność dotykała osoby transpłciowe (25 procent), najrzadziej – choć i tak drastycznie często – homoseksualnych mężczyzn (10,5 procent).

Kryzys bezdomności osób LGBT+ wynika najczęściej z ucieczek z domu (co najmniej jedną zadeklarowało 17,4 procent uczestników wyżej wspomnianego badania) lub wyrzucenia przez rodzinę (doświadczyło go 9,6 procent badanych). Bywa, że utrata dachu nad głową jest bezpośrednim skutkiem innych problemów, na przykład uzależnień. – Obserwuję, że w wielu przypadkach alkohol i narkotyki są próbą poradzenia sobie ze stresem związanym z przynależnością do mniejszości – zaznacza Pater.

Mieszkanie wspomagane przeznaczone dla osób ze społeczności LGBT+ prowadzi poznańskie Stowarzyszenie Grupa Stonewall, hostel interwencyjny – Stowarzyszenie Lambda Warszawa. Justyna Karpińska, koordynatorka warszawskiego hostelu, zauważa, że wiele osób, które się do niej zgłaszają, obawia się dyskryminacji w schroniskach i noclegowniach dla osób w kryzysie bezdomności. – Szczególnie dotyczy to tych, którzy swoją ekspresją odbiegają od tradycyjnego podziału na to, co męskie i kobiece. Spotykam młodych ludzi, którzy w schronisku doświadczyli przemocy fizycznej lub słownej. Szczególnie trudna jest sytuacja osób trans, które są jeszcze przed formalną zmianą danych osobowych. Muszą przebywać w placówce dla kobiet albo mężczyzn zgodnie z płcią określoną w dowodzie, co jest bardzo krępującym doświadczeniem.

– Rocznie przez hostel przewija się około 30 osób, większość z nich mieści się w przedziale wiekowym 18–25 lat lub jest nieznacznie starsza – mówi Karpińska. Przyznaje, że zgłoszeń do hostelu jest kilkakrotnie więcej niż wolnych miejsc. Pobyt w nim może trwać do trzech miesięcy. Z reguły jest to optymalny czas, by znaleźć pracę, odłożyć pieniądze na kaucję i wynajem, przenieść się na swoje. – Są jednak osoby, zwłaszcza młode, które z powodu nawarstwienia problemów nie są gotowe, żeby się

eprasa.pl dce24a0826

usamodzielnić. Potrzebują większej opieki. W wyjątkowych sytuacjach odrobinę przedłużamy czas pobytu. Odsyłamy też czasem do Fundacji po DRUGIE, ale z tego co wiem, u nich też jest przepełnienie. To problem, wobec którego pozostajemy bezradni.

W 2019 roku fundacja otworzyła jedno mieszkanie interwencyjne dla osób ze społeczności LGBT+. Ostatecznie jednak wycofano się z jego prowadzenia, bo – jak argumentuje Sikora – skoro młodzież ma się przystosowywać do życia społecznego, powinna też nauczyć się szacunku i tolerancji dla różnorodności. Początkowo młodym zdarzało się rzucać homofobiczne komentarze, ale gdy ich zachowanie było ostro ucinane przez wychowawców, a codzienność stwarzała wiele okazji do interakcji, uprzedzenia znikały.

—

ŁÓDZKI HOSTEL Nowy Początek to jedno z nielicznych miejsc w Polsce o charakterze koedukacyjnym, gdzie wspólnie mogą zamieszkać rodziny, osoby w związkach, także pary jednopłciowe. Ma na tyle kameralny charakter (40 miejsc noclegowych), że personelowi udaje się zagwarantować bezpieczeństwo tak zróżnicowanej grupie. Coś, co nie zawsze zapewniają miejsca zbiorowego zakwaterowania typu noclegownie i schroniska dla osób w kryzysie bezdomności. Pobyt z założenia ma być jak najkrótszy, ponieważ przede wszystkim polega na intensywnej aktywizacji społeczno-zawodowej, maksymalnie – w uzasadnionych sytuacjach – może trwać do półtora roku. W tym czasie mieszkanki i mieszkańcy są zobowiązani do realizowania indywidualnego planu aktywizacji społecznej we współpracy z obecnymi na miejscu specjalistami, między innymi doradcą zawodowym i psychologiem. – Można powiedzieć, że umożliwiamy zrobienie ostatniego kroku osobom, które mają motywację i są gotowe do podjęcia działań umożliwiających wyjście z kryzysu bezdomności – tłumaczy Grabarczyk.

Z hostelu mogą korzystać ludzie w różnym wieku, ale wielu jego mieszkańców to młodzi dorośli. Osoby, które stosunkowo krótko doświadczają bezdomności i mają w sobie dużo determinacji, żeby ją zakończyć. – Pamiętam 19-letniego chłopaka. Wprowadził się do nas z mamą w ciężkim stanie psychicznym. Za naszą namową poszła do szpitala, gdzie jej stan się poprawił. Po leczeniu znalazła pracę i wynajęła sobie mieszkanie. Jej syn natomiast mieszkał u nas niecały miesiąc. To był wyjątkowo zdolny i zaradny chłopak. Potrzebował tylko, żeby ktoś zdjął z niego ciężar związany z opieką nad chorą mamą. Dziś natomiast wyprowadza się dziewczyna, która trzy miesiące temu trafiła do nas w opłakanym stanie. Ofiara przemocy, po pieczy zastępczej, z ogromnymi problemami psychicznymi. W ciągu tego czasu wielokrotnie nas zawstydzała, bo gdy my myśleliśmy, że sobie nie poradzi, ona powtarzała: „Dajcie mi szansę, ogarnę się". Teraz ma już stabilną sytuację, pracuje, wynajęła mieszkanie. Oczywiście nie zawsze wygląda to tak różowo. Przychodzą do nas ludzie z ciężkim bagażem doświadczeń – zaznacza Grabarczyk.

Bez bezpiecznego dachu nad głową młodzi z uzależnieniem nie są w stanie pracować nad redukcją szkód związanych ze spożyciem alkoholu i narkotyków. Na ulicy ich problem będzie się tylko pogłębiać.

Agnieszka Sikora przyznaje, że metoda wypracowana w Fundacji po DRUGIE nie sprawdza się w każdym przypadku. Około połowa osób wypada ze wsparcia z powodu złamania regulaminu lub na skutek własnych decyzji. Czasem wracają do fundacji kilkakrotnie, zanim ostatecznie znajdą w sobie siłę i motywację do wyjścia z kryzysu. Prezeska wierzy jednak, że dobre doświadczenie domu, które młodzi otrzymali u nich choćby przez chwilę, odbije się pozytywnie na ich życiu, bez względu na to, jak ostatecznie się ono potoczy.

Natalia Dziąg jako streetworkerka pracuje przede wszystkim z tymi, którym ciężko załapać się na inne formy pomocy, bo wciąż nie spełniają standardów obowiązujących w noclegowniach i schroniskach. Mają problem z utrzymaniem trzeźwości i przestrzeganiem regulaminów. – Tu niezbędne są ogromne pokłady cierpliwości. Nawet jeśli któryś z nich zawali, nie zjawi się na umówioną godzinę, zapije, mówię: „Okej, stało się. Spróbujmy jeszcze raz". Czasem po takiej sytuacji to ja muszę ich szukać po różnych miejscówkach, bo tak bardzo się wstydzą, że mnie wystawili. Wspieram chłopaka, który jest w spektrum autyzmu. Trudno mu funkcjonować w społeczeństwie. Ostatnio tuż przed spotkaniem napisał mi wiadomość, że przeprasza, ale nie da rady dotrzeć. Rozmawialiśmy potem o tej sytuacji i sam zauważył, że zrobił postępy, bo kiedyś by mnie nie uprzedził, a dziś już to zrobił. Znam sporo młodych ludzi, którym wpis o czynnym uzależnieniu w dokumentacji medycznej zamyka drogę do mieszkań wspomaganych. Równocześnie wiem, że bez bezpiecznego dachu nad głową nie są w stanie pracować nad redukcją szkód związanych ze spożyciem alkoholu i narkotyków. Na ulicy ich uzależnienie będzie się tylko pogłębiać.

Dlatego Dziąg jest zwolenniczką rozwiązań opartych na metodzie Housing First (Najpierw Mieszkanie), gdzie zapewnienie dachu nad głową nie jest zwieńczeniem procesu socjalizacji, ale punktem wyjścia, w którym toczy się późniejsza praca z asystentem nad poprawą funkcjonowania w różnych wymiarach. Niezależnie od postępów w tej pracy prawo do pozostania w mieszkaniu pozostaje niezbywalne.

– Bez mieszkania ciężko jakąś fuchę złapać – zauważa Maciek z pustostanu „Zielone". – Poszedłbym pracować na budowę, ale jak to zrobić, kiedy nie mam gdzie się umyć ani odpocząć? Chciałbym już normalnie żyć.

„W Polsce tylko 11 procent osób policzonych jako bezdomne «usamodzielnia się» (dane rządowe 2021). W Najpierw Mieszkanie samodzielność osiąga od 70 do 90 procent osób" – argumentuje na stronie Fundacji Najpierw Mieszkanie Polska Julia Wygnańska, jej prezeska. Tradycyjne programy Najpierw Mieszkanie przeznaczone są przede wszystkim dla osób w długotrwałym kryzysie bezdomności. W tych dla młodych, które działają obecnie w Kanadzie, Irlandii, Szkocji, we Francji i w Holandii, kładzie się nacisk na prewencję, wyróżnia je skupienie na budowaniu bliskich relacji, edukacji i wsparciu w zdobywaniu kwalifikacji zawodowych oraz kształtowaniu umiejętności prowadzenia gospodarstwa

eprasa.pl dce24a0826

domowego. Program „Housing First for Youth” od 2017 roku jest prowadzony w szkockim okręgu West Lothian. Aż 92 procent jego uczestników utrzymało swoje miejsca zamieszkania. W Polsce projekty oparte na metodzie Najpierw Mieszkanie dopiero raczkują. Na niewielką skalę są prowadzone w Warszawie, Gdańsku, Krakowie, we Wrocławiu, od niedawna także w Łodzi. Wśród nich nie ma żadnego, który byłby skierowany wyłącznie do młodych.

– W założeniach Housing First główną rolę odgrywa przekonanie, że w centrum znajduje się człowiek, a praca nad wyjściem z bezdomności powinna przebiegać indywidualnie, z uwzględnieniem jego potrzeb i celów. Dzięki temu ta metoda sprawdzi się w pracy z każdą grupą wiekową, także z młodymi. Nawet wtedy, gdy nie jest realizowana pod szyldem „Housing First for Youth” – wyjaśnia Wygnańska.

—

AGNIESZKA SIKORA zauważa, że problem bezdomności młodzieży powoli przebija się do świadomości decydentów, choć wiele w tej materii zostało jeszcze do zmiany. W tegorocznej edycji rządowego programu „Pokonać bezdomność”, w którym przyznawane są środki na dodatkowe – wykraczające poza standardową działalność gmin – inicjatywy wspierające osoby w kryzysie, zwrócono uwagę na młodzież i młodych dorosłych. Wśród zarekomendowanych do dofinansowania podmiotów znalazły się trzy, wybrane ze względu na działania kierowane do tej grupy wiekowej. Według informacji, które uzyskałam z ministerstwa, są to: warszawska Fundacja po DRUGIE, Stowarzyszenie Centrum Wolontariatu w Lublinie z programem wsparcia mieszkaniowego połączonego z aktywizacją zawodową oraz prowadzące przytulisko dla mężczyzn w kryzysie bezdomności Zgromadzenie Braci Albertynów w Krakowie.

Sikora marzy o tym, by domy młodzieży, jak ten prowadzony przez fundację, pojawiały się w całej Polsce. – Doświadczenie pokazuje nam, że to się sprawdza. A skoro tak, to po co wyważać otwarte drzwi?

Moi rozmówcy twierdzą, że obok działań interwencyjnych równie ważne są te, które pozwalałyby kryzysów unikać. – Brakuje profilaktyki: interdyscyplinarnego wsparcia dla osób w kryzysie emocjonalnym, systemowego wsparcia rodzin, szybkiego reagowania na przemoc – wylicza Anna Grabarczyk. – W Polsce skupiamy się przede wszystkim na gaszeniu pożarów. Czasem, patrząc na naszych podopiecznych w hostelu, myślę, jak wiele moglibyśmy zmienić w życiu tych osób, gdybyśmy mieli wehikuł czasu.

—

KAMIL, WYRZUCONY zimą z domu przez ojczyma, marzy o własnym kącie. Właśnie odebrał pierwszą wypłatę. Pracuje w ochronie, cały czas na nogach, nie może usiąść nawet na chwilę. W pewnym momencie porobiły mu się na stopach odciski, zaczęły ropieć. Na szczęście dogadał się z kierownikiem, który tak mu poukładał grafik, że zdążyły się zagoić. Planuje wrócić do szkoły. Jeśli będzie miał status ucznia, zarobki będą wyższe. Opowiada mi o różnych strategiach, które pomagają mu radzić sobie na co dzień. Pieniądze, które ma, dzieli na trzy części: 40 procent wydaje na najważniejsze potrzeby, 30 idzie na przyjemności, na przykład kupuje za nie czekoladę, a kolejne 30 trzyma na czarną godzinę. Wie, że musi codziennie zjeść coś ciepłego, bo inaczej „spada morale”. Jeśli nie zdąży do jadłodajni, to przez aplikację Too Good To Go kupuje sobie kebab za pół ceny albo gotuje we wspólnej kuchni w noclegowni.

– Kiedy rozmawiam z mamą przez telefon, mówi mi, że jest ze mnie dumna. Że dobrze sobie radzę. Ale szczerze? Ja po prostu nie mam miejsca, w którym mógłbym sobie spokojnie popłakać – zwierza się Kamil.

—

W marcowym numerze „Pisma” przeczytasz reportaż o wolontariuszach warszawskiego schroniska dla bezdomnych zwierząt Na Paluchu.

Więcej na ten temat posłuchasz w audycji *Plac na Rozdrożu* w aplikacji **Radia 357**.

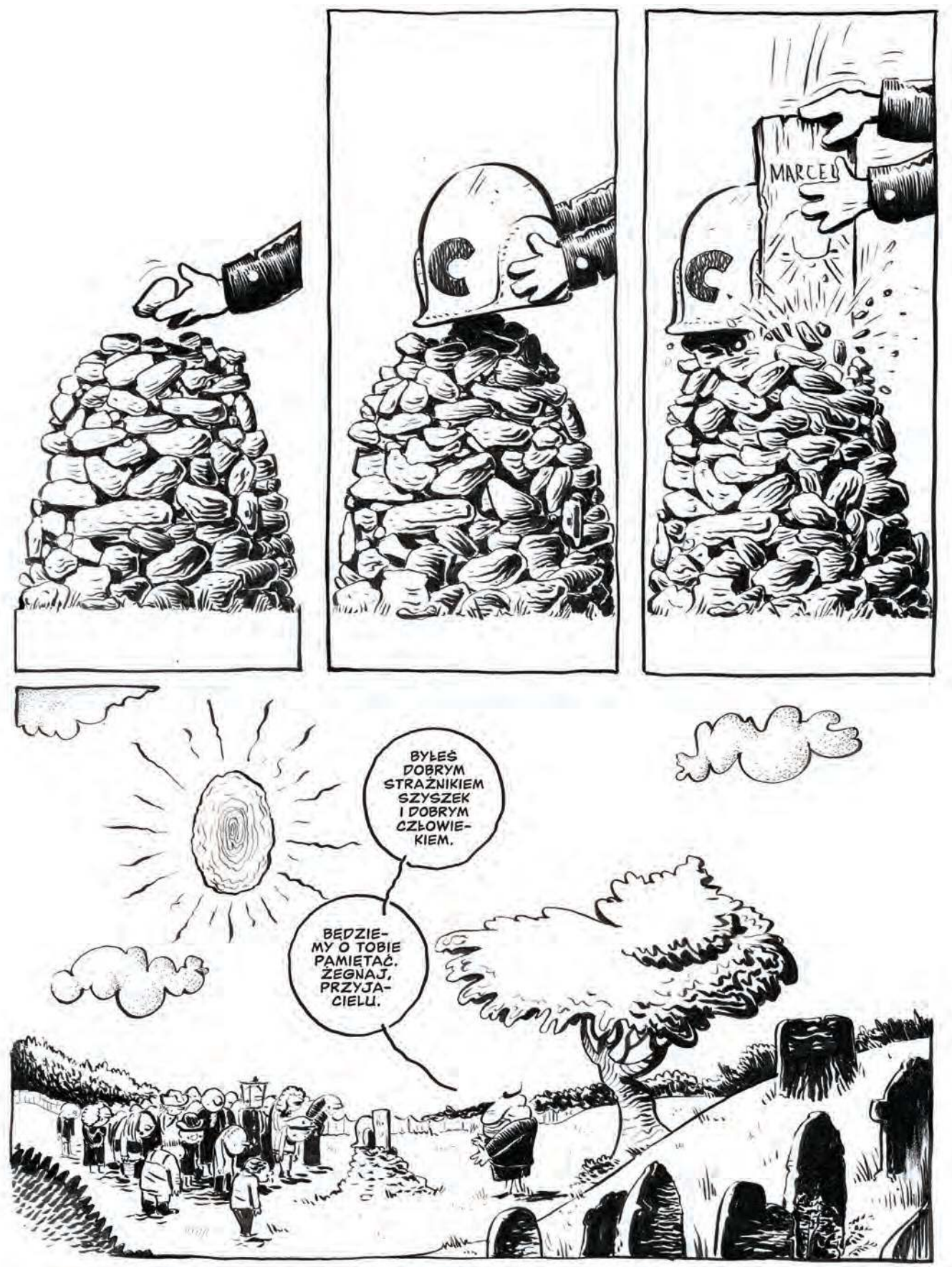
POZNAŃSKIE TARGI KSIĄŻKI
13-15 MARCA 2026
Lokalizacja:
Międzynarodowe Targi Poznańskie

KUP BILET:
TOBILET.PL
mtp GRUPA app
TargiKsiazki.pl

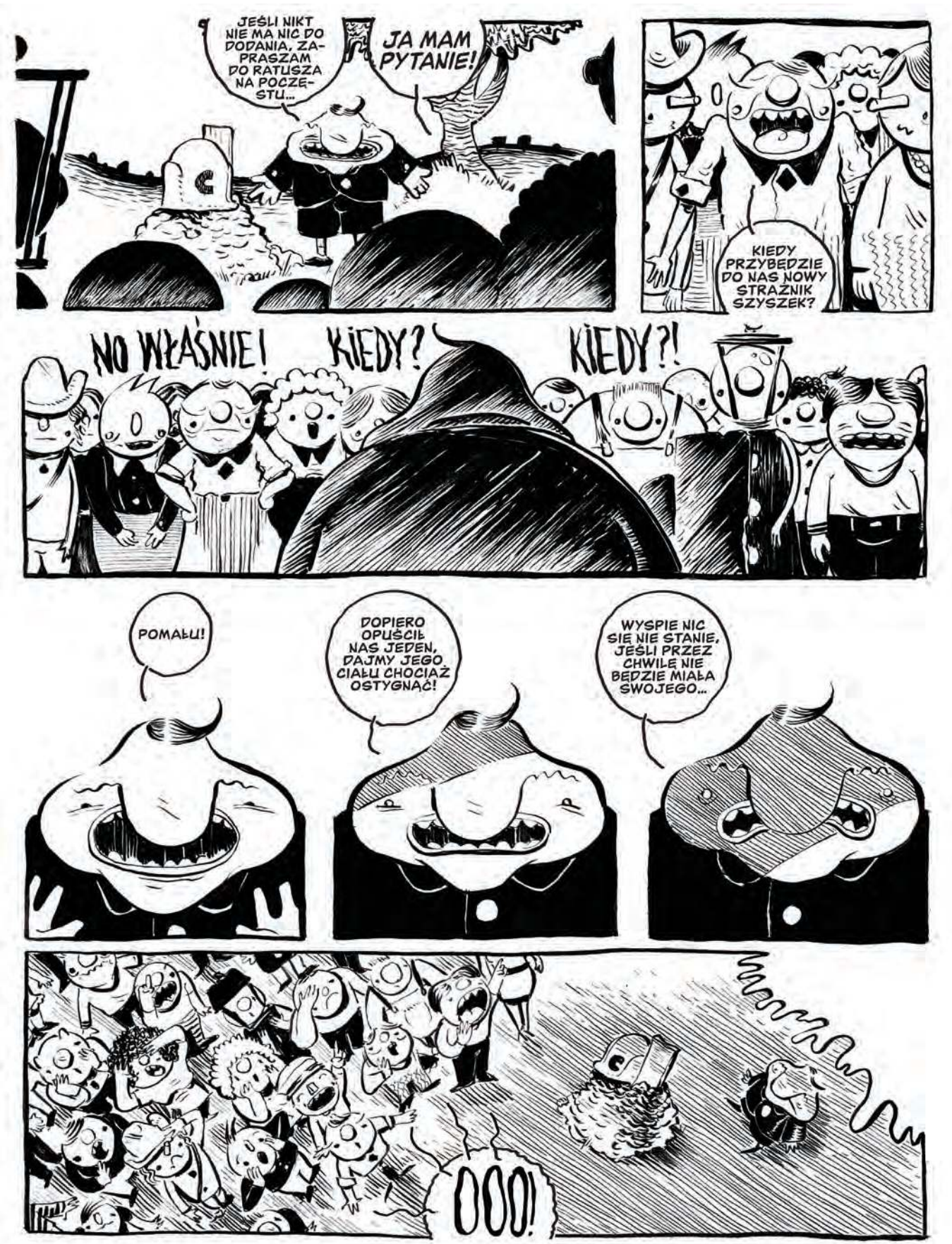
eprasa.pl dce24a0826

Strażnik Szyszek: opowieści z archipelagu

tekst PIOTR SZULC, *rysunki* JAKUB BABCZYŃSKI



eprasa.pl dce24a0826



eprasa.pl dce24a0826

PIOTR SZULC (ur. 1983), scenarzysta, nauczyciel scenariopisarstwa. Laureat Grand Prix na krótką formę komiksową 28. MFKiG w Łodzi za komiks *Król* (2017). Autor scenariuszy albumów komiksowych *Wilki, śpijcie dobrze* (2024) oraz *Drugie życia* (2025).

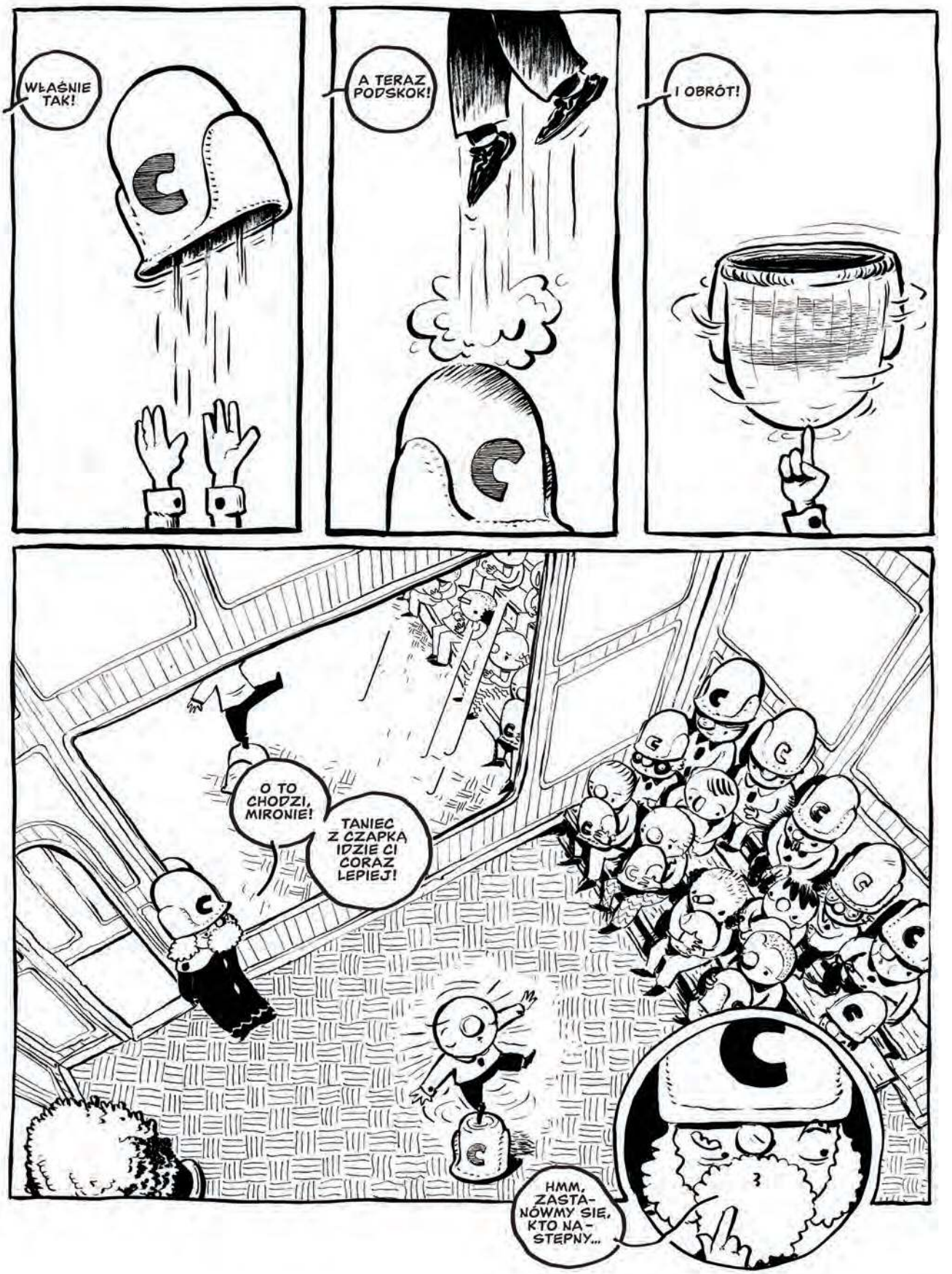


eprasa.pl dce24a0826

JAKUB BABCZYŃSKI (ur. 1980), ilustrator, rysownik. Autor serii *Wyspa Szyszek* nagrodzonej dwukrotnie na Festiwalu Komiksu Złote Kurczaki w 2022 roku. Twórca ilustracji do komiksów: *Olimpia z Gdańska*, *Miasto z widokiem*, *Ballada o Eulalii*. Współorganizator „Komiksu w Mieście, Miasta w Komiksie" oraz wykładowca m.in. na PJATK w Gdańsku.

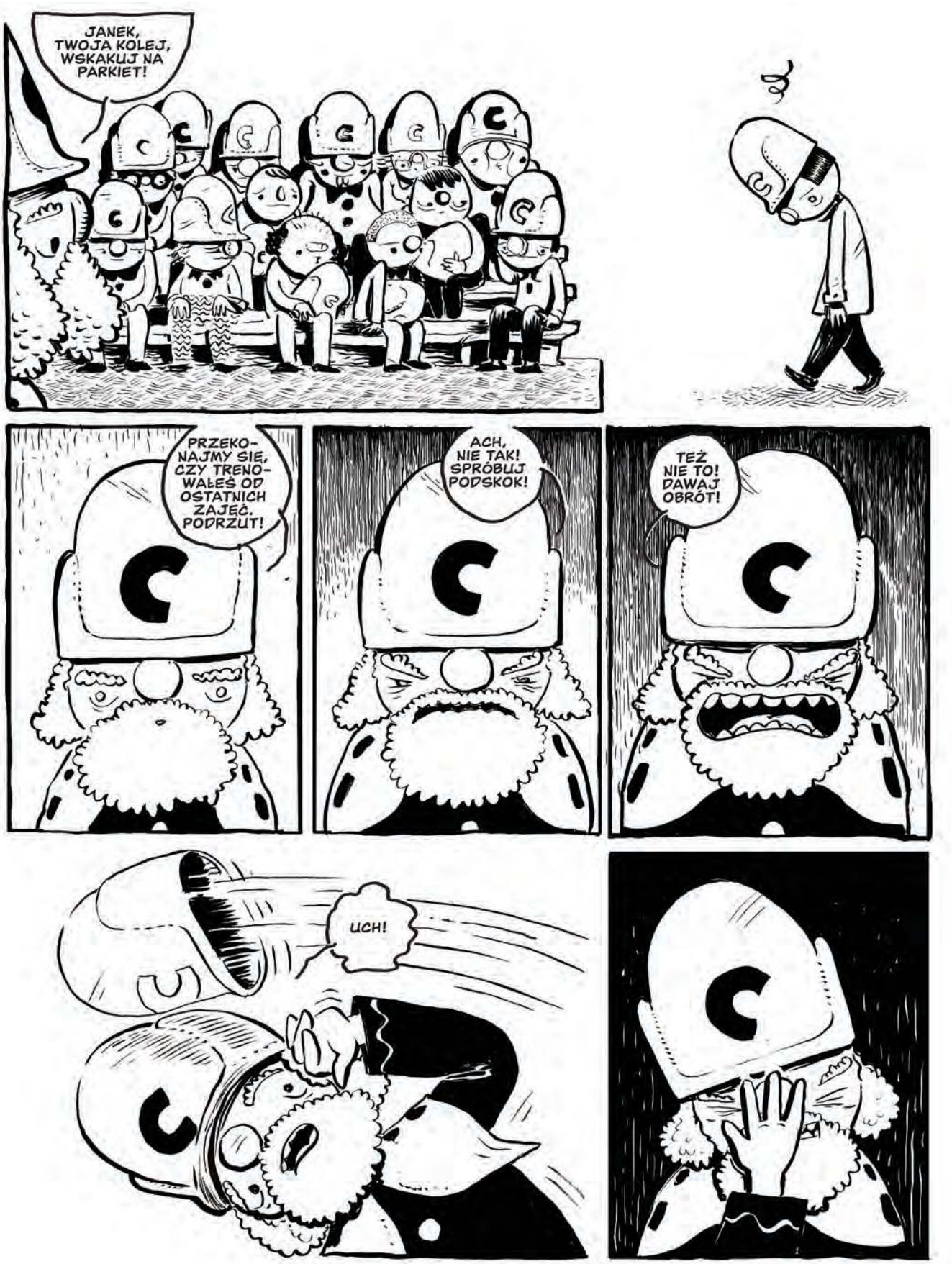


eprasa.pl dce24a0826



eprasa.pl dce24a0826

Fragment pochodzi z komiksu *Strażnik Szyszek: opowieści z archipelagu*, który ukaże się w marcu nakładem Kultury Gniewu.



eprasa.pl dce24a0826



STUDIUM

Obietnice bez pokrycia

tekst MARCIN OSUCH

rysunek PIOTR DEPTA-KLEŚTA

eprasa.pl dce24a0826

TO NIEPRAWDA, że wszyscy jesteśmy zarobaczeni, a biorezonans prawdę ci powie. Jak szarlatani od pseudodiagnostyki na nas żerują?

Siedzę w gabinecie naturopatki, czekając na wyniki. Zanim tu przyszedłem, poczyniłem w internecie odpowiednie przygotowania, domyślam się więc, jaką diagnozę mogę usłyszeć. Na razie spokojnie rozglądam się po pokoju. Ścianę nad biurkiem przyozdabiają dyplomy z różnych szkoleń i konferencji. Przede mną stoi mikroskop podłączony do ekranu, w powietrzu czuć zapach tlącego się kadzidełka. Przed przybyciem do gabinetu miałem wypełnić ankietę o stanie zdrowia. Oprócz dość oczywistych pytań, jak te o historię chorób w rodzinie, pojawiły się także takie: „Czy czuje Pan żal do rodziców?", „Czy regularnie się Pan odrobacza?", „Czy czuje się Pan szczęśliwy?".

Spodziewam się tego, co usłyszę: pasożyty, zakwaszenie organizmu, nieszczelność jelit, być może zatrucie metalami ciężkimi. Te cztery wskazania są często wymieniane przez praktyków medycyny alternatywnej i mają one odpowiadać za większość problemów, z jakimi mierzą się ich pacjenci. W tym miejscu wypadałoby wprowadzić kilka słownikowych pojęć. Medycyna to nauka o zdrowiu i chorobach człowieka oraz o metodach leczenia i zapobiegania chorobom, dla rozróżnienia w tym artykule nazywana również konwencjonalną. Praktycy medycyny konwencjonalnej powinni opierać się na doświadczeniach, badaniach klinicznych oraz dowodach naukowych, czyli na tak zwanej medycynie opartej na faktach (ang. *evidence-based medicine*).

Na drugim biegunie znajduje się medycyna niekonwencjonalna bądź alternatywna (w skrócie alt-med). Co to za twór? Encyklopedia PWN wyjaśnia, że jest to „rozpoznawanie i «leczenie» chorób metodami opartymi na podstawach, które nie zostały lub też nie mogą zostać poddane dokładnej weryfikacji naukowej, lub co do których badania naukowe nie wykazały skuteczności". Przykładami takich działań są bioenergoterapia, irydologia, ale też wlewy witaminowe czy stawianie baniek. Do medycyny niekonwencjonalnej zalicza się (a czasem wyodrębnia jako oddzielną dyscyplinę) medycynę naturalną, która z założenia bazuje na ludowych metodach uzdrawiania, korzysta z tradycji różnych kultur, wykorzystuje między innymi ziołolecznictwo, masaże i akupresurę. Praktykami tej gałęzi są często naturopaci, którzy w swojej pracy sięgają także po takie metody, jak biorezonans, homeopatia [pisał o niej Łukasz Lamża, „Pismo" nr 9/2018 – przyp. red.] czy hipnoterapia.

Do gabinetu medycyny naturalnej postanowiłem się wybrać, nie ujawniając, że piszę artykuł na ten temat. Dzięki tej wizycie miałem otrzymać „holistyczne określenie stanu zdrowia". Zostałem zbadany za pomocą trzech metod „diagnostycznych". Dlaczego w cudzysłowie? Gdyż zgodnie z polskim prawem diagnostyka laboratoryjna może być przeprowadzana wyłącznie przez diagnostę laboratoryjnego, lekarza spełniającego odpowiednie wymogi, lub przez osoby pod jego nadzorem za pomocą przeznaczonej do tego aparatury oraz w laboratorium. Wykonano mi mikroskopowe badanie żywej kropli krwi, biorezonans oraz analizę kwantową. Wybrałem ten pakiet ze względu na pierwszą metodę, bo analiza kropli krwi przeprowadzana jest na miejscu pod mikroskopem, co pozwala pacjentowi obserwować na żywo wszelkie nieprawidłowości, a ponieważ jestem biotechnologiem pracującym z mikroskopią, byłem bardzo ciekaw tego, co zobaczę.

Próżno szukać tego typu badań w przychodni lekarskiej czy szpitalu. Dlaczego? Stanowisko Rady Ekspertów Naczelnej Izby Lekarskiej z sierpnia 2023 roku dotyczące biorezonansu jest w tej kwestii jednoznaczne: „to pseudonaukowa i niekonwencjonalna metoda diagnostyczna, niezgodna z zasadami medycyny opartej na faktach i dowodach naukowych (*evidence-based medicine*). Żadne z rzetelnie przeprowadzonych badań naukowych nie potwierdziło dotychczas skuteczności biorezonansu w jakimkolwiek zakresie, a szczególnie leczniczym".

Podobne stanowisko wobec badania żywej kropli krwi zajęło Ministerstwo Zdrowia, wydając w 2018 roku oficjalne oświadczenie w odpowiedzi na interwencję Krajowej Rady Diagnostów Laboratoryjnych: „nie jest metodą potwierdzoną naukowo i nie jest zaliczane do żadnej ze znanych dziedzin medycyny". Dlaczego zatem w ogóle ludzie decydują się na pseudodiagnostykę? Czy takie usługi w ogóle są legalne? Dlaczego sam poddałem się takim badaniom? Zaprowadziła mnie tam naukowa ciekawość i narastające od lat wątpliwości.

—

NA CO DZIEŃ pracuję w Instytucie Chemii Bioorganicznej Polskiej Akademii Nauk, zajmuję się też popularyzacją nauki, dlatego kiedy jeden z moich dobrych kolegów podzielił się ze mną swoimi wynikami badań „diagnostycznych", poczułem, że muszę się temu przyjrzeć. Trudno mi było uwierzyć, że zaledwie jedno badanie może aż tak kompleksowo określić stan zdrowia – i to za pomocą ponad setki parametrów obejmujących między innymi całą morfologię krwi, pasożyty, lipidogram, hormony czy nawet zawartość pierwiastków w organizmie.

Moje wątpliwości tylko narastały, gdy usłyszałem, że badanie polega na trzymaniu metalowego pręta, przez który przepływa „jakaś forma energii", i że na podstawie odczytanych częstotliwości fal da się określić w minutę

eprasa.pl dce24a0826

MARCIN OSUCH (ur. 1993), biotechnolog, popularyzator nauki. Lubi zarówno oglądać niewidoczny świat pod mikroskopem, jak i bezkres kosmosu. W wolnych chwilach chodzi po górach, testuje przepisy kulinarne i czyta książki fantasy.

to, na co diagnostyka konwencjonalna potrzebuje dni. Tym badaniem była analiza kwantowa.

W jednym z filmów ze świata Marvela główny bohater Ant-Man pyta dwoje fizyków, czy dorzucają słowo „kwantowy" do każdego rzeczownika. I rzeczywiście, w ostatnich latach można dostrzec trend, w którym to słowo zyskało większy zasięg, choć często jest używane nieadekwatnie. Znajdziemy więc „skok kwantowy" w odniesieniu do manifestowania marzeń, „kwantowe pola komórkowe" w oczyszczaniu ciała z traumatycznych doświadczeń czy „kwantowy biznes", czyli program, który rzekomo wykorzystuje fizykę kwantową do usprawnienia prowadzonych interesów.

Zgodnie z opisem dostępnym na stronie gabinetu, do którego się udałem, urządzenie „opiera się na zasadach fizyki kwantowej i rezonansu magnetycznego", dzięki czemu można wykonać „szczegółową analizę energii komórkowej, narządów i układów wewnętrznych, pozwalającą na wykrycie subtelnych zaburzeń energetycznych". Metoda jest naprawdę wyższą szkołą jazdy. Do mojej ręki trafiła metalowa rurka – z migającą diodą na jednym końcu – połączona za pomocą kabla z komputerem. Miałem wrażenie lekkiego mrowienia w dłoni, jakby przez rurkę przepływało bardzo niskie napięcie elektryczne.

Po zaledwie 60 sekundach na komputerze wygenerowało się 100 stron raportu zawierającego około 200 parametrów dotyczących mojego stanu zdrowia. Wyglądało to na holistyczny skan ciała, ponieważ rzekomo zbadane zostało niemal wszystko: morfologia krwi, funkcjonowanie przewodu pokarmowego, mikro- i makroelementy, zawartość metali ciężkich, skład ciała, stan narządów, pasożyty, alergie, flora bakteryjna, lipidogram czy nawet – sprawdzane w przypadku mężczyzn – jakość nasienia i liczba plemników. Przy każdym parametrze widniały określone zakresy i otrzymane wartości, a nawet krótki opis. Niesamowite narzędzie, prawda? I te wyjaśnienia akurat się przydały, bo oprócz uzyskania informacji na temat znanych wskaźników, takich jak poziomy cholesterolu, witamin, minerałów czy insuliny, mogłem też dowiedzieć się czegoś o mniej zrozumiałych parametrach, jakimi są: „siły umysłowe", „cienie pod oczami", „meridiany" (to pojęcie z tradycyjnej medycyny chińskiej oznaczające kanały energetyczne, w których płynie energia życiowa) czy „indeks śledziony".

Okazało się, że owe kategorie niewiele mówiły nie tylko mi, ale także naturopatce. W późniejszej rozmowie, gdy wróciłem do niej już jako dziennikarz, przyznała, że nie każdy parametr jest jej znany. – Interpretacja nazw parametrów, sposób ich zestawienia i logika raportu wynikają w całości z oprogramowania stworzonego przez producenta urządzenia – wyjaśniała. – W związku z tym wszystkie pytania dotyczące znaczenia parametrów, ich konstrukcji oraz zastosowania należy kierować bezpośrednio do producenta sprzętu.

Dowiedziałem się, że moja skóra cechuje się dużą wilgotnością, zdecydowanie za niskim kolagenem, ale za to zbyt wysoką melaniną.

Dokument, który otrzymałem, na pierwszy rzut oka wyglądał dobrze. Można było odnieść wrażenie, że jest to rzeczowy opis, który tłumaczy wszystko, co dzieje się w organizmie. Łatwo dało się z niego wyczytać, którą wartość mam obniżoną, a którą podwyższoną, i w jaki sposób wpływa to na mój stan zdrowia. Dowiedziałem się na przykład, że mam problemy z układem pokarmowym – niski „współczynnik perystaltyki", mniejszą „wchłanialność w okrężnicy", a także kłopot z jakością flory bakteryjnej. Aby otrzymać podobną diagnozę w ramach naukowych metod, musiałbym wykonać testy oddechowe, badanie kału, badanie krwi, rozmaz, zapewne USG lub badania endoskopowe, gastroskopię, posiewy bakteryjne. Jak widać, wymagałoby to zaangażowania o wiele większej ilości czasu oraz pieniędzy.

Największy problem, z jakim się mierzę, czytając ten raport, polega na pomieszaniu pojęć – tych zaczerpniętych z nauki z całkowicie niezrozumiałymi parametrami. Poza tym trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób – technicznie – miałyby zostać zmierzone te wszystkie wskaźniki. Na przykład „indeks chwiejności wegetatywnej", który ma określać „sentyment, czyli doświadczenie człowieka i jego stanowiska względem rzeczy obiektywnych i refleksje na temat spełnienia potrzeb ludzi w danym kierunku". W raporcie pojawił się też niezrozumiały zbiór słów, który zapewne jest niskiej jakości tłumaczeniem automatycznym z języka angielskiego: „główne objawy wywołane nadmiernym zbiorniku ludzi do fluorozy stomatologicznego po żółty, czarny, nogi były X lub O, Gongyao kark lub ramię można rozciągnąć tak zatruty tylko wyginać światło powodować dentystycznych fluorozy fluorozy szkieletu, ciężkie, a nawet całkowitej utraty pracy i codziennego życia".

Ale czy w moim raporcie pojawiły się informacje, którymi powinienem się zmartwić? W sumie wyszło mi kilkanaście wskaźników, które były podwyższone lub obniżone – jednak nie zostały zakreślone na czerwono, a więc zgodnie z zawartą w dokumencie legendą oznacza to „średnie, ale nie poważne odstępstwo od normy". Powinienem zwrócić uwagę między innymi na obniżoną „wydajność lewej komory serca" i „współczynnik absorpcji jelita cienkiego", stłuszczoną wątrobę, pasożyty, infekcję górnych dróg oddechowych, podwyższony „stopień rozkładu kości" i zmiany reumatyczne, niedobory potasu i miedzi, przekroczone górne normy witaminy B3, ołowiu oraz promieniowania elektromagnetycznego. Dowiedziałem się, że moja skóra cechuje się dużą wilgotnością, zdecydowanie za niskim kolagenem, ale za to zbyt wysoką melaniną. Trochę rzeczy do poprawy, ale nie jest tak źle. Jak podsumowała naturopatka, do jej gabinetu przychodzą ludzie w znacznie gorszym stanie.

eprasa.pl dce24a0826

Wielu z tych parametrów przez ich niejednoznaczność nie da się porównać ze specjalistycznymi badaniami. Kilka jednak można zestawić bezpośrednio. Weźmy żelazo i potas. Analiza kwantowa wykazała ich obniżony poziom, z czego potas wynosił zaledwie 0,299 przy normie w zakresie 0,689–0,987. Z badań laboratoryjnych, które wykonałem kilka dni później, wynika sytuacja odwrotna – oba pierwiastki mam raczej w górnych granicach normy. Podobnie mają się kwestie cholesterolu HDL, który w analizie wyszedł mi zbyt wysoki, podczas gdy w morfologii był w normie, bliżej dolnych wartości. Ale! Był jeden parametr, który – ku mojemu zaskoczeniu – pośrednio się pokrywał. Morfologia krwi wykazała, że mam podwyższony poziom białych krwinek związany z potencjalną infekcją, a w aparacie wyszła mi infekcja górnych dróg oddechowych!

Czy mimo wszystko jest możliwe, że analizator kwantowy działa? Mój wewnętrzny sceptyk podpowiada, że gdyby owo urządzenie – kosztujące w internecie od 300 złotych wzwyż – rzeczywiście potrafiło tak wszechstronnie określić stan naszego ciała, i to w zaledwie minutę, to powinno się znajdować w każdym gabinecie lekarskim. Spytałem więc Dariusza Aksamita, fizyka medycznego z Politechniki Warszawskiej, czy można zaprząc fizykę kwantową do badania człowieka.

– Doceniam spryt pracowników z tej firmy, którzy zapewne mają świadomość, że to pseudobadanie jest bez sensu, dlatego, chcąc ustrzec się przed ewentualnymi pozwami, stosują taki zapis: „Ocena [...] służy jedynie profilaktyce zdrowotnej, natomiast nie służy do diagnostyki medycznej". Jeśli kogoś zaskakuje, że dioda trzymana w ręku przez 60 sekund nie może wykonać opisanych badań, pomimo wielokrotnego przywoływania magii słowa „kwantowy", to mam następującą radę: kiedy czytacie o czymś kwantowym, ale autorem słów nie jest fizyk kwantowy, to natychmiast przestańcie czytać. Oszczędzicie sobie nerwów i nie zmarnujecie czasu. Niestety, to słowo wytrych zawdzięcza karierę owianej legendą trudności mechaniki kwantowej – wszyscy słyszeli, że coś takiego istnieje oraz że jest strasznie trudne, czyli mądre! Dlatego niektórzy obok słowa „kwantowy" wklejają dowolny bełkot, ponieważ owo bezsensowne wyrażenie, zamiast wzbudzić śmiech, podsuwa ludziom taką myśl: „O, nic nie rozumiem, pewnie dlatego, że to takie zaawansowane (kwantowe!)".

Kiedy zapytałem o to naturopatkę, która przeprowadza analizę kwantową, wytłumaczyła, że działanie urządzenia opiera się na odczytywaniu częstotliwości fal elektromagnetycznych. Powiedziała, że każda witamina, każdy minerał czy nawet konkretny rodzaj patogenu ma własny zakres częstotliwości i to za pomocą odczytu tej fali i odchyleń od normy można określić ponad 200 parametrów. Według producentów trafność wyników tego typu urządzeń wynosi od 85 do 95 procent. Na moją wątpliwość i pytanie, w jaki sposób taka trzymana w ręku rurka – i wysyłana przez nią energia – jest w stanie przeskanować całe moje ciało na wskroś, odpowiedzi już nie otrzymałem. Zostałem tylko ponownie skierowany do producenta.

Skąd niezgodności pomiędzy wynikami z analizatora a tymi z badań laboratoryjnych? W późniejszej dyskusji z naturopatką został poruszony temat żelaza. – W morfologii jego poziom jest badany tylko we krwi, podczas gdy analizator kwantowy mierzy poziom żelaza całego organizmu, a więc także tego związanego w tkankach czy komórkach ciała, co stanowić ma nawet 90 procent całkowitego żelaza w organizmie – tłumaczyła naturopatka.

Sprawdziłem, że dorosły człowiek ma około 3–4 gramów żelaza w ciele, z czego blisko 70 procent związane jest z hemoglobiną we krwi czy mioglobiną w mięśniach, a około 25 procent – z ferrytyną, białkiem, które służy jako magazyn żelaza i możemy je znaleźć zarówno w komórkach naszego ciała, jak i krążące we krwi. Obliczenie tego w diagnostyce wymagałoby więc dodatkowego oznaczenia białka, jednak – jak wynika z liczb – ferrytyna stanowi zaledwie jedną czwartą magazynowanego żelaza, a nie 90 procent, więc wynik ten nie mógłby być aż tak rozbieżny.

—

WIZYTĘ W GABINECIE zacząłem jednak od badania, które – jak już wspomniałem – stanowiło dla mnie największą ciekawostkę. Jak zatem wygląda mikroskopowa analiza żywej kropli krwi? Ową kroplę pobiera się z opuszki palca (a nie z żyły, jak przy morfologii), od razu umieszcza się na szkiełku i ogląda pod mikroskopem, dzięki czemu jeszcze przez kilkadziesiąt minut jest „żywa". W morfologii jest inaczej – do krwi dodaje się antykoagulant, którego zadanie polega na zahamowaniu procesu krzepnięcia krwi znajdującej się w probówce. Na stronach gabinetów oferujących usługę badania „żywej" krwi możemy przeczytać, że dzięki tej metodzie uzyskamy informacje o ogólnym stanie organizmu, „stopniu szczelności jelit", poziomach zakwaszenia, nawodnienia i natlenienia ciała. Badanie ma ponadto wykrywać obecność pasożytów, stan zapalny, zaburzenia hormonalne i nietolerancje pokarmowe. Z opisu wynika, że jest to bardzo pomocne narzędzie, pozwalające kompleksowo określić stan naszego zdrowia.

Owszem, z krwi można się wiele dowiedzieć na temat stanu organizmu, ale wyłącznie wtedy, gdy wykona się badanie w laboratorium diagnostycznym. To od badania krwi przeprowadzanego według norm pomiarowych – ustalonych dla poszczególnych parametrów – rozpoczynamy praktycznie każdą analizę stanu naszego zdrowia. I właśnie na podstawie odchyleń od normy możemy



eprasa.pl dce24a0826

wskazywać, że w organizmie dzieje się coś niepokojącego. Pewnie wiele osób wie, że podwyższony poziom białych krwinek może oznaczać infekcję, albo że wynik hematokrytu pozwala określić stan nawodnienia organizmu. Ale specjaliści zwracają jeszcze uwagę na wiele innych parametrów. Na przykład na poziom neutrofili – wyższy może oznaczać infekcje bakteryjne lub grzybicze. Z kolei wzrost liczby limfocytów wiąże się najczęściej z obecnością infekcji wirusowej.

Podstawową funkcją krwi jest między innymi transport składników odżywczych i hormonów oraz zachowanie homeostazy całego organizmu. To z zaburzenia równowagi wyczytujemy nieprawidłowości, które mogą być symptomami jakichś chorób, a dzięki tej wiedzy dobieramy kolejne badania. Analiza pozwala zmierzyć setki parametrów biochemicznych i genetycznych; oprócz wspomnianych komórek krwi możemy określić także lipidogram, poziomy elektrolitów, glukozy, mocznika, białek, hormonów oraz przeprowadzić testy genetyczne związane na przykład z podatnością na niektóre jednostki chorobowe.

Należy jednak podkreślić, że choć w przypadku podejrzewania różnego rodzaju nieprawidłowości zawsze używa się jako materiału badawczego krwi, to za każdym razem wymaga ona uprzedniego przygotowania dostosowanego do badanych parametrów, użycia skomplikowanych procedur, wykorzystania specjalnych znaczników biochemicznych oraz odpowiedniej aparatury. Nawet klasyczne badanie morfologii krwi pełnej, które większość z nas regularnie przechodzi, wymaga zastosowania kilku zupełnie różnych metod. Na przykład badanie liczby czerwonych krwinek najczęściej przeprowadza się z wykorzystaniem zjawiska impedancji, a więc zmiany oporu elektrycznego, z kolei stężenie hemoglobiny sprawdza się metodą spektrofotometryczną polegającą na pomiarze ilości konkretnego pasma światła pochłoniętego przez hemoglobinę.

Jak to więc możliwe, że wystarczy najprostszy mikroskop i kropla krwi, żeby zmierzyć coś, co w laboratorium diagnostycznym wymaga sprzętów za dziesiątki tysięcy złotych, odpowiedniej preparatyki i – w przypadku morfologii – kilku godzin?

Szybkie ukłucie, przeniesienie kropli na szkiełko i już mogę oglądać swoją krew na ekranie podłączonym do mikroskopu. Bez zaskoczenia: widać praktycznie same czerwone krwinki, jakieś pojedyncze leukocyty oraz obiekty, które dla naturopatii stanowią sedno całego badania. Dla specjalistów diagnostyki medycznej takich jak doktorka Katarzyna Ziółkowska z Centralnego Laboratorium Ginekologiczno-Położniczego Szpitala Klinicznego w Poznaniu te obiekty to w większości przypadków tak zwane artefakty, a więc zanieczyszczenia związane z przygotowaniem próbki do badania. U mnie jeden z nich – kilkanaście razy większy od czerwonych krwinek, prostokątny i półprzezroczysty – został określony przez naturopatkę jako „niestrawiony fragment białka", który dostał się z przewodu pokarmowego do krwiobiegu ze względu na… „nieszczelność jelit"!



Zdaniem specjalistów medycyny alternatywnej z analizy żywej kropli krwi można wyczytać na przykład zakwaszenie organizmu, czyli zaburzenie równowagi kwasowo-zasadowej naszego ciała. Szybkie przypomnienie: wartość poniżej 7 oznacza pH kwasowe, 7 – neutralne, a powyżej 7 – zasadowe. W ludzkim organizmie wartość ta zmienia się w zależności od badanego miejsca – w żołądku ze względu na obecność kwasu jest bardzo niska i norma u zdrowej osoby oscyluje w granicach 1,3–3,5, podczas gdy skóra ma 4–6,5. W przypadku krwi pH wynosi 7,35–7,45. Wspomniany zakres w zdrowym ciele jest właściwie niezmienny, co znaczy, że płuca, wątroba i nerki przeprowadzają wiele procesów, które kompensują wszystkie nasze próby zmiany tych wartości zarówno w postaci zakwaszania, jak i odkwaszania.

Oczywiście możemy mieć do czynienia z kwasicą lub zasadowicą organizmu, są to jednak stany patologiczne, które pojawiają się w następstwie chorób płuc, mięśni oddechowych, uszkodzonych nerek lub przyjęcia substancji drastycznie wpływających na pH naszej krwi. Nie mówimy więc o sytuacji pewnego dyskomfortu i gorszego samopoczucia, ale o poważnych stanach, które mogą zagrażać życiu i wymagają interwencji lekarskiej. Tymczasem naturopaci po „zdiagnozowaniu" zakwaszenia organizmu zazwyczaj zalecają wprowadzenie diety alkalicznej lub odpowiednią suplementację. Włączenie do codziennego jadłospisu takich produktów, jak kapusta, seler, jarmuż czy oliwa ma podnieść nasze pH i doprowadzić do odkwaszenia organizmu. Badania naukowe nie potwierdziły jednak takiego działania, nie mamy więc dowodów na to, że stosowanie diety alkalicznej zmienia pH krwi.

Pomijając fakt, że nie ma takiego schorzenia jak zakwaszenie organizmu, nie da się sprawdzić poziomu pH za pomocą mikroskopu podczas badania żywej kropli krwi. Istnieją dwie sprawdzone metody mierzenia tego współczynnika. Pierwszą jest wykorzystanie roztworów wskaźnikowych lub papierków lakmusowych, które zmieniają barwę w zależności od poziomu pH. Drugą, bardziej wyszukaną i precyzyjną metodą są pH-metry, czyli urządzenia wyposażone w elektrody, których zadanie polega na mierzeniu różnicy napięć wynikających z obecności jonów wodorowych. Zasada jest dość prosta – im więcej jonów, tym niższe, a więc bardziej kwaśne pH.

W przypadku większości wspomnianych wcześniej czynników, jak zaburzenia hormonalne, nawodnienie i natlenienie organizmu czy „szczelność jelit", występuje ten sam problem – o ile są to uznane przez medycynę parametry, to za pomocą mikroskopu nie jesteśmy

eprasa.pl dce24a0826

w stanie ich oznaczyć. Każdy wymaga wykorzystania dodatkowego narzędzia i zastosowania bardziej wyszukanej procedury, na przykład testów biochemicznych.

Co zatem da się wyczytać z krwi pod mikroskopem? Tak naprawdę niewiele – liczbę czerwonych oraz białych krwinek. Zbyt wysoka liczba tych drugich może wskazywać na stan zapalny, a przypominające półksiężyc czerwone krwinki – na anemię sierpowatą (wrodzoną chorobę genetyczną). Zdaniem doktorki Anny Słodkowicz-Kowalskiej, parazytolożki z Uniwersytetu Medycznego imienia Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, obecność niektórych larw pasożytów również można zauważyć w krwi obwodowej – na przykład nitkowca ludzkiego występującego w gorącym klimacie Ameryki Południowej i Afryki. Wymaga to jednak dodatkowego barwienia rozmazu krwi, a czasem także potwierdzenia obecności pasożyta przy użyciu innych testów, choćby na obecność przeciwciał.

W celu stwierdzenia obecności różnych gatunków pasożytów mogących zarażać ludzi konieczne jest odpowiednie dobranie techniki (diagnostyki parazytologicznej) do materiału badań (kał, mocz, krew, plwocina). Podobne wyzwanie dotyczy pozostałych parametrów. Jeśli lekarz chce sprawdzić, czy u pacjenta występują zaburzenia hormonalne związane z tarczycą, zleca serię badań medycznych – takich jak morfologia i oznaczenie hormonów tarczycy, do tego lipidogram, poziom glukozy, stężenie elektrolitów oraz USG tarczycy – i dopiero na podstawie ich wyników stawia diagnozę.

Tymczasem analiza żywej krwi – metoda proponowana przez gabinety rozsiane po całej Polsce – obiecuje, że za pomocą jednego badania uzyska się między innymi informacje o zakwaszeniu organizmu, pasożytach, grzybach, metalach ciężkich, „złogach stresowych", złogach cholesterolu oraz stanie narządów wewnętrznych. Jak tłumaczy doktor Szymon Suwała, endokrynolog, to badanie jest zupełnie niezgodne ze stanem wiedzy medycznej. W takiej próbce krwi możemy zobaczyć jedynie podstawowe składniki krwi, czyli czerwone oraz białe krwinki, a także płytki krwi.

—

BAZUJĄC NA WŁASNYM przykładzie, przekonałem się, że w podobny sposób praktycy „medycyny alternatywnej" diagnozują „nieszczelność jelit". Ma to oznaczać uszkodzenie przewodu pokarmowego w postaci maleńkich dziur, przez które toksyny i składniki pożywienia mogą się przedostawać do krwiobiegu. W tym przypadku nie mogłem jednak sprawdzić, czy wyniki badań laboratoryjnych okażą się zbieżne z otrzymaną „diagnozą", ponieważ zgodnie z wiedzą medyczną nie ma takiej jednostki chorobowej jak „nieszczelność jelit". Co ciekawe, zarówno analizator kwantowy, jak i badanie żywej kropli krwi wskazało, że występuje u mnie wspomniana dolegliwość. W próbce pobranej z mojego palca znajdował się – o czym już wspominałem – zaskakująco duży, prostokątny, półprzezroczysty obiekt określony przez naturopatkę jako „białko pokarmowe". Moją wątpliwość wzbudziło samo słowo „białko". Jest to przecież jeden z podstawowych budulców ludzkiego ciała, jego rozmiar powinien być parę tysięcy razy mniejszy od jakiejkolwiek komórki. Tymczasem w mojej próbce widać było kawałek kilkanaście razy większy od czerwonej krwinki.

Z ciekawości zacząłem przeglądać w internecie przykładowe wyniki analizy żywej kropli krwi, mające pokazywać między innymi wspomniane białka pokarmowe – „dowody" na „nieszczelność jelit" czy obecność rozmaitych pasożytów i grzybów. Konsultacja z paroma diagnostami i trochę własnej wiedzy na temat pracy z mikroskopem wystarczą, by stwierdzić, że na większości udostępnionych w sieci zdjęć najprawdopodobniej znajdują się kawałki kurzu, włosy, naskórek czy zwyczajny brud – różnego typu artefakty wynikające z braku sterylnych warunków badania. W moim przypadku był to najpewniej właśnie kawałek naskórka, który trafił razem z pobraną kroplą krwi na szkiełko mikroskopowe.

– Czy da się wyczytać zakwaszenie organizmu, odwodnienie albo istnienie zaburzeń hormonalnych z „żywej" kropli krwi? – zapytałem potem, już jako dziennikarz, prowadzącą badanie. – Jakie są podstawy naukowe tej metody?

Naturopatka odesłała mnie do literatury hematologicznej. Wskazany przez nią *Atlas krwi obwodowej. Podstawowe narzędzie diagnostyczne* autorstwa Daniela A. Arbera, Irmy Pereiry i Tracy I. George to obowiązujący podręcznik. Opisuje morfologię krwi, struktury komórkowe, elementy widoczne pod mikroskopem. Zawiera wzorcowe obrazy preparatów, opisy ich interpretacji oraz zasady prawidłowej obserwacji mikroskopowej.

Zapoznałem się z tą pozycją w bibliotece uniwersyteckiej. Rzeczywiście zawiera ona opisy morfologii krwi oraz struktur, jednak do ich analizy i obserwacji potrzebna jest preparatyka i barwienie krwi, a więc analiza „martwej" kropli, której przecież nie uznają naturopaci. Co więcej, w owym podręczniku nie ma słowa o takich strukturach jak „białka pokarmowe", nie ma również informacji o możliwości badania zaburzeń hormonalnych czy zakwaszenia organizmu. Książka wskazuje natomiast, że da się zaobserwować w preparatyce niektóre zakażenia, na przykład grzybicze.

Naturopatka zapytana o samą „nieszczelność jelit" znów odsyła mnie do literatury.

– Na czym polega „nieszczelność jelit"? – dopytywałem. – Jak ma działać uszczelnianie jelit pokarmem „klejącym" jak błonnik czy nasiona chia, o których wspomina pani w swoich zaleceniach po badaniu?

Analiza żywej krwi – metoda proponowana przez gabinety rozsiane po całej Polsce – obiecuje, że za pomocą jednego badania uzyska się informacje o zakwaszeniu organizmu, pasożytach, grzybach, metalach ciężkich.

eprasa.pl dce24a0826

– W kwestii „nieszczelności jelit" odsyłam bezpośrednio do publikacji naukowych w PubMed, czyli największej światowej bazie badań biomedycznych – odpowiedziała. – Po wpisaniu hasła *leaky gut syndrome* pojawia się obecnie kilkaset publikacji naukowych, a po rozszerzeniu wyszukiwania o terminy związane z integralnością bariery jelitowej, dysbiozą czy zapaleniami przewodu pokarmowego – wyników są tysiące. To nie jest temat z zakresu medycyny naturalnej, tylko standardowy obszar gastroenterologii, immunologii i mikrobiologii.

Inaczej widzi to doktor Szymon Suwała. – Jedynym rzeczywistym, medycznie uznawanym, „zespołem nieszczelności" jest perforacja jelita (przedziurawienie) – stwierdza endokrynolog. – To stan bezpośredniego zagrożenia życia, który wymaga natychmiastowej interwencji chirurgicznej. Należy jednak zaznaczyć, że w koncepcie „nieszczelności jelit" jest ziarno prawdy, ale więcej w nim mitu. Medycyna rozpoznaje zjawisko translokacji bakteryjnej oraz zwiększonej przepuszczalności jelit. Występuje ono w poważnych stanach zapalnych przewodu pokarmowego, w przypadku uszkodzenia wątroby czy przy ciężkich niedoborach odporności.

Choć rzeczywiście hasło *leaky gut syndrome* pojawia się w publikacjach naukowych, to na przykład w jednym z artykułów przeglądowych z 2024 roku możemy przeczytać, że „ten stan obarczony jest mitami i nieporozumieniami. Nie można go dokładnie zdiagnozować na podstawie objawów, badań krwi ani badań kału". Inna praca przeglądowa polskiego zespołu z 2022 roku pod tym zwrotem rozumie – podobnie jak doktor Suwała – translokację bakterii i metabolitów, czyli proces, który może wywoływać stany zapalne. Zjawisko dysbakteriozy, w której zaburzona jest równowaga flory bakteryjnej w naszym układzie pokarmowym – czy też sam stan zapalny jelit – jest diagnozowane, ale twierdzenie, że cząsteczki pokarmowe przechodzą przez jelita, to spore nadużycie.

W gabinecie naturopaty udzielać nam porad może osoba, która w niecały miesiąc nauczyła się nowego fachu.

NA KONIEC całego panelu badań przyszedł czas na biorezonans. Podobnie jak analiza kwantowa od strony technicznej metoda ta ma polegać na mierzeniu pola elektromagnetycznego i odczytywaniu częstotliwości różnych molekuł. Jak tłumaczy mi naturopatka: „biorezonans lepiej nadaje się do wykrywania pasożytów, grzybów czy bakterii". W przeprowadzonym na mnie badaniu wyszły właśnie te pierwsze.

Jakie jest jednak prawdopodobieństwo złapania pasożyta i stania się jego nosicielem? – Polska ze względu na postęp cywilizacyjny, dobrą higienę i przestrzeganie zasad sanitarnych nie ma masowych zarażeń pasożytami, jednak oczywiście zdarzają się takie przypadki – tłumaczy doktorka Anna Słodkowicz-Kowalska z Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. – Okazją do złapania niechcianego gościa mogą być zagraniczne podróże, szczególnie bardziej „tropikalne", gdzie ten reżim sanitarny stoi na niższym poziomie. Zagrożeniem może być też spożycie surowego, nieprzebadanego mięsa, na przykład dziczyzny.

Czy w takim razie, skoro lubię podróże i spanie w lasach, rzeczywiście mogłem coś złapać? W badaniu biorezonansem wyszła mi obecność dwóch pasożytów – motylicy wątrobowej oraz węgorka jelitowego, a więc organizmów zasiedlających układ pokarmowy. W obu przypadkach klasyczną metodą diagnozy jest analiza dwóch, trzech próbek kału w kilkudniowych odstępach. Trochę droższym badaniem są testy serologiczne polegające na wykrywaniu przeciwciał specyficznych dla danych pasożytów. Metoda ma tę zaletę, że na podstawie typu przeciwciała możemy również przewidzieć, kiedy szacunkowo doszło do zakażenia – czy od kontaktu minęło kilka dni, czy kilka tygodni.

Najbardziej skutecznym testem diagnostycznym są techniki molekularne PCR, dzięki którym można wykryć materiał genetyczny danego pasożyta. Metoda ta była powszechnie stosowana w trakcie pandemii COVID-19 w celu wykrywania obecności wirusa SARS-CoV-2. Zakażenia pasożytnicze często wpływają na podniesienie poziomu eozynofilów (typ białych krwinek), które można zbadać w podstawowej morfologii krwi.

Wybrałem się z próbkami kału na badanie do przychodni i – bez zaskoczenia – wynik okazał się negatywny. Nie znaleziono również innych pasożytów układu pokarmowego. Oczywiście negatywny wynik badania kału nie wyklucza w pełni możliwości bycia zakażonym. Aby zyskać niemal 100-procentową pewność, że nie mam tych pasożytów, musiałbym wykonać wszystkie trzy testy, co wykorzystała w dyskusji naturopatka.

– Czy możliwe jest, żeby dwucentymetrowy pasożyt znajdował się w moim przewodzie pokarmowym i nie dawał prawie żadnych zauważalnych objawów? – zapytałem w trakcie konfrontacji.

– Pasożyty towarzyszą ludziom od początku ludzkości i mają swoje naturalne mechanizmy adaptacyjne – odpowiedziała naturopatka. – Wiele gatunków przez długi czas nie daje silnych objawów, ponieważ organizm adaptuje się do ich obecności, część pasożytów początkowo nie uszkadza tkanek, wiele gatunków modulująco wpływa na układ odpornościowy, dopiero duże zarobaczenie lub migracja pasożyta daje wyraźne symptomy. Przy pasożytach są objawy niespecyficzne: zmęczenie, niedokrwistość i wiele innych.

Na podstawie badania żywej kropli krwi naturopatka stwierdziła, że mam trochę podniesiony poziom białych krwinek. I w morfologii poziom ten był rzeczywiście nieco przekroczony, jej teoria mogłaby więc być prawdziwa.

eprasa.pl dce24a0826

Doktorka Słodkowicz-Kowalska twierdzi jednak, że nie ma możliwości, abym był nosicielem tych dwóch gatunków i nie miał widocznych symptomów. Motylica wątrobowa to pasożyt, który może osiągać długość nawet do 5 centymetrów. Żyje w przewodach żółciowych i choć początkowo może nie dawać objawów, to z czasem pojawiają się bóle brzucha, wymioty, stany zapalne, gorączka, wysypka. Drugi z nich, węgorek jelitowy, nie jest pasożytem spotykanym w Polsce. Występuje głównie w rejonach subtropikalnych i tropikalnych, w naszym regionie najszybciej można go złapać na południu Europy. Objawy zarażenia pojawiają się najczęściej dopiero przy spadku odporności. Wśród nich są między innymi bóle brzucha, biegunka, kaszel, a nawet krwioplucie. Teraz, kiedy piszę ten artykuł, od przeprowadzenia badania minęły ponad cztery miesiące i, jak można się domyślić, żaden z powyższych objawów przez ten czas nie wystąpił. Według naturopatki dzieje się tak, ponieważ mój organizm znajduje się w fazie równowagi lub pasożyty są w fazie przetrwalnikowej albo otorbionej.

—

SKORO ZARÓWNO stany chorobowe sugerowane przez naturopatów, jak i metody ich określania są tak wątpliwe, to dlaczego ich działalność pozostaje legalna? Choć zajmują się konsultowaniem stanu zdrowia i zalecają zmianę diety oraz przyjmowanie suplementów w celu poprawy dobrostanu, to przecież ich zawód jest niemedyczny.

Zawód naturopaty został wpisany do Polskiej Klasyfikacji Zawodów i Specjalności pod numerem 323009 i zdobycie dyplomu wiąże się z uzyskaniem kwalifikacji zawodowych. Aby uzyskać ów dyplom, wystarczy przejść odpowiednie szkolenie. Istnieje wiele opcji dla chcących kształcić się w tym kierunku: można na przykład skończyć dwuletnią szkołę, zaliczyć 80-godzinny kurs lub wziąć udział w trzech weekendowych zjazdach (w przypadku osoby, do której się udałem, była to dwuletnia szkoła). Oznacza to, że udzielać nam porad może zarówno ktoś, kto spędził kilkaset godzin na zdobywaniu wiedzy z zakresu anatomii, fizjologii czy biologii komórki, jak i osoba, która w niecały miesiąc nauczyła się nowego fachu. Inna sprawa, czy w ogóle można mówić o lepszym lub gorszym poziomie wykształcenia w tego typu placówkach.

Środowisko alt-medu ma swoich celebrytów. Są nimi na przykład Jerzy Zięba i Oskar D., bohater audioserialu *Szarlatan* Michała Janczury. Eksperci medyczni niejednokrotnie wykazywali, że proponowane terapie alternatywne są nieskuteczne, a nawet niebezpieczne dla zdrowia – jak promowane przez Ziębę wlewy z perhydrolu, czyli około 30-procentowego nadtlenku wodoru (ta sama substancja występuje w aptecznej wodzie utlenionej, tylko w stężeniu 3 procent). Przeciwko Oskarowi D. aktualnie trwa postępowanie w prokuraturze związane z jego działalnością. Mężczyzna dawał porady medyczne, nie mając żadnego wykształcenia kierunkowego, co między innymi doprowadziło do śmierci chorej na nowotwór pani Ewy, która zamiast się leczyć, zażywała zalecone jej suplementy. Walka z działalnością takich osób nie jest prosta, bo jak wskazuje analiza projektu ustawy nazywanej Lex szarlatan (projekt nowelizacji ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta), niełatwo zdefiniować praktyki pseudomedyczne. Zdarza się, że osoby tym się trudniące łączą wiedzę akademicką z nurtem naturalnym i mają jednocześnie dyplom naturopaty oraz skończone studia, na przykład z dietetyki klinicznej.

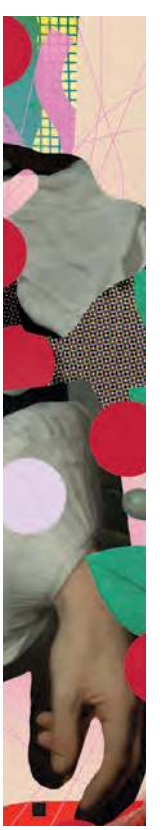
Zalecenia, które sam otrzymałem po badaniu, były zgodne z medycyną kliniczną, ponieważ obejmowały dbanie o dietę, dobry sen i aktywność fizyczną, a także ograniczenie stresu. Miałem suplementować błonnik, zażywać witaminy D3 i K2 oraz mieszankę 13 ziół zawierającą między innymi imbir, czosnek i kolendrę. Dostałem również listę profilaktycznych badań laboratoryjnych, które warto wykonać. Obok nich pojawiły się jednak zalecenia, by skorzystać z metod niepotwierdzonych naukowo, takich jak homeopatia czy ustawienia hellingerowskie [pisała o nich Oliwia Kromer, „Pismo" nr 10/2024 – przyp. red.].

—

NIEODŁĄCZNYM ELEMENTEM medycyny alternatywnej jest stosowanie suplementów i mieszanek ziołowych. Oczywiście suplementy suplementom nierówne – nie należy ich wrzucać do jednego worka, ale o tym za chwilę. Polski sektor suplementów diety rozwija się bardzo dynamicznie – sprzedażą i produkcją zajmują się zarówno duże firmy farmaceutyczne, jak i małe przedsiębiorstwa zielarskie czy nawet celebryci.

Wprowadzenie nowego leku, który przeszedł wymagane fazy badań klinicznych (trwające kilkanaście lat i kosztujące nawet 2 miliardy dolarów), wymaga złożenia obszernej dokumentacji. Musi ona zawierać nie tylko wyniki badań potwierdzające skuteczność kliniczną leku, ale również zaświadczenie o zgodności produkcji z obowiązującymi normami wytwarzania, informacje o bezpieczeństwie stosowania, a także wiele innych danych. Suplementy nie przechodzą tak rygorystycznych testów. Podmiot, który chce wprowadzić do obrotu nowy produkt, musi po prostu powiadomić o tym Główny Inspektorat Sanitarny i załączyć podstawowe informacje na temat danego preparatu.

Rynek suplementów cały czas rośnie, jego szacunkowa wartość w naszym kraju – według raportu PMR *Rynek suplementów diety w Polsce. Analiza rynku i prognozy rozwoju na lata 2025–2030* – wynosi 8 miliardów



eprasa.pl dce24a0826

złotych. Suplementy, jak wskazuje raport PMR, przyjmuje codziennie 40 procent Polaków. Robimy to, mimo że producent nie musi udowadniać właściwości leczniczych swojego produktu i nie jest zobowiązany do przeprowadzenia badań przed wprowadzeniem go na rynek. Oznacza to, że suplementy mogą się różnić jakością, składem czy nawet obecnością niepożądanych substancji. Lepiej więc sprawdzać, czy firmy, które wybieramy, mogą pochwalić się na przykład certyfikatami jakości. Co więcej, niektóre substancje, jak choćby witamina D czy magnez, możemy kupić zarówno w postaci suplementu, jak i leku. Warto mieć na uwadze, że ta sama substancja, ale sprzedawana w postaci leku, poddawana jest jednak kontroli [o suplementach pisał Łukasz Lamża, „Pismo" nr 4/2020 – przyp. red.].

A jak wygląda biznesowa strona samej pseudodiagnostyki? Trudno oszacować rynek alt-medu, bo wielu usługodawców ukrywa się w szarej strefie. Biznes ten można jednak prowadzić całkiem legalnie i dotychczas wystarczyło zarejestrować swoją firmę w urzędzie z kodem Polskiej Klasyfikacji Działalności (PKD) 86.90.D (działalność paramedyczna). Od 1 stycznia 2025 roku obowiązuje nowy kod 86.96.Z zdefiniowany jako „działalność w zakresie medycyny tradycyjnej, uzupełniającej i alternatywnej". W bazie przedsiębiorców znajduje się w sumie prawie 38 tysięcy tego typu podmiotów. Biznes związany ze sprzedażą czy korzystaniem z odpowiednich urządzeń to również intratne zajęcie. Koszt aparatów do biorezonansu czy analizy kwantowej nie jest wysoki w porównaniu do ceny usługi w gabinecie (140–600 złotych), zatem wydatek na sprzęt może się bardzo szybko zwrócić.

—

MOJA WIZYTA kosztowała 450 złotych. Uzyskałem po niej ponad 200 parametrów stanu mojego ciała. Gdybym chciał wykonać podobne badania diagnostyczne, wydałbym znacznie więcej. Same badania na obecność wybranych pasożytów to koszt prawie 800 złotych: kał (około 60 złotych), badania serologiczne (200–300 złotych), genetyczne (około 400 złotych). Zmierzenie poziomu wybranych pierwiastków, minerałów czy witamin to 300–500 złotych. Hormony – kolejne 600 złotych. Badania mikrobiomu i potencjalnej dysbiozy jelit to koszt od 500 do nawet 1000 złotych. Pełna morfologia krwi z lipidogramem, glukozą, próby wątrobowe – w sumie około 150–200 złotych. Do tego mógłbym dołożyć chociażby USG, test składu ciała i jeszcze wiele innych, a finalna kwota wyniosłaby przynajmniej kilka tysięcy złotych (choć część badań można robić na NFZ – za darmo jest na przykład pełna morfologia krwi raz w roku).

Mimo wszystko zdumiewa mnie, jak wiele osób nie wybiera tej ścieżki i woli „zbadać się" w gabinecie „medycyny naturalnej" zamiast u lekarza. Dlaczego tak się dzieje? Jak komentuje Mateusz Konwerski z Institute for Health, niezależnego think tanku działającego w obszarze ochrony zdrowia, lista powodów jest całkiem pokaźna.

Pacjenci lubią słyszeć, że coś się opiera na dowodach, ale ich nie weryfikują. Zaufanie do lekarzy jest też ograniczone – ufa im 57 procent Polaków.

– Oprócz dłuższego czasu poświęcanego na jednego pacjenta, indywidualnego podejścia, poczucia empatii i zadbania, dochodzą jeszcze takie elementy jak oferowane przez naturopatów proste wyjaśnienia, szybkie diagnozy i dostarczenie nierzadko gotowych rozwiązań, a raczej obietnicy ich skuteczności. W przychodni lekarz ma z reguły 10 minut na przeprowadzenie wywiadu, badanie fizykalne, zaproponowanie diagnozy, ścieżki leczenia i w końcu opisanie tego w karcie pacjenta. System jest tak ukształtowany, że niejednokrotnie lekarze rzeczywiście skupiają się na leczeniu przypadku, a przy tym zapominają o odpowiedniej komunikacji – empatycznym podejściu i bardziej podmiotowym traktowaniu. Trudno w tak krótkim czasie zaspokoić te potrzeby, uwzględniając jeszcze indywidualne cechy wrażliwości pacjenta – wyjaśnia ekspert.

– Nie zapominajmy też, że medycyna jest skomplikowaną gałęzią wiedzy, w której jedną chorobę często trzeba konsultować z lekarzami kilku specjalizacji i potwierdzać szeregiem badań, a dla większości z nas tomografia komputerowa stanowi taką samą czarną magię, co analiza kwantowa – dodaje Konwerski. – Pacjenci lubią słyszeć, że coś opiera się na dowodach, ale nie weryfikują ich. Zaufanie do lekarzy jest też ograniczone – ufa im 57 procent Polaków. Ludzie trafiają w objęcia gabinetów „medycyny alternatywnej" również w momencie, w którym zwykła medycyna nie jest już w stanie dostarczyć rozwiązań albo gdy „odyseja diagnostyczna" trwa latami, ponieważ schorzenie daje niespecyficzne objawy albo często zalicza się do grupy chorób rzadkich.

Właśnie z tych powodów alternatywne metody są dla niektórych tak kuszące. A nieuczciwi zarabiają – na niewiedzy, strachu, często desperacji. Dlatego potrzebujemy Lex szarlatan, żeby przeciwdziałać szkodliwym praktykom, by pacjenci i pacjentki nie zostawali na tym polu (bynajmniej nie kwantowym!) sami.

Posłuchaj także najnowszego audioserialu wyprodukowanego przez „Pismo", w którym Oktawia Kromer zgłębia świat kontrowersyjnych praktyk rozwojowo-terapeutycznych. Wszystkie odcinki są dostępne na stronie **magazynpismo.pl/psychowashing**

eprasa.pl dce24a0826



APTECZKA Kulturalny niezbędnik złożony z najważniejszych książek, reprodukcji obrazów, filmów i płyt, ale też wspomnień o miejscach i formujących doświadczeń. Moich rozmówców i rozmówczynie pytam o to, co przynosi im spokój, napędza do działania i ratuje w momentach kryzysu. Z czego składa się kulturalna apteczka LUBAINY HIMID, brytyjskiej artystki wizualnej i kuratorki?

W poszukiwaniu miejsca dla nas

LUBAINA HIMID (ur. 1954), brytyjska artystka wizualna, kuratorka sztuki i profesorka na Uniwersytecie Lancashire. Urodziła się na Zanzibarze. W 2017 roku otrzymała prestiżową Nagrodę Turnera, jako pierwsza czarnoskóra kobieta w historii. W 2018 roku została mianowana Komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego. W 2026 roku będzie reprezentować Wielką Brytanię na 61. Międzynarodowej Wystawie Sztuki w Wenecji.

W trudnych chwilach, gdy czuję się przytłoczona otaczającą rzeczywistością, szukam pocieszenia w opowieściach, przy których to, z czym się mierzę, wydaje się być jedynie zwykłą błahostką. Włączam wtedy jedną z moich ulubionych włoskich oper i przez wiele godzin, w przejęciu, słucham o tragicznym losie jej bohaterów. Nabieram wtedy potrzebnego dystansu do własnych emocji.

Muzyka towarzyszy mi także przy pracy. Oprócz operowych arii są to głównie ballady, w których na pierwszym planie słychać pełen emocji kobiecy wokal. Z apteczki wyciągam więc utwory z dyskografii Beyoncé i Rokii Traoré. Dzięki temu udaje mi się odsunąć paraliżujące myśli, które często nachodzą mnie w trakcie malowania. Gdy skupiam się na głosie, który mnie prowadzi, czuję, że stać mnie na odwagę. Wtedy podejmuję ryzykowne decyzje dotyczące tego, jakie barwy ze sobą zmieszać. I akceptuję to, że obraz nie musi wyglądać tak, jak początkowo zaplanowałam.

Odwagę potrzebną w byciu artystką przez lata czerpałam też z książek. Jako nastolatka czytałam głównie dzieła europejskich klasyków. I choć fascynowało mnie życie pani Bovary, nie byłam w stanie się z nią utożsamić. Dopiero dzięki lekturze takich książek, jak *Umiłowana* Toni Morrison, *The Salt Eaters* Toni Cade Bambary czy *In Search of Our Mother's Gardens* Alice Walker mogłam odnaleźć się w doświadczeniach protagonistek, z którymi łączyła mnie nie tylko płeć, ale i kolor skóry. Zgłębiając kolejne teksty czarnych autorek i autorów, uświadomiłam sobie złożoność oraz cały ciężar historii związanej z kolonializmem i dyskryminacją rasową, która w dalszym ciągu dotyka osoby takie jak ja, niezależnie od szerokości geograficznej. To właśnie na przykładzie książek zrozumiałam jak ważna jest reprezentacja. A jej brak w sztuce, którą dotychczas znałam, zaczął mi coraz mocniej doskwierać.

Wielu moich rówieśników-artystów czuło podobnie. Skoro widzieliśmy siebie nawzajem i mijaliśmy na ulicach ludzi takich jak my, to dlaczego prac czarnych artystów nie dało się zobaczyć w żadnej większej brytyjskiej galerii ani muzeum? Byliśmy sfrustrowani, chcieliśmy coś z tym zrobić. Dlatego postanowiliśmy działać razem [Himid była członkinią założonego w 1982 roku British Black Arts Movement – radykalnego ruchu artystycznego w Wielkiej Brytanii, który skupiał twórców i twórczynie imigranckiego pochodzenia – przyp. red.]. Jedna z naszych strategii polegała na prezentowaniu prac w przestrzeniach, które do tej pory nie kojarzyły się ze sztuką: szkołach, bibliotekach, kościołach czy zwykłych mieszkaniach. Dziś nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ale w latach 80. była to niecodzienna praktyka.

Choć zorganizowaliśmy kilka wystaw zbiorowych, zmiana wciąż nie nadchodziła. Byłam młoda i naiwna, licząc, że tyle wystarczy, by nasza sztuka zaistniała w głównym nurcie. Musiały upłynąć jeszcze dwie dekady, żebyśmy zostali zauważeni. Duża w tym zasługa kuratorów i galerzystów, którzy dorastali w okresie, gdy my zaczynaliśmy tworzyć. Świat tych osób różnił się drastycznie od tego, w jakim żyli ich rodzice. I podobnie jak my nie chciały one oglądać w muzeach tych samych obrazów autorstwa białych malarzy, które wisiały tam już 100 lat wcześniej. To właśnie ci kuratorzy nas odnaleźli, bo choć nie interesowały się nami media i skostniałe instytucje kultury, wciąż tworzyliśmy sztukę.

Dziś wychodzę z założenia, że celem artystów, którzy chcą być zaangażowani społecznie, oprócz wywierania presji na system, jest dawanie ludziom przestrzeni do namysłu. W ten sposób też możemy zmieniać opowieść o świecie. Dlatego jeden z moich ostatnich obrazów przedstawia Amfitrytę – nie jako grecką boginię u boku Posejdona, lecz afrykańską kobietę w tradycyjnym stroju, matronkę uciekinierów i pojmanych Afrykanów. Jej zadaniem jest chronić uchodźców przeprawiających się przez wodę, dodawać odwagi tym, u których myśl o morzu budzi niepewność i lęk. Jeśli choć jedna osoba odnajdzie w takim wyobrażeniu morskiej nimfy coś dla siebie – niech to będzie choćby kolor skóry – to znaczy, że mi się udało.

Rozmawiał i przełożył Mateusz Roesler



MATEUSZ ROESLER (ur. 1996), kulturoznawca, dziennikarz, badacz komunikacji. Absolwent Gender Studies IBL PAN. W „Piśmie" odpowiada za koordynację projektów i współprace strategiczne. Autor podcastu *Trzaski i szmery*. Nawiązał długofalowe partnerstwo z żółwiem Herbertem. Instagram: @mm_roesler.

rysunki ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl dce24a0826



Autoportret przy szpinecie

LAVINIA FONTANA

Farba olejna na płótnie, 1577 rok

Akademia św. Łukasza, Rzym

zdjęcie AUTOPORTRET PRZY SZPINECIE (AUTORITRATTO CON SPINETTA), ACCADEMIA NAZIONALE DI SAN LUCA, ROMA

eprasa.pl dce24a0826

ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA (ur. 1988), historyczka sztuki, kuratorka. Autorka audycji *Sztuka mniej obca* o sztuce zagranicznej w Programie 2 Polskiego Radia oraz audioserialu *Wszystko już było*, wyróżnionego w konkursie Podcast Roku 2025. Kuratorka takich wystaw jak *Po co wojny są na świecie. Sztuka współczesnych outsiderów* (MSN) i *Nie jestem już psem* (Muzeum Śląskie w Katowicach).

„Jeśli chodzi o jej niezwykłą wrażliwość moralną, mówi się między innymi, że niezależnie od tego, czy malowała, czy rzeźbiła, miała zwyczaj odtwarzać przede wszystkim wizerunki kobiet, a mężczyzn – rzadko lub wcale. Było to, jak sądzę, podyktowane jej czystością i skromnością. W starożytności postacie przedstawiano zazwyczaj nagie lub półnagie, i wydawało się jej konieczne, by pozostawić postacie męskie w stanie nieukończonym, albo – dodając wszystkie szczegóły – porzucić dziewiczą powściągliwość. Aby uniknąć obu tych rozwiązań, uznała za lepsze powstrzymać się od jednego i drugiego." – tak Giovanni Boccaccio pisał o Marcji, jednej ze słynnych starożytnych artystek w swoim dziele *De Mulieribus Claris* (*O sławnych kobietach*), pierwszej w literaturze europejskiej książce biograficznej poświęconej wyłącznie kobietom, w której opisał 106 historycznych i mitycznych bohaterek. O istnieniu Marcji (prawdziwe imię tej artystki to Iaia z Kyzikos) dowiedział się z *Historii naturalnej* Pliniusza Starszego, który pisał „że nikt nie miał szybszej ręki od niej" i chwalił ją za niezwykłą bystrość umysłu – cechy te pozwoliły jej zarabiać więcej niż koledzy po fachu.

Dzieło Boccaccia, napisane w latach 1361–1362, było prawdziwym bestsellerem przez kolejne dwa stulecia. Twórca opisał w nim trzy malarki, ale też kobiety zajmujące się muzyką, których wizerunek rozpropagowały popularne ilustracje do dzieła. Szczególny wpływ na rozwój sztuki kobiet w XVI wieku miało przedstawienie Marcji w czasie malowania autoportretu, z lustrem w dłoni. Miniatura z francuskiego manuskryptu *De Mulieribus Claris* z 1402 roku jest powszechnie uznawana za pierwsze w historii takie uwiecznienie kobiety – ważny w kolejnych wiekach motyw artystki z paletą, funkcjonujący z jednej strony jako alegoria malarstwa, z drugiej zaś jako manifest tożsamości zawodowej. Praca Boccaccia wyznaczyła horyzont myślenia o kobietach artystkach, które „gardząc typowo kobiecymi zajęciami i nie chcąc trwonić czasu na bezczynność", osiągały mistrzostwo w swoim fachu, zarazem spełniając wymogi obyczajowe swojej epoki.

Gdy młoda, piekielnie zdolna malarka Lavinia Fontana, córka jednego z czołowych bolońskich artystów, zabrała się do malowania zaręczynowego autoportretu – podarku dla przyszłego teścia – postanowiła wykorzystać w swoim oryginalnym dziele wszystkie motywy, które mogły ją przedstawić w jak najlepszym świetle. Było to pozornie zgodne z oczekiwaniami epoki, ale tak naprawdę służyło temu, by wymknąć się jej zasadom. Na obrazie widzimy artystkę przy szpinecie – odmianie klawesynu do domowego użytku – symbolizującym wykształcenie, ogładę i intelekt oraz wskazującym na znajomość współczesnej sztuki. To motyw, który w swoich autoportretach wykorzystały wcześniejsze malarki doby renesansu: Catharina van Hemessen i prawdziwa gwiazda ówczesnej sceny artystycznej Sofonisba Anguissola. Idąc w ich ślady, Lavinia podkreśla swoje autorstwo, zrywając z wielowiekową tradycją anonimizowania dzieł kobiet, chociażby działających w klasztorach miniaturzystek. W inskrypcji zamieszczonej w lewym górnym rogu czytamy: „Lavinia, dziewica, córka Prospera Fontany, przedstawiła swoje oblicze z obrazu w lustrze w roku 1577". To jasne nawiązanie do Pliniusza i Boccaccia, którzy rozpływali się nad cnotliwością Marcji, a zarazem wskazywali na stosowaną przez nią technikę osiągania niezwykłego realizmu przedstawienia za pomocą lustra.

Była to ze strony młodej artystki zręczna gra. Z jednej strony błyszczała erudycją i reklamowała swoje zdolności malarskie zarówno za pośrednictwem symbolu jej fachu – sztalugi ustawionej w tle – jak i ambitnej kompozycji przestrzennej obrazu. Z drugiej zaś podkreślała swoją nienaganną reputację, która była warunkiem funkcjonowania kobiety w ówczesnym społeczeństwie (nadzór służącej, akcentowanie dziewictwa) oraz rzecz jasna urodę. Obraz zadziałał znakomicie – Fontana wyszła za mąż za lepiej urodzonego, zamożnego szlachcica, w ramach nietypowej jak na tamte czasy umowy między rodzinami. Artystka zamiast posagu wniosła bowiem do małżeństwa swój fach i stała się główną żywicielką rodziny, mąż natomiast został jej agentem, zajmował się prowadzeniem domu i wychowaniem ich jedenaściorga dzieci. Powołując się na autorytet dzieła Boccaccia, a zarazem na wartości nowej epoki, udało jej się stworzyć uzasadnienie dla – uważanego w owym czasie za absurdalny – pomysłu, by kobieta mogła zostać profesjonalną artystką. Fontana zrobiła oszałamiającą karierę i podobnie jak Marcja należała do najlepiej zarabiających artystów swojej epoki. Była pierwszą kobietą przyjętą do Akademii św. Łukasza w Rzymie, z której kolekcji pochodzi ten obraz.

MSN MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Pracę Lavinii Fontany oraz blisko 200 innych artystek można zobaczyć w Muzeum Sztuki Nowoczesnej na wystawie *Kwestia kobieca 1550–2025* do 3 maja 2026 roku.

Więcej na **magazynpismo.pl/w-ramach-pisma**

eprasa.pl dce24a0826

Jak narodził się nowożytny pieniądz

tekst JĘDRZEJ MALKO

Żydzi zabili Pana Jezusa i proroków,
i nas także prześladowali. (...)
Ale przyszedł na nich ostateczny gniew Boży.
[Biblia Tysiąclecia, 1 Tes 2, 15–16]

JEŚLI HISTORIĘ EUROPEJSKIEGO pieniądza można przedstawić schematycznie jako wielusetletni konflikt między pieniądzem prywatnym a państwowym, narodziny Banku Anglii uznajmy za kończący go kompromis.

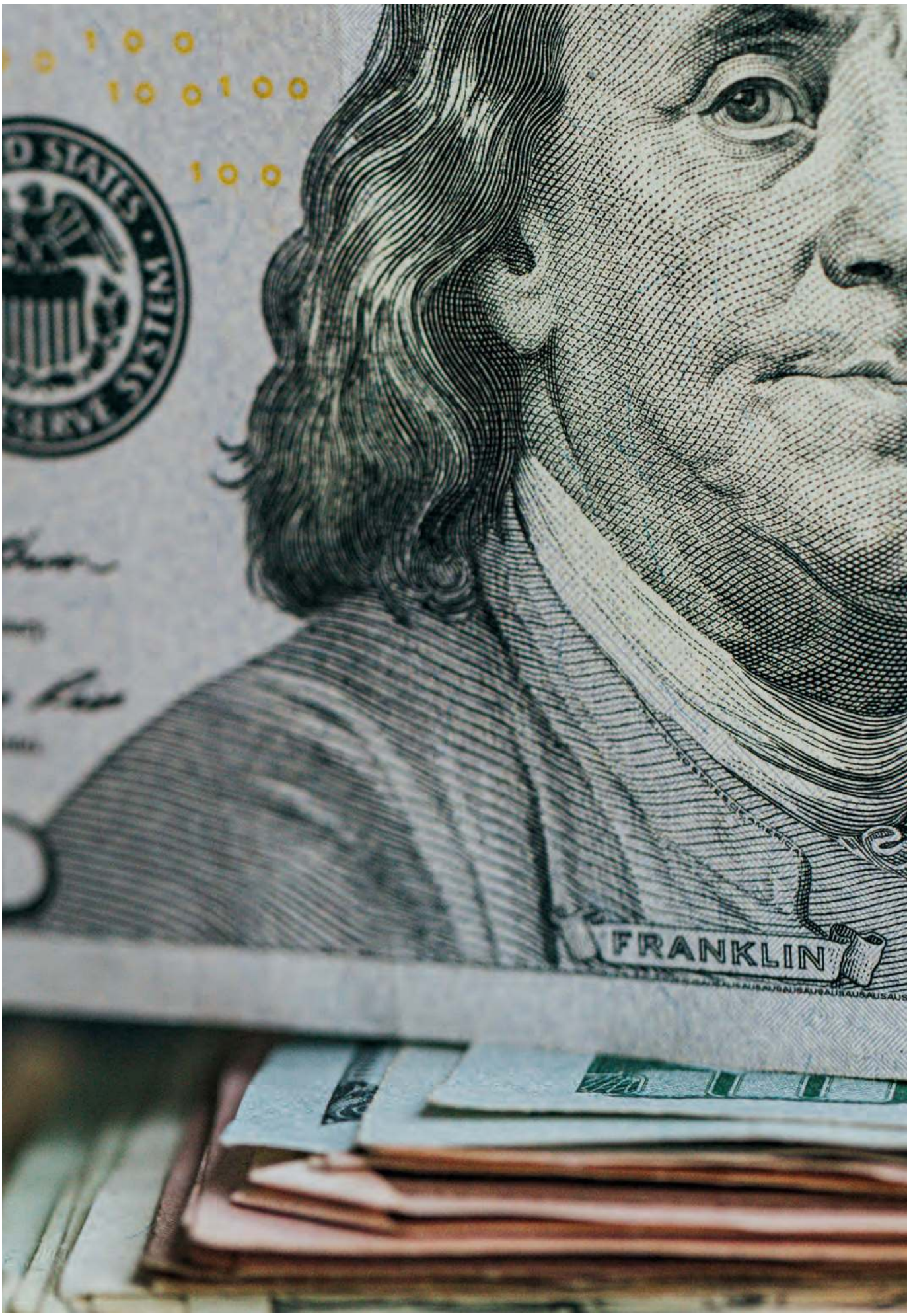
Jeżeli pożyczysz od banku milion, w razie trudności ze spłatą możesz mieć kłopoty, ale jeżeli pożyczysz cały miliard, większy kłopot będzie miał twój bank. Należałoby teraz dodać, że jeśli pożyczysz milion od bandyty, w razie trudności ze spłatą z pewnością będziesz mieć kłopoty. Jednak podobne kłopoty możesz mieć, jeśli pożyczysz milion bandycie. Raz za razem przekonywali się o tym pożyczkodawcy, którzy robili interesy z największymi mafiosami średniowiecza, czyli europejskimi monarchami.

Od rozpadu imperium karolińskiego w X wieku Europa podzielona była na setki księstw, królestw i niezależnych miast. Ich władcy nieustannie prowadzili ze sobą wojny, stale więc potrzebowali na nie pieniędzy. A że osoba z nożem na gardle jest zwykle skłonna sowicie zapłacić za udzieloną pomoc, pożyczanie monarchom bywało źródłem dużych zysków. Wiązało się jednak z ryzykiem, ponieważ w przypadku przegranej wojny dług oczywiście nie był spłacany. Inne niebezpieczeństwo polegało na tym, że władca zamiast oddać pieniądze, rozprawi się ze swoimi wierzycielami przy użyciu przemocy.

(...) Taki właśnie los spotkał templariuszy. Atak na nich był tym łatwiejszy do przeprowadzenia, że po niepowodzeniu ostatniej krucjaty w 1272 roku i upadku ostatniego państwa krzyżowego w 1291 roku zakon stracił swoją pierwotną rację bytu. Same krucjaty były również przyczyną pierwszych pogromów w Europie. Krzyżowcy po drodze do Ziemi Świętej mordowali tysiące niemieckich i francuskich Żydów – często utożsamiali ich przy tym z lichwiarzami, po to by uzasadnić przemoc i plądrowanie żydowskiego mienia. Gotfryd z Bouillon, jeden z przywódców pierwszej wyprawy krzyżowej i od 1099 roku władca Królestwa Jerozolimy, instruował w końcu pobożnych obrońców Grobu Pańskiego, by zmierzali do Jerozolimy „nie wcześniej, niż pomszczą krew pokrzyżowanego, przelewając krew żydowską i całkowicie usuwając jakikolwiek ślad tych, którzy noszą imię »Żyd«".

W XII, XIII i XIV wieku królowie francuscy przyjmowali do kraju Żydów tylko po to, by po chwili znów ich wypędzić, bogacili się więc zarówno dzięki pobieraniu opłat za zgodę na osiedlenie się, pożyczaniu pieniędzy na procent od wyjętych spod papieskiego zakazu Żydów, jak i następnie dzięki konfiskacie majątków swoich wierzycieli (oraz wszystkich innych Żydów, którzy nigdy żadnemu królowi nic nie pożyczyli, ale mieli nieszczęście urodzić się w chrześcijańskiej Europie). Filip II August wyrzucił Żydów z Francji w roku 1182, pozwolił im jednak wrócić w 1198. Jego syn Ludwik VIII wybrał inne rozwiązanie i w 1223 roku anulował wszystkie odsetki winne żydowskim wierzycielom oraz przekazał francuskim szlachcicom kontrolę nad pobieraniem kapitałowej części każdej pożyczki. Dziesięć lat później

eprasa.pl dce24a0826



zdjęcie NATHAN-DUMLAO/UNSPLASH

eprasa.pl dce24a0826

JĘDRZEJ MALKO (ur. 1989), historyk idei. Jest autorem książek: *Economics and Its Discontents* oraz trylogii *Donkiszoteria warszawska*. W 2026 roku nakładem wydawnictwa Karakter ukaże się jego kolejna książka: *Porachunki. Polityczna historia pieniędzy.*

jego syn Ludwik IX anulował jedną trzecią wszystkich długów winnych Żydom – potem już do końca życia wydawał i cofał rozkazy, a to wypędzające Żydów, a to konfiskujące ich majątki, a to nakazujące im noszenie na piersi kawałka czerwonego płótna wielkości pięści. W roku 1306 (a więc na chwilę przed atakiem na zakon templariuszy) Żydów wygnał król Filip IV. Jego następca Ludwik X przyjął ich z powrotem w 1315 roku, ale już w 1394 wyrzucił ich z kraju Karol VI.

Z Anglii Żydzi zostali wygnani – na ponad trzy stulecia – w 1290 roku. Już trzy lata wcześniej Edward I wypędził ich z Gaskonii, obwieszczając przy tym, że ktokolwiek cokolwiek winien był Żydowi, teraz jest winien tyle samo królowi. Następnie przekazał królewskie dochody z tej operacji innym włoskim bankierom, u których również był poważnie zadłużony, a których wypędzić nie mógł, bo mieszkali w Toskanii. (Tu warto zauważyć, że praktyka przekazywania bankierom nadzoru nad poborem podatków, opłat celnych i innych danin była stosunkowo częsta w średniowieczu. Wierzyciele domagali się jej, ponieważ nie tylko ułatwiała im odzyskanie pieniędzy już pożyczonych, lecz także stanowiła nieocenione źródło informacji na temat stanu finansów publicznych i pozwalała oszacować, ile jeszcze i na jakich warunkach warto danemu władcy pożyczyć w przyszłości). Ostateczne wypędzenie Żydów nastąpiło nawet nie dlatego, że ich dłużnikiem był sam król, ale ponieważ zażądali tego zadłużeni u części z nich szlachcice, od których Edward chciał uzyskać zgodę na nowy, największy w dziejach średniowiecznej Anglii podatek (przyniósł akurat tyle pieniędzy, ile Edward pożyczył od Riccardich w poprzednich latach). Zgoda została udzielona 15 lipca 1290 roku – trzy dni później Żydom skonfiskowano majątki i nakazano opuścić Anglię.

Gdy w roku 1294 wybuchła kolejna średniowieczna wojna angielsko-francuska, a ród Riccardich – z przyczyn zbyt zawiłych, by się tutaj w nie zagłębiać – nie był skłonny udzielić kolejnej pożyczki, Edward skonfiskował jego angielskie majątki, co doprowadziło włoskich bankierów do plajty, a i tak nie zaspokoiło królewskich potrzeb na długo. Już po chwili władca musiał ratować się kolejnymi pożyczkami, które po tym, co spotkało jego poprzednich bankierów, były mu udzielane niechętnie i na wyjątkowo wysoki procent: 40, 80, a nawet 150 w skali roku. Pieniędzy wciąż brakowało, król ratował się więc nowymi podatkami, które były jednak tak wysokie, że arystokraci zaczęli odmawiać udziału w walce z Francuzami, co doprowadziło do jednego z poważniejszych kryzysów konstytucyjnych w dziejach średniowiecznej Anglii. Pierwszymi włoskimi bankierami, którzy zgodzili się obsługiwać angielską koronę, byli w 1299 roku członkowie rodziny Frescobaldich, którzy jednak dopiero po pięciu latach zaczęli pożyczać Edwardowi kwoty podobnego rzędu co wcześniej ród Riccardich – w zamian otrzymując kontrolę nad angielskimi dochodami z podatków, ceł i mennicy. Już w 1345 roku swoich długów nie spłacił wnuk Edwarda I, walczący wtedy w wojnie stuletniej król Edward III, co doprowadziło do bankructwa dwa wielkie włoskie banki: rodziny Bardich i rodziny Peruzzich.

Jak już wiemy, dłużnicy nieoddający pożyczek mogą doprowadzić do bankructwa każdy bank, ale w typowej sytuacji, gdy dłużnik nie chce bądź nie może oddać pieniędzy, wierzyciel może zabezpieczyć swoje interesy, odwołując się do państwowego wymiaru sprawiedliwości. Wszystko się zmienia, gdy dłużnikiem jest monarcha – uosobienie państwa i najwyższy sędzia w kraju. Pożyczanie pieniędzy komuś, kto zawsze może po prostu odmówić oddania długu, a nawet zgładzić wierzyciela, jest niezwykle ryzykownym przedsięwzięciem. Do pożyczania władcom nie było więc wielu chętnych. Tymczasem wraz z końcem średniowiecza potrzeby finansowe państwa wprost eksplodowały.

—

HISTORYCY WCIĄŻ spierają się w kwestii tego, kiedy właściwie skończyło się średniowiecze. Często podawaną cezurą jest rok 1492, czyli moment odkrycia Ameryki przez Kolumba. Nie był on pierwszym Europejczykiem, który dotarł do Nowego Świata, ale dzięki wynalazkom takim jak busola, astrolabium i kwadrant czy trzymasztowa karaka dokonanie Kolumba miało diametralnie inne skutki niż przepłynięcie Atlantyku przez wikingów pod koniec X wieku i zasiedlenie przez nich terenów współczesnej Nowej Fundlandii i Grenlandii. Nowe rozwiązania radykalnie zmniejszały ryzyko związane z transoceanicznym transportem dóbr, dzięki czemu stawał się on opłacalny.

Inni historycy za koniec średniowiecza uznają rok 1494, to wtedy bowiem wybuchła pierwsza z wojen włoskich, czyli pierwszy konflikt zbrojny, w którym o zwycięstwie decydowała sprawność w stosowaniu muszkietów, arkebuzów i artylerii. Nowe techniki obróbki prochu pozwalały na strzelanie z armat żelaznymi kulami, które leciały dalej i czyniły większe spustoszenie niż stosowane wcześniej pociski kamienne. O piorunujących efektach wykorzystania armat możemy przeczytać u historyka wojskowości Maxa Boota:

> *Neapolitańczycy posmakowali siły wroga w październiku 1494 roku, kiedy (…) okupowany przez nich zamek w Mordano [na przedmieściach Bolonii] został zaatakowany przez oddziały Karola VIII. Mogli się spodziewać, że utrzymają tę fortecę tygodniami, miesiącami, a może i latami. Jednak potęga trzech tuzinów francuskich dział pokonała zamkowe mury w trzy godziny. Francuzi wtargnęli do środka i wymordowali wszystkich, po czym ruszyli w Toskanię, gdzie kolejne fortece*

eprasa.pl dce24a0826

zdobywali z szokującą łatwością. (…) zamek na Monte San Giovanni, który wcześniej przetrwał siedem lat oblężenia, zdobyli w osiem godzin. (*War Made New: Technology, Warfare, and the Course of History, 1500 to Today*)

Ręka uzbrojona w nowoczesną broń palną mogła zabijać skuteczniej niż kiedykolwiek wcześniej, a nowoczesne okręty pozwalały jej sięgać po bogactwa całego świata. Dla naszej opowieści pierwszorzędne znaczenie ma jednak to, że obie te technologie były zabójczo kosztowne – i to w najdosłowniejszym sensie: ten, kto nie mógł wysupłać na nie pieniędzy, umierał. Choć finansowanie wojen, jak już zauważyliśmy, zawsze było źródłem problemów dla władców antyku i średniowiecza, zmiana technologiczna spowodowała, że problem ten zyskał nową skalę. W latach 1530–1710 liczebność europejskich armii wzrosła średnio dziesięciokrotnie, a koszty ich utrzymania – jeszcze bardziej: jeden siedemnastowieczny wystrzał armatni kosztował bowiem tyle, ile miesiąc żołdu piechura. W rezultacie już w połowie XVI wieku poziom zadłużenia europejskich państw wynosił około 60 procent wartości całej rocznej produkcji na kontynencie – czyli tyle, co w typowych współczesnych gospodarkach rozwiniętych.

W nowej rzeczywistości rosły zarówno potencjalne korzyści ze sprawnego państwa, jak i koszty jego budowy i obrony. Jak piszą ekonomista Charles Calomiris i historyk Stephen Haber:

Zwiększona skala i częstotliwość nowożytnej wojny postawiła monarchów w trudnej sytuacji. Musieli oni znaleźć nowy sposób, aby perspektywa pożyczenia im pieniędzy była atrakcyjna dla dużej grupy ludzi. Nie było to łatwe, przede wszystkim z powodu tego, jak wiele władzy leżało w ich rękach. Potencjalni pożyczkodawcy mieli prawo zastanawiać się, czy odzyskają pieniądze od kogoś, kto ma w ręku zarówno broń, jak i prawo, i wstrzymywać się od pożyczania pieniędzy swoim władcom. Tymczasem dla tych ostatnich stworzenie wiarygodnego systemu długu publicznego było sprawą życia i śmierci. (*Fragile by Design: The Political Origins of Banking Crises and Scarce Credit*)

W nowej sytuacji warunkiem utrzymania władzy stało się podzielenie się nią, przede wszystkim poprzez zwiększenie kontroli, jaką wierzyciele sprawowali nad polityką państwa. Niderlandzkie Stany Generalne czy brytyjski parlament były ciałami zrzeszającymi istotniejszych wierzycieli państwa, którzy w zamian za wspieranie wysiłków wojennych swoich władz mogli wpływać na rządowe podatki, pożyczki i wydatki. Trochę inaczej wyglądało to we Francji, gdzie Stany Generalne były zwoływane wyjątkowo rzadko i zdominowane przez posiadaczy ziemskich, a nie kupców, bankierów, mieszczan i innych wierzycieli francuskiej korony. Działały tam jednak parlamenty, czyli – wbrew nazwie – sądy, które rejestrowały królewskie rozporządzenia, nadając im moc prawną. To właśnie odmowa zarejestrowania przez paryski parlament nowych podatków zaowocowała konfliktem z królem Ludwikiem XIV, w trakcie którego miał wypowiedzieć słynne zdanie: „Państwo to ja". Podczas kolejnego sporu monarcha po prostu rozwiązał paryski parlament i skonsolidował całą władzę w swoich rękach. Zwycięstwa nad krajowymi mieszczanami Ludwik XIV okupił jednak kolejnymi przegranymi wojnami z lepszymi w pożyczaniu pieniędzy Brytyjczykami.

Średniowieczny król mógł wytoczyć wojnę przez pożyczenie pieniędzy od kilku zaufanych kupców.

Zwiększenie roli ciał parlamentarnych, w których zasiadali wierzyciele państwa, było jednak tylko jednym z elementów nowej konstelacji polityczno-finansowej. Niemniej znaczące było powstanie rynku wtórnego na dług publiczny, czyli uczynienie z pożyczania pieniędzy władcy sprawy publicznej. Dzięki istnieniu takiego rynku wierzyciel monarchy, który z jakiegoś powodu wolał mieć gotówkę w ręku niż przyrzeczenie zwrotu długu wraz z odsetkami kiedyś w przyszłości, mógł odsprzedać wystawiony mu przez króla weksel dowolnej osobie, która wolała mieć królewską obietnicę zwrotu pieniędzy wraz z odsetkami kiedyś w przyszłości niż gotówkę w ręku teraz. Możliwość handlu królewskimi wekslami (czyli po prostu: państwowymi obligacjami) pozwoliła wycofywać się z pożyczek, gdy zaufanie do wypłacalności rządu spadało. Ceny obligacji malały, gdy wierzyciele przestawali ufać polityce państwa, i rosły, gdy z powrotem zaczynano wierzyć w jego wypłacalność. Jak pisał historyk Niall Ferguson: „Jeśli inwestorzy podbijali ceny rządowych papierów wartościowych, rząd mógł spać spokojnie. Jeśli pozbywali się ich, było bardzo prawdopodobne, że nie tylko pieniądze rządu zostały policzone, ale i jego dni".

Średniowieczny król mógł wytoczyć wojnę przez pożyczenie pieniędzy od kilku zaufanych kupców. Zmiana technologiczna wpłynęła na warunki, jakie trzeba było spełniać, by przetrwać – nowoczesne państwa musiały pożyczać znacznie więcej pieniędzy od znacznie większej liczby osób. Już w 1650 roku liczba inwestorów lokujących swoje oszczędności w holenderskim długu publicznym wynosiła ponad 65 tysięcy. W 1710 roku brytyjskie obligacje posiadało około 11 tysięcy osób, a dekadę później niemal 40 tysięcy. Sto lat później w obligacje brytyjskie inwestowało już ćwierć miliona osób.

W pewnym sensie zainwestować w obligacje państwa znaczyło stać się jego udziałowcem. Inwestorzy zaczynali odgrywać rolę nowego suwerena – bez ich wsparcia żadne państwo nie mogło przetrwać. Jak pisał historyk gospodarczy Carl Wennerlind:

Kredyt publiczny przestał być prywatną sprawą korony i kilku bogatych finansistów. Teraz był przedmiotem

eprasa.pl dce24a0826

kapryśnego osądu publicznego. (…) Pożyczanie pieniędzy państwu nie oznaczało już wejścia w długoterminową i osobistą relację z władcą. Wierzyciele mogli teraz sprzedawać swoje aktywa finansowe za każdym razem, kiedy ich opinia na temat rządu się zmieniała. Kredyt publiczny zaczął zależeć od tego, jak opinia publiczna oceniała możliwości państwa w zakresie obsługi długu. (…) Opinia publiczna stała się arbitrem zdolności kredytowej państwa, w efekcie decydując o sprawach takich jak angielskie kampanie imperialne, administrowanie budżetem, uchwalanie praw czy wybór ministrów. (*Casualties of Credit: The English Financial Revolution, 1620–1720*)

Po raz pierwszy w historii Europy jej losy zależały więc od opinii publicznej – samo to pojęcie zresztą właśnie wtedy zaczęło wchodzić do powszechnego użycia. Nie dziwi zatem, że już w roku 1710 w Wielkiej Brytanii działała zatrudniona przez ministra skarbu grupa propagandystów, którzy za rządowe pieniądze pisali pochlebne felietony o stanie finansów państwa i samej instytucji długu publicznego. Należeli do niej na przykład Jonathan Swift czy Daniel Defoe. Po opłaconym na kredyt zwycięstwie z Francją Ludwika XIV łatwo było natrafić w prasie na głosy, że „długi publiczne są częścią konstytucji", „narodowym dobrem, (…) arcydziełem ludzkiej polityki" i „przedmurzem państwa". Najgłośniejszy sprzeciw wobec nowej architektury finansów państwa artykułowali niektórzy właściciele ziemscy, widząc w papierowych fortunach formę bogactwa szkodliwą, bo wolną od odpowiedzialności społecznej, którą – jak twierdzili – sami byli obciążeni przez posiadanie ziemi. Inni brytyjscy arystokraci protestowali przeciwko finansom jako ścieżce awansu dla obcych (Holendrów, Francuzów, Żydów) i ludzi nisko urodzonych. Głosy te nigdy jednak nie nabrały mocy, prawdopodobnie z tego prostego powodu, że mimo okazjonalnych przypadków self-made manów finansjera była zdominowana przez stare brytyjskie elity.

—

Z TEJ PERSPEKTYWY łatwiej zrozumieć, dlaczego przez setki lat tak dużą rolę mogły odgrywać wolne miasta czy miasta-państwa, takie jak Genua, Florencja czy jedna z największych potęg średniowiecznej Europy: Wenecja. Otóż miasta zarządzane przez mieszczańskie komuny były po prostu w stanie pożyczać pieniądze znacznie taniej niż feudalni monarchowie. Wierzyciele mieli bowiem o wiele większą kontrolę nad polityką swoich miast niż nad decyzjami monarchów. Badania dziekana nauk społecznych na Uniwersytecie Nowojorskim Davida Stasavage'a wskazują, że „najlepszą receptą na uzyskanie kredytu było ustanowienie kupieckiej oligarchii". Każdy inny system, czy to oparty na monarszej władzy absolutnej, czy to na parlamencie reprezentującym właścicieli ziemskich, powodował, że wierzyciele mniej chętnie (a więc i drożej) finansowali działania wojenne. Najchętniej pożyczali wtedy, kiedy mieli wpływ na to, jak ich pieniądze zostaną wydane.

Konieczność finansowania miast-państw poprzez dług publiczny do dziś widać na mapie Wenecji. Wciąż obowiązujący tam podział na sześć dzielnic został ustanowiony w 1172 roku w celu rozliczenia *prestiti*, czyli „pożyczki" ściągniętej przymusowo od bogatszych obywateli w zamian za obligacje obiecujące kilka procent rocznie i wypłacane do czasu zwrotu pożyczki. Pożyczka ta, mająca na celu sfinansowanie wojny z Bizancjum, oczywiście nigdy nie została spłacona – co w przypadku długu publicznego jest regułą, od której w historii było niewiele odstępstw. Przez kolejne stulecia Republika Wenecka zaciągała u swoich obywateli kolejne pożyczki, wydając w zamian oprocentowane obligacje. Z założenia miały one nigdy nie być wykupione przez miasto, ale wolno było nimi handlować – co działo się na słynnym Moście Rialto, niedaleko domu Marca Polo. Mówi się czasem, że stanowiły one rodzaj papierowego pieniądza przynoszącego – podobnie jak dzisiejsze obligacje skarbowe – co roku niewielki procent. Ceny *prestiti*, podobnie jak współczesnych obligacji, wahały się w zależności od wiary inwestorów w to, że miasto będzie honorować obietnicę procentu od nich. Interesu posiadaczy obligacji, czyli wierzycieli, bronili oni sami – od 1231 roku Wielka Rada, czyli naczelny organ republiki zrzeszający kilkuset najzamożniejszych kupców,



eprasa.pl dce24a0826

wybierała spośród siebie kilku prokuratorów, których zadaniem było nadzorowanie finansów publicznych Wenecji. Cały skumulowany dług publiczny Wenecjanie nazywali *monte vecchio*, czyli dosłownie „stara góra". Góra ta rosła przez ponad 600 lat, a główną przyczyną wypuszczania obligacji była niezmiennie potrzeba finansowania kolejnych wojen. Ostatnia partia została sprzedana w 1797 roku, a więc tuż przed tym, jak Wenecję podbił Napoleon. Miasto to nie było żadnym wyjątkiem – podobnie z finansami publicznymi radziły sobie inne włoskie republiki kupieckie. Emisja długu publicznego we Florencji w XV wieku odpowiadała za dwie trzecie przychodów władz miasta, a cały dług, nazywany tam *monte comunale* – „górą publiczną" – przewyższał połowę florenckiego PKB.

Transformacji sposobu pożyczania pieniędzy przez państwo towarzyszyła też przemiana samego państwa. O ile państwa średniowiecza były przedsięwzięciami, za pomocą których jedna rodzina starała się skolonizować ludność miejscową, o tyle państwa nowożytne wspierały wiele miejscowych rodzin w kolonizowaniu reszty świata. Od czasu podboju Anglii przez Normanów w 1066 roku kolejni władcy Anglii byli *de facto* właścicielami kraju i największymi – obok Kościoła – posiadaczami ziemskimi. Siedem wieków później królewskie ziemie zostały przekazane pod kontrolę parlamentu, który w zamian zobowiązał się utrzymywać rodzinę władcy. Król Ryszard Lwie Serce był w zasadzie właścicielem Anglii i według swojego uznania dzielił się ziemią i wpływami z wybranymi poddanymi. Królowa Wiktoria pełniła już tylko (albo aż) funkcję administratorki brytyjskiego wysiłku imperialnego, której wola była ograniczana przez wszystkich dorzucających się do kosztów utrzymania tego wysiłku. Mówiąc jeszcze inaczej, o ile państwo średniowieczne było zawsze najważniejszą machiną gospodarczą na danym terytorium, o tyle państwo nowożytne wycofywało się z pozycji centralnego przedsięwzięcia ekonomicznego, zadowalając się organizacją warunków sprzyjających dla szeregu innych przedsięwzięć. Nowoczesny kolonializm, albo jak to nazwał historyk John Brewer, „imperializm sprywatyzowany", nie był już prywatną wyprawą wodza wikingów w celu podbicia wybrzeży Ameryki, ale publicznym przedsięwzięciem, w którym każdy mógł wziąć udział dzięki wykupieniu obligacji państwa lub udziałów w jednej z kolonialnych spółek.

Najważniejszą z nich była działająca w latach 1600–1874 Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska – spółka akcyjna, która podbiła Półwysep Indyjski (rząd przejął od tej prywatnej firmy kontrolę nad Indiami dopiero w połowie XIX wieku). Jak pisał magazyn „Forbes": „Kompania Wschodnioindyjska to pokój sto jeden dla wszystkich naszych ekonomicznych niepokojów. Była wszechwładną międzynarodową korporacją, której boją się lewicowcy, była amoralną maszyną goniącą za zyskiem, jaką gardzą konserwatyści, była tworem kolesiowskiego kapitalizmu, jakiego nie znoszą liberałowie. Biznes, machina wojenna, monopolista i kolonizator w jednym".

W szczytowym momencie korporacja ta utrzymywała pod bronią ponad ćwierć miliona żołnierzy – dwa razy więcej, niż liczyła państwowa armia brytyjska. Olbrzymią większość armii Kompanii stanowili najemnicy rekrutowani już na miejscu, na Półwyspie Indyjskim – opłacani pieniędzmi pożyczonymi od indyjskich bankierów. Co niezwykłe, przez długi czas w londyńskim biurze Kompanii pracowało jedynie trzydzieści pięć osób.

Z Brytyjską Kompanią Wschodnioindyjską konkurowały bliźniacze firmy założone we Francji, w Portugalii, Danii i Holandii. Statut Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej mówił wprost, że „wszyscy mieszkańcy tych ziem mogą kupić akcje Kompanii", a tym samym partycypować finansowo zarówno w ryzyku, jak i w korzyściach płynących z podboju świata. Wiemy, że na przykład służąca jednego z dyrektorów Kompanii zainwestowała w jej akcje oszczędności warte niemal roczną pensję. Nowy Świat podbijany był natomiast z udziałem Holenderskiej Kompanii Indii Zachodnich, Kompanii Rosyjsko-Amerykańskiej, Duńskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej czy – istniejącej do dzisiaj! – Kompanii Zatoki Hudsona. Pierwsze stałe osadnictwo Anglików w Ameryce było dziełem Kompanii Wirgińskiej. Wszystkie one były prywatnymi przedsięwzięciami biznesowymi, które otrzymywały od państwa monopol na handel z podbijanymi przez siebie terenami.

Nowoczesny kolonializm nie był już prywatną wyprawą wodza wikingów w celu podbicia wybrzeży Ameryki, ale publicznym przedsięwzięciem, w którym każdy mógł wziąć udział.

—

MÓWI SIĘ CZASEM, że ideały oświeceniowej demokracji narodziły się wraz z przeniesieniem życia towarzyskiego z tawern do pierwszych kawiarni, gdzie mężczyźni dyskutowali na tematy bieżące, korzystając z umysłu wyostrzonego kofeiną, a nie zmąconego alkoholem. Rzeczywiście, kawiarnie były w XVII wieku postrzegane jako miejsca otwartej debaty, a w 1675 roku król Karol II zarządził nawet zamknięcie wszystkich kawiarni w królestwie. W jego Proklamacji dla stłumienia kawiarni czytamy: „Wielość kawiarni w ostatnich latach założonych i prowadzonych przynosi bardzo złe i niebezpieczne skutki. Kupcy i inni spotykają się w nich i źle pożytkują swój czas, z którym mogliby pewnie zrobić co pożytecznego i zgodnego z prawem. A w kawiarniach tych ludzie ci się spotykają i rozpuszczają fałszywe i złośliwe opinie, zniesławiając Rząd Jego Królewskiej Mości". Za niezastosowanie się do zakazu sprzedawania „kawy, czekolady i herbaty" groziły „najcięższe kary prawem przewidziane". Zakaz utrzymał się jednak tylko przez dwa dni, bo tyle czasu potrzebował król, żeby zorientować

eprasa.pl dce24a0826

się, że zamknięcie kawiarni przysparza mu większej liczby przeciwników niż otwarte lokale. Opowieść o wpływie środków psychoaktywnych na losy świata działa na wyobraźnię (i być może nie jest całkiem fałszywa), ale prostszym wyjaśnieniem transformacji ustrojowej jest nie to, co panowie przesiadujący w kawiarniach pili, ale w czym trzymali swoje oszczędności: w obligacjach skarbowych i na giełdzie.

Suwerenem, który wysadził z siodła średniowiecznych monarchów, był rynek finansowy. Od momentu, kiedy losy wojen zaczęły zależeć od opinii przesiadujących w kawiarniach mężczyzn na temat poczynań rządu, to oni stali się ostateczną instancją decydującą o tym, jaka polityka jest możliwa. W XIX wieku o brytyjskim banku Rothschildów, największym w epoce, mówiło się, że żadna wojna nie może się odbyć bez jego zgody. Choć faktycznie głównym źródłem zysku rodziny było finansowanie wojen, takie opinie przeceniały jej oddziaływanie na światową politykę. Rothschildowie nie mieli monopolu na handel długiem publicznym – byli tylko najbardziej znanymi pośrednikami pomiędzy inwestorami w publiczne obligacje a rządami. Używali swoich wpływów w tym samym celu, co inni międzynarodowi bankierzy, czyli po prostu robili, co mogli, by zabezpieczyć interesy swoich klientów. Wciąż potrafiło mieć to daleko idące konsekwencje – na przykład reforma konstytucyjna poszerzająca uprawnienia parlamentu Austrii w połowie XIX wieku wynikała z nieufności wierzycieli do arbitralnej władzy monarszej.

Specyficzna relacja między inwestorami a demokracją utrzymuje się do dzisiaj. Mimo że demokracja w sensie powszechnego dostępu do praw wyborczych rozwinęła się w ostatnich trzech stuleciach bardziej, niż ktokolwiek mógł się tego spodziewać w momencie budowy Banku Anglii, jej ostateczne granice wciąż są w dużej mierze wytyczane przez rynki finansowe. Kilka lat temu Angela Merkel mówiła wyjątkowo otwarcie: „To prawda, żyjemy w demokracji. I cieszymy się z tego. Jest to demokracja parlamentarna, co znaczy, że ustalanie budżetu jest jedną z głównych kompetencji parlamentu. Dlatego znajdziemy sposób, żeby zorganizować prace parlamentu tak, aby były one zgodne z oczekiwaniami rynku. Wiem, że nasi specjaliści od budżetu są świadomi tej odpowiedzialności". W 2007 roku sprawę jeszcze mocniej postawił Alan Greenspan, ówczesny prezes Fed [Rezerwy Federalnej, czyli amerykańskiego banku centralnego – przyp. red.]. Pytany o to, którego kandydata popiera w wyborach prezydenckich, odpowiedział, że jego głos nie ma znaczenia, ponieważ „mamy szczęście żyć w czasach, w których polityka w Stanach została zastąpiona w dużej mierze przez światowe rynki. Pomijając kwestię bezpieczeństwa narodowego, to, kto zostanie kolejnym prezydentem, naprawdę nie robi różnicy". Słynna jest też wypowiedź głównego stratega prezydenta Billa Clintona. W 1993 roku w wywiadzie dla „The Wall Street Journal" zażartował: „Kiedyś myślałem sobie, że jeśli reinkarnacja istnieje, chciałbym wrócić na ziemię jako prezydent, papież albo genialny baseballista. Dzisiaj już wiem, że chciałbym wrócić jako rynek obligacji – wtedy mógłbym podporządkować sobie każdego".

Bank Anglii inwestował w brytyjski wysiłek wojenny w zamian za obietnicę zysku oraz prawo do emisji pieniądza o wartości 1,2 miliona funtów.

Współcześni demokraci, szczególnie ci o lewicowych przekonaniach, od lat oburzają się na podobne wypowiedzi. Twierdzą, że nie wynikają one wcale z rzeczowej oceny stanu faktycznego, ale z chęci pacyfikowania projektów politycznych, które nie podobają się bankierom, inwestorom i kapitalistom. Mają oni swoje racje, szczególnie kiedy weźmiemy pod uwagę, że „globalne rynki finansowe" nie są ani bezosobową, ani apolityczną siłą, ale przestrzenią konstruowaną przez całkowicie polityczne instytucje w rodzaju Międzynarodowego Funduszu Walutowego czy najważniejszych banków centralnych. Kiedy w 2005 roku premier Wielkiej Brytanii Tony Blair mówił, że „debatowanie o globalizacji to jak debatowanie o tym, czy po lecie powinna przychodzić jesień", robił to nie dlatego, że globalizacja rzeczywiście wynika z praw przyrody, ale po to, by przekonać brytyjskich wyborców do – wedle jego własnych słów – „otwartej, liberalnej gospodarki, gotowej zmieniać się wciąż, by utrzymać konkurencyjność".

Zarazem byłoby naiwnością twierdzić, że wypowiedzi Merkel, Greenspana i Blaira były jedynie sztuczkami retorycznymi. Niewygodny dla demokratów jest fakt, że to właśnie rynek finansowy stanowi mechanizm, który ustawił średniowieczne państwa na drodze do demokracji. To rynek dał impuls do ograniczenia arbitralnej władzy królewskiej i demokratyzacji polityki. Możemy tęsknić za władzą, która będzie podejmować decyzje zgodnie z wolą obywateli i obywatelek bez oglądania się na dyktat rynków. Ale to, że władza w ogóle bierze pod uwagę wolę obywateli i obywatelek, wzięło się w Europie właśnie z powodu tego dyktatu. O tej transformacji już w 1767 roku pisał szkocki prawnik James Steuart:

> *[Zadaniem księcia jest] obrona przed zewnętrznymi wrogami za pomocą ciała złożonego z mężczyzn opłacanych regularnie i utrzymywanych z publicznych pieniędzy, ale bez wywoływania żadnych gwałtownych zmian, które mogłyby zaszkodzić przemysłowi, zarówno kiedy konieczne jest zwiększenie liczby żołnierzy, aby prowadzić wojnę, której nie da się uniknąć (…). Kiedyś mechanizmy władzy były mniej złożone, lecz teraz są ograniczane przez skomplikowany system współczesnej gospodarki (…). Gdyby państwo jakimikolwiek arbitralnymi operacjami doprowadziło do spadku wartości funta szterlinga, czy Europa nie powiedziałaby, że parlament brytyjski oszukał swoich wierzycieli? A gdyby operacje te miały przeciwny skutek, czy Europa nie*

eprasa.pl dce24a0826

powiedziałaby, że ograbiony został naród? (...) W przeszłości władza książęca podobna była do solidnego i silnego klina, którym można było rozbijać twarde drewno czy kamień zgodnie z wolą księcia. Wkrótce będzie ona przypominać zegar, który służy tylko do mierzenia upływu czasu i który ulega zniszczeniu, jeśli spróbuje się go użyć do innych celów lub gdy dotknie się go ręką niedelikatną. Współczesna gospodarka jest więc najbardziej skuteczną uzdą przeciwko szaleństwom despotów. (*An Inquiry Into the Principles of Political Oeconomy*)

Dlatego też, jak pisał Stefan Eich, „zamiast stawiać pieniądze w opozycji do demokracji, będziemy musieli stworzyć alternatywne wizje bardziej demokratycznej polityki pieniądza i wypracować lepszy, demokratyczny język dotyczący jego siły". Znaczyłoby to, że droga do demokratyzacji polityki wiedzie nie przez odrzucenie argumentów polityków, którzy wskazują na ograniczenia swojej władzy przez rynki finansowe, ale przez przyjęcie, że wiedzą, co mówią, bo rzeczywiście pomiędzy demokracją a rynkami finansowymi istnieją głębokie i nieoczywiste relacje. Dopiero po uznaniu tego faktu można go przekroczyć i szukać sensowniejszych sposobów na skonstruowanie tej relacji. Obrona bliżej nieokreślonego ideału „demokracji" przed „kapitałem" to w najlepszym wypadku tylko ślepa uliczka, w której odnajdą się ludzie szukający nie sprawczości, ale poczucia moralnej wyższości. Natomiast w gorszym wypadku – dobrze znanym z dwudziestowiecznej historii – prowadzi ona do faszyzmu, który obiecuje wcielenie w życie woli wspólnoty bezpośrednio, z pominięciem skorumpowanych instytucji demokracji liberalnej.

—

W SIEDEMNASTOWIECZNEJ Anglii ludzie, by nie trzymać monet lub innych kosztowności w domu, często składali je u jubilera, który przechowywał je w swoim sejfie. Klient za drobną opłatą otrzymywał spokój ducha i rachunek uprawniający do odbioru złożonej tam kwoty – podobnie jak dostaje się go dzisiaj po oddaniu ubrania do pralni chemicznej. Najwcześniejszy znany nam rachunek tego typu został wystawiony niejakiemu Laurence'owi Hoare'owi w 1633 roku i mówi się czasem, że był to pierwszy brytyjski banknot, ponieważ mógł on krążyć jako papierowy pieniądz wśród wszystkich ludzi, którzy ufali w wypłacalność jubilera.

Prawdziwa rewolucja wydarzyła się jednak mniej więcej trzydzieści lat później, kiedy – jak pisał historyk Hartley Withers – „genialny jubiler wpadł na epokowy pomysł, żeby wydawać tego rodzaju rachunki nie tylko tym, którzy składali w jego sejfie kosztowności, lecz także tym, którzy przychodzili po pożyczkę. Tym samym stworzył nowoczesną bankowość". Wypisując rachunek upoważniający okaziciela do wypłaty pewnej ilości złota z jubilerskiego sejfu, jubiler emitował papierowy pieniądz. Był już nie tylko jubilerem, lecz także bankierem. A tak długo, jak ludzie przedkładali wygodę posługiwania się podpisanym przez niego papierem nad posiadanie złota w kieszeni i nie zgłaszali się po wypłaty, możliwości emisji takiego pieniądza były w zasadzie nieograniczone.

Co ciekawe, z punktu widzenia prawa jubilerzy popełniali przestępstwo. Wystawiane przez nich rachunki poświadczały bowiem, że odpowiadają złożonym w sejfie depozytom – co w przypadku rachunków wystawianych na kredyt było po prostu fałszerstwem. Władza państwowa przymykała jednak na to oko, być może dlatego że pierwsi bankierzy-jubilerzy nie tylko pożyczali jej pieniądze, lecz także sami byli aktywnymi politykami.

Sześćdziesiąt lat po emisji pierwszego znanego nam banknotu jubilerskiego, w 1694 roku, Anglia pilnie potrzebowała pieniędzy na wojnę z Francją, a wiarygodność króla Wilhelma III tak spadła, że nie był on w stanie ich pożyczyć. Na kreatywne rozwiązanie tego problemu

1,5%



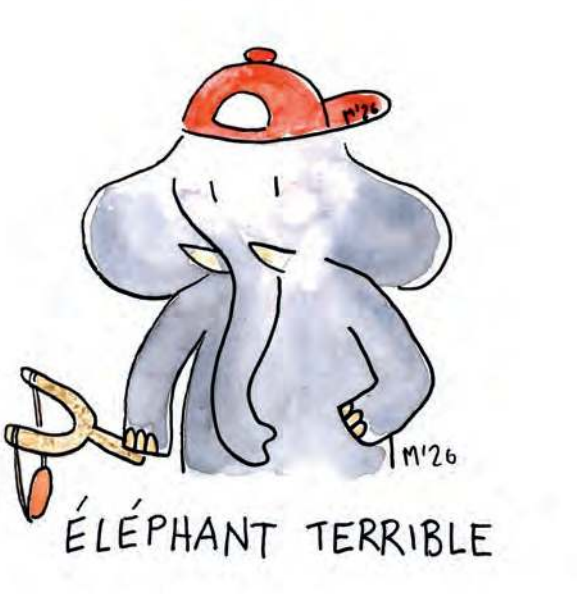
Wspieraj rzetelne dziennikarstwo i w swoim rozliczeniu podatkowym wpisz nasz KRS 0000689263.

eprasa.pl dce24a0826

wpadł kolega Isaaca Newtona, arystokrata Charles Montagu. Polegało ono na powołaniu do życia Banku Anglii, czyli prywatnej spółki, która miała podarować koronie 1,2 miliona funtów w zamian za 8% odsetek rocznie od całej tej kwoty oraz prawo do emisji banknotów o tej samej wartości. Mówiąc inaczej: Bank Anglii inwestował w brytyjski wysiłek wojenny w zamian za obietnicę zysku w wysokości niecałych 100 tysięcy funtów rocznie oraz prawo do emisji pieniądza o wartości 1,2 miliona funtów. Propozycja króla brzmiała tak: dajcie mi milion funtów, a ja nie tylko będę płacił wam za to co roku 8%, lecz także od razu pozwolę wam ten milion odzyskać poprzez druk banknotów. Parlament za jednym zamachem powołał do życia Bank Anglii i ustanowił nowy podatek od handlu morskiego, którego jedynym celem była spłata królewskiego długu wobec tej instytucji. Nic więc dziwnego, że nagle pojawili się chętni, by sfinansować wojnę z Francją. Jak pisze Goldstein, „Tak samo jak w przypadku Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, każdy, kto chciał w ten bank zainwestować, mógł to zrobić. A okazało się, że chciało wielu: kupcy i farmerzy, marynarze i wikariusze. (…) jedenaście dni po tym, jak otwarto zapisy na akcje banku, cała suma została zebrana. Ostatnią inwestorką była Judith Shirley z Sussex, która zainwestowała 75 funtów" – równowartość współczesnych 12 tysięcy funtów. Przy czym warto ten obrazek osadzić w odpowiednim kontekście: ponad 90% akcji zostało wykupionych przez inwestorów dysponujących znacznie większymi kapitałami od pani Shirley.

Dzięki zastrzykowi pieniędzy królowi Wilhelmowi udało się przeważyć szalę zwycięstwa na swoją stronę, choć Michael Godfrey, zastępca gubernatora Banku Anglii, przypłacił to zwycięstwo głową, gdy w trakcie nadzorowania wypłat dla walczących we Flandrii żołnierzy ciekawość zawiodła go na pierwszą linię frontu, gdzie został zdekapitowany przez francuską kulę armatnią. Przez kolejne lata Bank Anglii raz za razem rozwiązywał finansowe kłopoty rządu, powoli stając się najważniejszym pośrednikiem pomiędzy wierzycielami korony a królem, za co był wynagradzany kolejnymi przywilejami. W 1697 roku otrzymał monopol na działalność swojego typu, a także prawo do przyjmowania depozytów, emisji nowych banknotów i wykupywania za nie weksli. W tym samym roku akcje Banku Anglii zostały określone jako „własność osobista", a tym samym zwolnione z opodatkowania. Wkrótce potem wprowadzono karę śmierci za fałszowanie banknotów banku – a więc objęto je taką samą ochroną jak monety emitowane przez Isaaca Newtona w Mennicy Królewskiej. W latach 1694–1844 statut Banku Anglii był odnawiany przez parlament dziewięć razy. Łatwo odnieść wrażenie, że procedura ta służyła temu, by rząd dostał nową pożyczkę na wyjątkowo korzystnych warunkach, a bank – nowy przywilej. W 1776 roku Adam Smith pisał, że „stabilność Banku Anglii jest równa stabilności brytyjskiego rządu. (…) działa on nie tylko jako zwykły bank, lecz także jako wielki silnik państwa". Bank Anglii już wtedy był kluczowym graczem angielskiej polityki, niezbędnym do finansowania kolejnych przedsięwzięć brytyjskiej korony. Proces ten zwieńczyła ustawa z 1833 roku, która nadała ostatecznie banknotom banku status oficjalnego środka płatniczego, a więc uczyniła je pieniądzem obowiązującym w całym kraju, którego przyjęcia nie mógł odmówić nikt, łącznie z poborcą podatkowym. Aby symbolicznie podkreślić prymat pieniądza kreowanego na podstawie prywatnego kredytu nad pieniądzem emitowanym przez państwo, w trakcie wznoszenia fundamentów Banku Anglii zakopano w nich leszczynowe rewasze – ten symboliczny gest nie odebrał im jednak użyteczności, więc bank jeszcze długo korzystał z nich zarówno do prowadzenia wewnętrznej księgowości, jak i do zbierania zapisów na swoje akcje.

Nowy sojusz państwa i bankierów, choć kluczowy dla przejścia z gospodarki feudalnej do kapitalistycznej, nie był wcale tworzony w interesie lokalnych kapitalistów. Równolegle z powołaniem do życia Banku Anglii dyskutowano konkurencyjny model, bardziej zdecentralizowany i przedkładający potrzeby handlarzy i producentów nad interesy wierzycieli rządu i samego rządu. Projekty te zostały odrzucone w Londynie, ale przyjęte w Edynburgu, co może być o tyle zaskakujące, że na czele obu państw stał ten sam człowiek – Wilhelm Orański. Historycy gospodarczy tłumaczą tę różnicę tym, że pod koniec



eprasa.pl dce24a0826

XVII wieku Szkocja była znacznie biedniejsza od Anglii, przez co niezależnie od architektury pieniądza nie była atrakcyjnym źródłem finansowania królewskich wojen. Na dodatek członkowie szkockiego parlamentu nie identyfikowali się z imperialnymi ambicjami monarchy w takim samym stopniu, jak parlamentarzyści zasiadający w Westminsterze. Wygląda więc na to, że król Wilhelm uznał, że gra o zamianę szkockiego pieniądza w maszynę finansującą wojnę jest niewarta świeczki. Nawet po połączeniu w 1707 roku obu parlamentów w jeden systemy finansowe szkocki i angielski pozostały rozdzielone. Architektura angielskiego pieniądza miała na celu finansowanie rządowych wojen, a nie rozwój lokalnej gospodarki. W efekcie angielscy handlarze i producenci byli niejako zakładnikami układu pomiędzy imperialnym rządem a wierzycielami go finansującymi, o czym sami mówili, nieraz głośno protestując przeciwko monopolistycznej pozycji Banku Anglii. Jednak, jak zauważył już w 1767 roku obserwator tych wydarzeń: „Od czasu, kiedy Bank Anglii stał się podstawą narodowego kredytu, znalazł się on pod najbardziej dokładną ochroną każdego ministra – i nie bez powodu". (...)

—

JEŚLI MOŻEMY powiedzieć, że pierwsze starożytne monety były rodzajem technologii militarnej, podobnie nazwiemy nowoczesny system pieniądza papierowego, ufundowanego na długu publicznym służącym sfinansowaniu wojny. A jeśli historię europejskiego pieniądza można przedstawić schematycznie jako wielusetletni konflikt między pieniądzem prywatnym a państwowym, narodziny Banku Anglii uznajmy za kończący go kompromis. Był to początek systemu pieniądza prywatnego uznawanego przez państwo, które w zamian otrzymywało środki na swoje wojny. Ekonomista Felix Martin pisze: „Bankierzy zaczęli użyczać suwerenowi swojego kredytu – a on zaczął użyczać im swojej władzy. To, co siali, pożyczając mu pieniądze, zbierali po stokroć, korzystając z nowego przywileju tworzenia pieniędzy prywatnych, ale uznawanych i popieranych przez suwerena". (...)

Nowy pieniądz był w większym stopniu pieniądzem kapitalizmu imperialnego niż przemysłowego. Jego wartość zależała w dużej mierze od tego, jak radziły sobie kompanie podbijające wtedy świat. W trakcie ekspansji Stanów Zjednoczonych na zachód banki Karoliny Południowej, Pensylwanii i Nowego Jorku emitowały pieniądze oparte na nadziei, że ten podbój się powiedzie.

Sparafrazujmy: banki emitowały papierowy pieniądz, by wypłacać go za zabijanie ludzi, których ziemię można było następnie wykupić za ten sam pieniądz. Teza McNally'ego, że kryzys w roku 1792 został wywołany przez porażkę w bitwie nad rzeką Wabash, nie jest powszechnie akceptowana, jednak największe kryzysy finansowe epoki, takie jak brytyjska South Sea Bubble czy francuska Missisipi Bubble, bez wątpienia miały źródło w rozdźwięku między nadziejami inwestorów na powodzenie kolonialnych ekspedycji a realnymi, marnymi efektami tych ekspedycji.

Przez setki lat społeczeństwa łowców głów zamieszkujące tereny Nowej Gwinei, Borneo czy północno-wschodnich Indii używały jako waluty czaszek pokonanych wrogów. Niccolò dei Conti, piętnastowieczny podróżnik i kupiec wenecki, tak opisywał zamieszkujące Sumatrę społeczeństwo Bataków: „Są oni w stanie nieustannej wojny ze swoimi sąsiadami. Gdy udaje im się pojmać wroga, odcinają mu głowę, zjadają jego mięso, po czym zatrzymują przy sobie jego czaszkę, by używać jej jako pieniądza. Kiedy chcą coś kupić, płacą za to odpowiednią liczbą głów, a ten, kto ma w domu najwięcej głów, uważany jest za najbogatszego". „Czaszki są pod podłogą" – mówił jeszcze dekadę temu dziewięćdziesięcioletni staruszek ze stanu Nagaland w Indiach, pytany przez reportera National Geographic. „Zakopaliśmy je tam, kiedy zostaliśmy chrześcijanami". „Pewnie to zmiana na lepsze. Wspominając przeszłość, czujesz nostalgię, ciągnie cię do minionych czasów. Mieliśmy mocne obyczaje i tradycje, byliśmy ciasno związani, zawsze ktoś był gotowy pomóc, nikt nie umierał z głodu. Teraz ludzie są jak ptaki, przefruwają z miejsca na miejsce. Nie wiem. Pewnie tamte stare zwyczaje już nie pasują do nowych czasów" – wyjaśniał Chen-O Khuzuthrupa z ludu Konyaków, który w młodości sam zdobył osiem głów. „Smutno mi tylko, że kiedy przyszli misjonarze, wszystko, co nie było zachodnie, nazwali niechrześcijańskim i dzikim". W praktykach łowców głów widać namacalny związek między wojną a pieniądzem, jednak w sposób bardziej zawoalowany także pieniądze, którymi posługiwali się europejscy misjonarze, były – jak to ujął McNally – „bite z krwi".

Banki emitowały papierowy pieniądz, by wypłacać go za zabijanie ludzi, których ziemię można było następnie wykupić za ten sam pieniądz.

Fragment pochodzi z książki Jędrzeja Malko *Porachunki. Polityczna historia pieniędzy*, która ukaże się w lutym nakładem Wydawnictwa Karakter.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego** pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

eprasa.pl dce24a0826



FELIETON // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

O poszukiwaniu wspólnoty i kapitalizowaniu samotności

tekst MAGDALENA BIGAJ

MAGDALENA BIGAJ
(ur. 1984), twórczyni i prezeska Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Autorka książki *Wychowanie przy ekranie*. Medioznawczyni, badaczka i działaczka społeczna. Pomysłodawczyni i współautorka Ogólnopolskiego Badania Higieny Cyfrowej. Laureatka Nagrody Korczaka za działania na rzecz praw dziecka w przestrzeni cyfrowej.

Przyjaciel to ktoś, kto słucha, odpowiada i wspiera" – głosiły napisy na billboardach w nowojorskim metrze. Mieszkańcy zaczęli je jednak zamazywać. Ktoś dopisał: „Nie musimy się godzić na taką przyszłość". Te reakcje wywołała kampania reklamowa start-upu Friend.com – aplikacji AI, kolejnego produktu cyfrowego kapitalizującego nasze poczucie osamotnienia i potrzebę bliskości z drugą osobą.

A surowca w postaci samotności nie brakuje, więc jest na czym zarabiać. Według globalnego badania Gallupa jeden na 4–5 mieszkańców Ziemi odczuwa na co dzień osamotnienie. Oczywiście dwa lata pandemii mają w tych wynikach swój udział, ale na przykładzie badań Gallupa prowadzonych w samych Stanach Zjednoczonych widać, że choć po pandemii odsetek osób odczuwających osamotnienie nieco spadł, aktualnie utrzymuje się już na wyższym poziomie.

Ponad 5,5 miliarda ludzi używa mediów społecznościowych. Korzystają z technologii, która miała służyć do nawiązywania kontaktów z innymi, a mimo to wielu osobom doskwiera samotność. Nie będę oryginalna, twierdząc, że złożona na początku tego wieku obietnica utrzymywania bliskich relacji w przestrzeni cyfrowej już dawno okazała się jedynie chwytem marketingowym platform internetowych. Ludziom pokroju Marka Zuckerberga nigdy zresztą nie przyświecał żaden wyższy cel. Z dzisiejszej perspektywy widać, że zasada *Move fast, break things*, przydatna przy prototypowaniu produktów technologicznych, została zastosowana na dużą skalę przez VLOP-y (ang. Very Large Online Platform). Tylko tymi „popsutymi rzeczami" są teraz rzesze użytkowników, którym zamiast aplikacji społecznościowych zaserwowano media atencyjne czy wręcz reklamowe.

Zresztą największe VLOP-y, jak Facebook, Instagram czy TikTok, coraz bardziej przypominają tradycyjne media sprzed ery internetu, zwłaszcza telewizję. Przez lata sprytnie ograniczano konieczność klikania w poszczególne materiały – obecnie nagrania często odtwarzają się automatycznie, nawet scrollowanie staje się zbędne. Wystarczy, że będziesz minimalnie ruszać gałkami ocznymi, algorytm wszystko zaserwuje ci sam. O tym, że jest to świetny model biznesowy, niech świadczy fakt, że z końcem 2025 roku Instagram ogłosił w USA premierę swojej aplikacji na Amazon Fire TV. Czyli jednak finalnie chodzi o to samo – o bierne przyswajanie oferty wydawcy pod pozorem własnego wyboru. Zamiast kanałów i kablówki – profile i konta. Nie trzeba nawet pstrykać pilotem, algorytm sam przełączy kanał.

Kiedy przygotowywałam ekspertyzę dla sejmowej Komisji do spraw Dzieci i Młodzieży na temat sharentingu, zdałam sobie sprawę, jak wiele negatywnych zjawisk związanych z mediami społecznościowymi wynika z osobliwego „pomieszania języków". Język wszak tworzy rzeczywistość. Problem pojawia się jednak wtedy, gdy pod podobnie brzmiącymi pojęciami kryją się różne znaczenia, a my nie zdajemy sobie z tego sprawy. To dlatego wielu użytkowników traktuje sieć jak „album ze zdjęciami", a profil na Facebooku jak „pamiętnik".

Pomieszanie języków w owej cyfrowej wieży Babel pozwala jednak zwiększać zyski. Uczucia można pomylić z emocjami, a emocje zmienić w emotki. Jeśli chcemy wywołać jakieś uczucia, musimy się napracować. Łatwiej wzbudzić emocje. I choć różnie reagujemy na treści zamieszczone w mediach społecznościowych, to i tak wszyscy wpadamy w tę samą pułapkę, bo algorytmy wiedzą, co komu podsunąć. Obserwuję to

Fundację Pismo, wydawcę magazynu „Pismo", wspiera **Orange**.

eprasa.pl dce24a0826

A gdyby tak w centrum rozwoju technologii postawić człowieka? Magdalena Bigaj, medioznawczyni i twórczyni Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, pyta o społeczne koszty postępu technologicznego. Ile za niego płaci *homo sapiens digitalis*? I jak higiena cyfrowa może nam pomóc zachować zdrowie fizyczne, psychiczne i społeczne? Więcej na **magazynpismo.pl/listy-z-cyfrowego-roju**

również u siebie – zarówno w stanie „podekscytowania", jak i „oburzenia" tracę kontrolę nad uwagą i podążam wraz z klikami za ekscytującą albo oburzającą informacją niczym świnia za truflami.

Także na określenie „społecznościowy", które przecież wiązało się ze społeczeństwem, ba, nawet z demokracją, patrzymy dziś w krzywym zwierciadle. Rozwój internetu nadał temu słowu nowe znaczenie. W *Słowniku języka polskiego* czytamy, że serwis społecznościowy to „serwis internetowy współtworzony przez społeczność internautów o podobnych zainteresowaniach, który umożliwia kontakt z przyjaciółmi i dzielenie się informacjami, zainteresowaniami itp.". Kiedy patrzyłam na to, jak Facebook i inne VLOP-y zmieniają się w karykaturę wspomnianej obietnicy kontaktu, przypomniał mi się fragment ballady Adama Mickiewicza *Powrót taty*: „z początku porwał mię śmiech pusty,/ A potem litość i trwoga".

Wpatrzeni w ekran, siłą rzeczy izolujemy się od tego, co znajduje się wokół nas. Platformy społecznościowe umożliwiają nam niezliczone połączenia z innymi ludźmi, lecz to za mało, by zbudować więź. Zwracała na to uwagę amerykańska socjolożka Sherry Turkle w książce *Samotni razem. Dlaczego oczekujemy więcej od zdobyczy techniki, a mniej od siebie nawzajem*. Badaczka postawiła tezę, że technologia daje poczucie bycia „w kontakcie", ale jednocześnie pogłębia samotność i osłabia zdolność do głębokiej relacji. Przewagę, jaką ma analogowe spotkanie nad połączeniem w sieci, podkreśla także Byung-Chul Han, zwracając uwagę na wartość, jaką niesie nam dyskomfort związany ze spotkaniem, wynikający z niewiadomej i konieczności reagowania na „Innego". Han ciekawie diagnozuje media społecznościowe jako miejsce, w którym wszyscy „obecni" tam ludzie stanowią wyłącznie echo nas samych. Wiedzę o innych osobach czerpiemy z ich reakcji na nasze działania w sieci.

W ten sposób, chcąc lub nie, każdy z nas ma w internecie swoich sobowtórów, o czym w książce *Doppelgänger. Podróż do lustrzanego świata* pisze kanadyjska dziennikarka Naomi Klein. Za każdym razem, gdy jesteśmy w sieci czyimś echem, gdy ktoś wyobraża sobie nas, nasze cechy i przekonania, pojawia się kolejny *doppelgänger*. Wielokrotnie przy okazji moich publicznych wystąpień zaczepiały mnie obce osoby i mówiły coś w stylu: „W życiu bym nie przypuszczała, że pani jest taka sympatyczna". Paradoks mediów społecznościowych polega na tym, że choć wydaje nam się, że mówimy w nich coś o sobie, w gruncie rzeczy to one mówią coś o nas w zależności od tego, w jakim kontekście wyświetlani jesteśmy komuś przez algorytm. W efekcie nie kontrolujemy własnego wizerunku. Natrętnie wraca do mnie myśl, że nawet jeśli zamknę profile w aplikacjach należących do VLOP-ów, nadal zostanie tam mój sobowtór, nad którym nie będę już miała żadnej kontroli.

Może dlatego tak wielu z nas nie wyobraża sobie rezygnacji z mediów społecznościowych. Nawet nie przez utratę wielu wygód, jakie oferują, tylko ze względu na myśl, że ominie nas informacja na swój temat. Lepiej więc może karmić tego sobowtóra, niczym potwora na łańcuchu, który nie zerwie się, dopóki będziemy klikać „zaloguj". A może jest on bardziej jak zabawka Tamagotchi, którą dokarmiamy, uruchamiając aplikację i zamieszczając „rozgadane interpretacje samych siebie", jak przytacza za Matthew B. Crawfordem w swojej książce *Cyfrowy minimalizm* wykładowca informatyki i autor książek z tej dziedziny Cal Newport.

Ludzkie echa nawołują się więc godzinami na platformach „społecznościowych", zabiegając o zasięg poprzez wywoływanie emocji, które zwrócą uwagę i umożliwią połączenie. „Opieramy się na technologii algorytmicznej, tak jak kiedyś opieraliśmy się na sobie nawzajem, a styl życia ludzi na całym świecie powoli się do niej dostosowuje" – pisze Madhumita Murgia w książce *W cieniu AI. Jak sztuczna inteligencja ingeruje w nasze życie?*. Posiadanie swojej „kopii na użytek zewnętrzny", jak określa to Klein, powoduje dychotomię tożsamości nie tylko jednostek, ale też całych społeczeństw. Bo w mediach społecznościowych nic nie jest tym, na co wygląda. Emocje udają uczucia, kliki udają działanie, a połączenie udaje więzi. Trudno się więc dziwić statystykom osamotnienia. Możliwe zresztą, że w przypadku „przyjaciół AI" jak Friend.com gospodarka cyfrowa wynalazła istne *perpetuum mobile*: zaprzyjaźnij się z botem AI, który „zawsze słucha, odpowiada i wspiera"; nie szkodzi, że doprowadzi cię do społecznej izolacji – dzięki temu będzie można jeszcze skuteczniej sprzedawać ci produkty na twoje nowe problemy. Trzeba przyznać, że to się nie śniło nawet filozofom z Telezakupów Mango Gdynia.

Trudno mi się nie zgodzić z Hanem, który w swoim eseju *Duch nadziei: wobec społeczeństwa lęku* pisze, że w cyfrowym świecie mamy dzisiaj komunikację bez wspólnoty, w przeciwieństwie do wspólnoty bez komunikacji, z którą mieliśmy do czynienia dawniej. Nasi przodkowie świetnie radzili sobie z budowaniem wspólnot bez „nowoczesnych narzędzi komunikacji", które zyskaliśmy w XXI wieku. Skoro jednak owe „cyfrowe dobrodziejstwa" oddalają nas od wspólnoty, powodując erozję tkanki społecznej z powodu narastającego osamotnienia jednostek to do czego i komu ma służyć taka komunikacja?

eprasa.pl dce24a0826



AGATA ROMANIUK
(ur. 1978), doktorka nauk społecznych, reporterka i bajkopisarka. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Inicjatorka projektu reportersko-badawczego Światła Małego Miasta.

Zimowy spacer

tekst AGATA ROMANIUK

Drobne historie o wielkich rzeczach. Felietony o ludzkich sprawach widzianych przez pryzmat przedmiotów codziennego użytku.

Więcej na **magazynpismo.pl/cos-na-rzeczy**

Po raz pierwszy od dawna przyszły mrozy i śnieg. Wyjęłam ją z szafy i obejrzałam pod światło. Jest ciemnozielona, ale trochę spłowiała, straciła kolor. Na dzianinowych ściągaczach rozpanoszyły się supełki, ostateczny znak zmechacenia. Kołnierz ma wyraźnie przetarty. Kieszenie naderwane. „W sumie ani ona ładna, ani mi w niej ładnie" – pomyślałam, zdejmując ją z wieszaka. Postarzałyśmy się obie o kolejny rok. Coraz trudniej udawać, że nie. Nikt nie zatrzyma tych zmarszczek w kącikach ust, nikt nie naciągnie szwów wzdłuż suwaka. I żeby jeszcze był w tym jakiś szyk, jakiś styl, jakiś retro sznyt, to nie. Obwisłyśmy obie. Pocieszam się, że ona bardziej, bo czas jest dla mody szczególnie okrutny. Wypadła więc na zakręcie, bo nie ten fason, nie te wzór, kolor, tkanina. Jest bezpowrotnie na aucie, a tym samym ja też. Bez spoglądania w lustro wiem, że wyglądam w niej jak kulka popcornu w kolorze brudnozielonym.

Ale skoro ziąb, wciągam ją jednak na grzbiet. Zapinam się pod szyję i ruszamy. Jest wietrznie, słońce blade, ale ostre jak świetlówka. Odruchowo mrużę oczy. Dziś są jego urodziny. A poza tym to zwykła sobota, sklep rybny czynny do szesnastej, w domu zabrakło jajek, bolą mnie oczy. Na mieście pustawo. Wyszłam na samotny spacer. Liczę w myślach jeszcze raz: dziś są jego 34. urodziny. Usiłuję sobie przypomnieć, jaka byłam w tym wieku. Czarna dziura. Nie pamiętam ani gdzie mieszkałam, ani co robiłam, ani co myślałam. Pewnie więc wszystko było w moim życiu dobrze, zwyczajnie. Rzadko kiedy mamy wyraźne wspomnienia spokojnego czasu. Co innego, kiedy dzieje się źle. Czasy złe pamięta się aż nazbyt wyraźnie. I ja też dobrze pamiętam to, co działo się cztery lata temu. Te numery szpitalnych sal, te krzesła w poczekalni, kroki po korytarzu, 160 do okna i jakimś cudem o dziesięć mniej z powrotem. Podobno takie chodzenie uspokaja. Jasne. To mógł powiedzieć tylko ktoś, kto tak nigdy nie chodził. Kto nie jeździł z OIOM-u na pierwszym piętrze na OIOM na szóstym. Kto nie biegł ani razu schodami z góry na dół i z powrotem, bo winda była zbyt opieszała. Kto nie wie, że jak dzwoni telefon i wyświetla się OIOM 1 albo OIOM 2, to czas przyspiesza, a ty razem z nim. Wtedy biegłam do utraty tchu, ale teraz, dokładnie cztery lata i 123 dni później, idę wolno, nie spieszę się. Brukowane ulice mojego ulubionego miasteczka na granicy lśnią w zimowym świetle. Uśmiecham się, widząc jak dziewczynka, moja czytelniczka, zdejmuje rękawiczkę, żeby pogłaskać blaszanego kotka na ścianie budynku. Zagaduję ją głosem, który zna z audiobooków. Rodzice pytają, czy mogą zrobić nam zdjęcie. Oczywiście. Kucam koło rozradowanej małej. Uśmiecham się. Pstryk! Może być? Mama dziewczynki jest przejęta, czy aby dobrze wyszło. Na zdjęciu widzę siebie w ciemnozielonej puchówce. To kurtka po bracie. Noszę ją czwarty sezon. On już nigdy jej nie założy. Chciałabym napisać, że z niej wyrósł, że mu się znudziła, że zapomniał ją zabrać w czasie przeprowadzki. Nie mogę tego powiedzieć, choć to naprawdę jest kurtka po bracie. Bo ja mam brata. Tylko że on nie żyje. A dzisiaj są jego urodziny. Trzydzieste czwarte, o czym dobrze pamiętam. I trochę zazdroszczę kurtce, że ona nie.

rysunek ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl dce24a0826

MAGAZYN OPINII

Pismo.

Wspieraj rzetelne dziennikarstwo i przekaż 1,5% swojego podatku na Fundację Pismo.

1,5%



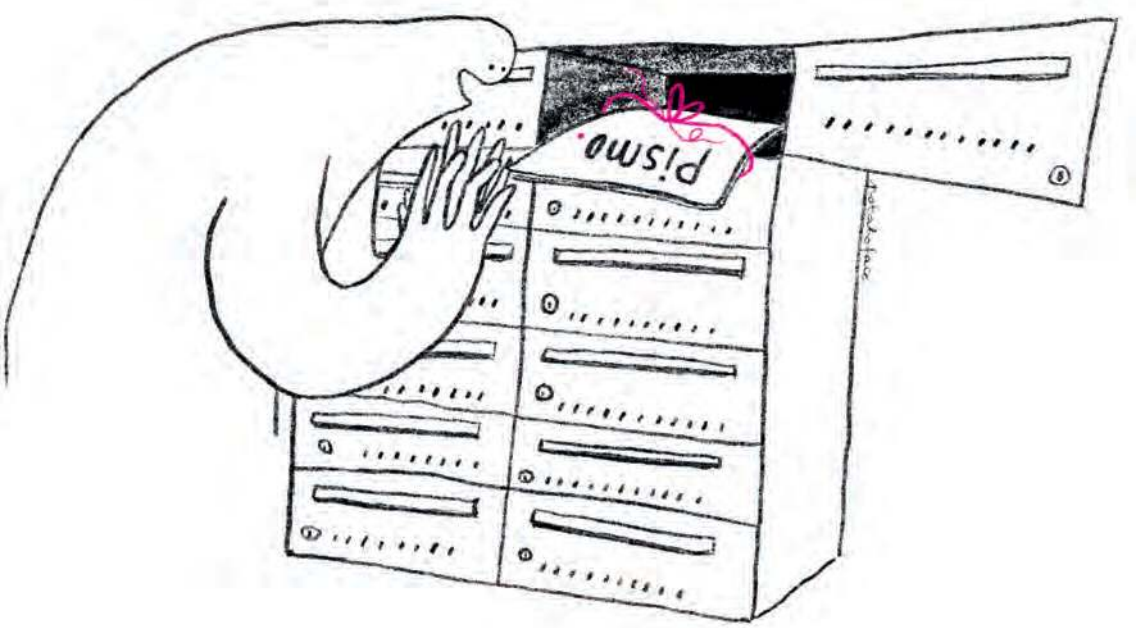
KRS 0000689263

Zeskanuj kod QR, by dowiedzieć się więcej o fundacji
lub wejdź na magazynpismo.pl/o-pismie

eprasa.pl dce24a0826

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Zamów prenumeratę z darmową dostawą.



Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/prenumerata i zamów roczną prenumeratę „Pisma". Dostęp online otrzymasz w prezencie.

eprasa.pl dce24a0826